

JULIAN STERPEJKOWICZ - WERSOCKI

I) T Ł G U Ł A G - W O R K U T A

wspomnienia z lat 1944 - 1955

G D A Ń S K , 1990 r.

© ARCHIWUM PISZCZONIE

W S T Ę P

=====

Z zamiarem napisania wspomnień z minionych lat, z okresu moich najcięższych przeżyć, nosiłem się dużo wcześniej.

To marzenie zbyt późno zrealizowałem, bo dopiero w 80 i przeszło roku życia, przez co niektóre szczegóły wymknęły mi się z pamięci /szczególnie nazwiska/, tym niemniej ująłem główne wydarzenia, które mnie dotknęły i jeszcze teraz głęboko we mnie tkwią.

Także ważniejsze zasłyszane epizody opowiadań naocznych świadków byłych wydarzeń przytoczyłem.

Dla potomności napisane wspomnienia mogą mieć istotne znaczenie, by pamięć o tych czasach poniewierki i niewolnictwa XX wieku, przez poznanie okrutności przeżyć ich ojców, zachowała się.

A u t o r

T R E Ś Ć

=====

ITŁ GULAG - WORKUTA

Str.

1. Po oswobodzeniu	1
2. Aresztowanie	11
3. KPZ ul.Słowackiego	19
4. KPZ ul.Sadowa 25	36
5. Powtórnie KPZ ul.Słowackiego	43
5.1. Śledztwo	43
5.2. Sąd	52
6. Więzienie Łukiszki	58
7. Etap	65
7.1. Marsz do transportu	65
7.2. Transport na północ	67
8. Workuta	72
8.1. Pieriesułka - Łagier przesyłkowy	72
8.2. Łagier Kopalń 19/20	75
8.3. Łagier Kopalni 17	91
8.4. Łagier Kopalń 11 i 9/10	109
8.5. Łagier Kopalni 6/RieCzŁag/	113
8.6. Wykaz Polaków przebywających w RieCzŁagu KOP 6	150
8.7. Śmiertelność	152
8.8. Plan Workuty	
9. Wolność	153
9.1. Procedura zwolnienia	153
9.2. Pierwsze dni wolności i osiedlenie	156
9.3. Wykaz Polaków spotkanych na "Dobrowolnym Osiedleniu"	167
10. Droga powrotna	174
11. U celu - w Polsce	176

I T Ł G U Ł A G - W O R K U T A ^{x/}
=====

1. PO OSWOBODZENIU

Całkowite zakończenie walk i pozbieranie w terenie z błąkających się rozbitych oddziałów żołnierzy hitlerowskich zakończyło się w Wilnie 14 lipca 1944 r. Przebiegało ono brutalnie, bez zachowania podstawowych zasad humanitarnych. Na przykład widziałem, gdy żołnierze radzieccy prowadzili pewną grupę, kilkanaście osób jeńców do koszar, położonych po prawej stronie rzeki Wilii, niedaleko elektrowni, która już była zburzona. W tym miejscu nie było mostu, most znajdował się niżej, z biegiem rzeki o 600 m. Leżał on po zerwaniu przez hitlerowskie oddziały wojskowe, w wodzie. Na prawy brzeg rzeki przeprawiano się łodziami. Konwojenci, żołnierze radzieccy zapędzili do wody poławianych jeńców. Nurt rzeki był głęboki i należało płynąć. Silniejsi utrzymywali się na wodzie, niektórzy pomagali płynąć słabszym. Wśród nich znajdowali się i tacy, których woda zniosła w dół. Niebawem znajdująca się na wodzie grupa rozciągnęła się a konwojenci strzelali do tych, którzy oddalili się, jak do kaczek.

Dzień później przechodziłem po zerwanym moście /na konstrukcjach żelaznych została ułożona kładka z desek/ widniały tutaj trupy, uczezione za konstrukcje, będące w wodzie.

W tym też czasie widziałem inny przypadek nieludzkiego traktowania jeńca. Na ulicy Kalwaryjskiej, gdzie przecinała się ulica Lwowska, koło studni /pompy/ wodnej, leżała wylegająca się w lipcowym słońcu grupa żołnierzy radzieckich. W pewnej

x/ Objaśnienia do nagłówka

ITŁ - Isprawitielnyje Trudowyje Łagieria /Poprawcze Obozy Pracy/

GULAG- Gławnoje Uprawlienije Łagieriej /Główny Zarząd Obozów/

- Workuta

chwili na ulicy Kalwaryjskiej ukazał się jeńiec niemiecki prowadzony przez konwojenta w kierunku miasta. Na widok jeńca grupa żołnierzy szybko podniosła się z ziemi i krzyżąc podążyła ku niemu. Mimo stawianego przez konwojenta oporu jeńca zaczęto bić, kto czym mógł, a później już leżącego na ziemi kopano nogami. Nie wiem, co z nim się stało, lecz zбитý jeńiec nie podniósł się na nogi. Według słów konwojenta jeńiec miał być doprowadzony do komendantury.

Oto dwa przykłady, które widziałem na własne oczy, a których zapewne jeszcze było mnóstwo. Wskazywały one do jakiego zdżiczenia i zatury wszelkich uczuć ludzkich doprowadza wojna.

Front już przeszedł, działania wojenne oddaliły się, jedynie naloty lotnictwa niemieckiego były częste, bombardowano głównie tory kolejowe.

W tym czasie NKWD przystąpiło przede wszystkim do zabezpieczenia się przed nalotami nieprzyjacielskimi. Górę Zamkową, w pewnej części odgradzono wysokim i szczelnym płotem od parku Cielętnik /na zapleczu Katedry/ a za nim intensywnie przeprowadzano roboty ziemne. Jak się później wiadomym okazało budowano tam podkopem w górze solidny schron przeciwlotniczy, który miał służyć jako schronienie działającym na tyle frontu NKWD-dzistom.

Drugą sprawą nie cierpiącą zwłoki do załatwienia w Wilnie miały władze radzieckie zlikwidowanie symboli kultu religijnego, w które to miasto od wieków było bogate.

Niedługo po zajęciu miasta /może dwa tygodnie/, z portalu Bazyliki pod wezwaniem św.Stanisława zniknęły stojące tam figury: św.Heleny z krzyżem w prawej ręce a lewą nieco wysuniętą do przodu i po bokach niżej /patrzac na figurę/ z lewej strony św.Kazimierza ze złożonymi rękoma jak do modlitwy, z prawej strony św.Stanisława z przyłożoną prawą dłonią do piersi, lewą

ręką opuszczoną, nieco odchylną od tułowia z otwartą dłonią.

Tego samego dnia na Górze Trzykrzyskiej zburzono 3 krzyże.

Czynność tę, usunięcia figur i zburzenia krzyży wykonano na zarządzenie władz sowieckich w nocy. ^{1/}

Również usunięto figurę św.Krzysztofa, patrona Wilna, z domu stojącego na rogu ul.Trockiej i Zawalnej, naprzeciwko ulicy Wielka Pohulanka. Figura była ustawiona we wnęce, w narożniku domu, na wysokości pierwszego piętra.

Miasto Wilno w swoim herbie miało postać przedstawiającą św.Krzysztofa z dzieciątkiem Jezus na lewym ramieniu, przechodzącego przez rzekę, prawą ręką postać wspierała się wysokim kijem. W miejsce usuniętej figury św.Krzysztofa w okresie późniejszym ustawiono figurę średniowiecznego rycerza. To nie było wszystko. Zlikwidowano kapliczkę z figurą św.Jacka, stojącą u zbiegu ulic Sierakowskiego i Zakretowej. Zburzono Drogę Krzyżową z kapliczkami w Kalwarii i wiele innych podobnych kultów. Te wstępne poczynania miały zmienić oblicze miasta "z zacofanego na postępowe".

Niebawem, po wkroczeniu wojsk radzieckich na teren Wilna ogłoszona została mobilizacja mężczyzn zdolnych do służby wojskowej. Część z poboru trafiła jako uzupełnienie sił zbrojnych Wojska Polskiego powstałego na terenie ZSRR, część zaś wcielono w szeregi Armii Czerwonej.

Pewnego dnia lipcowego na ulicach miasta oficerowie radzieccy przeprowadzali akcję uświadamiającą o tym, co wydarzyło się w Polsce, powstałej za Bugiem, na rubieżach oswobodzonego terenu. Z trzymanyh w rękach szeroko rozpostartych gazet czytali o Manifeście Lipcowym ogłoszonym w dniu 22 lipca 1944 r., o proklamowaniu programu przebudowy ustroju i o zapowiedziach przeprowadzenia reform, m.in. rolnej. Szeroko komentując nie-

licznie zebranych wokół ludzi o dobrodziejstwie jakie spotka naród polski w niedalekiej już przyszłości w nowej powstałej Polsce. To opowiadanie entuzjazmu nie wywołało. Obecni rozchodzili się w milczeniu.

Tymczasem dotarła do Wilna wiadomość o powstaniu w Warszawie AK przeciwko Niemcom, które wybuchło 1 sierpnia. Rozkaz do powstania wydał z upoważnienia rządu emigracyjnego ówczesny Komendant Główny Armii Krajowej gen. **T. Bór-Komorowski** /Tadeusz Korczak - pseudonim/.

Powstanie było zostawione na swoje własne siły bez wsparcia, szczególnie od wschodu. Przy słabym uzbrojeniu uległo siłom niemieckim 2 października 1944 r.

Akcja partyzancka na Wileńszczyźnie, po aresztowaniu "Wilka" i zlikwidowaniu oddziałów zgrupowanych w okolicach Miednik, Turgiel i Taboryszek, ustała. Jedynie oddziały AK, które przedostały się do Puszczy Rudnickiej i innych lasów leżących na południe od Wilna, starały się przedostać na tereny polskie staczając przy posuwaniu się potyczki z wojskami radzieckimi.

WKD /Wileńska Koncentracja Demokratyczna/ przestała właściwie działać, ograniczając się do paru wydań prasy podziemnej "Niepodległość" informującej o aktualnej sytuacji, podając jak społeczeństwo ma zachować się, że nowych władców nad nami mamy uważać jako "sprzymierzeńców naszych sprzymierzeńców".

Jedno zebranie przedstawicieli Komitetów Zakładowych Dzielnicy Kalwaryjska, któremu przewodniczyłem /"Ryszard"/ odbyło się w moim mieszkaniu. Było nas pięć czy sześć osób. Było to w pierwszych dniach października. Wśród zebranych znajdował się Joczyn, pochodzący z terenów Litwy, podawał się za Polaka. Po działaniu wojennym pracował w elektrowni. Jego młodszy brat również w tym czasie zatrudniony był w elektrowni. Obecność

na zebraniu Joczyna /starszego/ można tłumaczyć jako delegata z któregoś Komitetu Zakładowego Dzielnicy. O Joczynie będzie mowa w treści niżej.

Zebranie trwało krótko. Oświadczyłem, że WKD postanowiła, nie widząc potrzeby w zmienionych warunkach działania tej organizacji, rozwiązać się.

WKD w okresie okupacji hitlerowskiej swą pracą wniosła wielki wkład w ugruntowanie świadomości w społeczeństwie o potrzebie walki z okupantem i podtrzymanie ducha patriotycznego. Pokładane w niej nadzieje i zadania swoje wypełniła. My, jako uczestnicy tych zmagania, stale byliśmy narażeni na niebezpieczeństwo osobiste ze strony okupanta. Teraz, w zmienionych warunkach i wobec występujących silnych represji ze strony nowych władz, musimy zaprzestać naszej działalności, gdyż ona nie ma już celu. Po krótkiej dyskusji i zgodnych wypowiedziach, na tym zebraniu zakończyliśmy. Po podaniu i uściśnięciu rąk rozeszliśmy się.

Praca w elektrowni, po jej zburzeniu, ograniczała się do wykonywania prac fizycznych przy zbieraniu i wydobywaniu z gruzów części maszyn i urządzeń ocalałych od zniszczenia i będącego w stanie do dalszego ich użytkowania; wszystko zbierano i składano do magazynu.

Pracownicy sieciowi byli zatrudnieni przy doprowadzaniu stacji transformatorowych rozłokowanych po mieście oraz sieci nappowietrznych i kablowych do stanu używalności. Starano się zasilić miasto chociaż w niewielką ilość energii elektrycznej z różnych elektrowni fabrycznych /tartaki, garbarnie, browar i.t.p./ Stały one już długie lata nieczynne, jako pozostałość miejscowych elektroni prądu stałego. Teraz remontowano i uruchamiano je. Dodatkowo mieliśmy otrzymać niedużą elektrow-

nię turbozespół parowy polowy na wagonach, jako podarunek amerykański dla Związku Radzieckiego.

Po odbiór elektrozespołu z Archangielska wyznaczono mnie, lecz temu sprzeciwił się dyr. Leonid Łarionow twierdząc, że on /autor zapisek/ jest potrzebny tutaj na miejscu.

Personel administracyjny i techniczny pracował w nowo reorganizowanym systemie energetycznym na wzór radzieckiego. Powstał Zarząd Energetyczny Okręgu Wilno. Jako siedzibę dla Biur Okręgu przeznaczono pomieszczenie na piętrze, po byłym mieszkaniu prywatnym /b. duże/ przy ul. Zygmuntowskiej 16, róg ul. Bogusławskiego.

Początkowo WKD /Wileńska Koncentracja Demokratyczna/ prze-forsowała swego człowieka, zgodnie z przewidzianym planem działania, obsadzenia w okresie przejściowym na stanowiska kluczowe ludzi z WKD. Dyrektorem został inż. Czesław Rukszta /wybrany wcześniej jako ewentualny kandydat na dyrektora przez Komitet Zakładowy Elektrowni/. Rukszta ^{2/} na stanowisku dyrektora utrzymał się może przez tydzień. Na dyrektora ponownie osadzono byłego już przed działaniami wojennymi w czerwcu 1941r. L. Łarionowa.

Ja otrzymałem stanowisko kierownika Rejonu Sieciowego.

Ludzie pracowali nie licząc się z godzinami poza normą. Urządzano "sobotniki", tzn. pracę w soboty powyżej 6 godzin albo "niedzielniki", to jest pracę w niedzielę.

Stosunki międzyludzkie poprawiły się. Litwini, którzy uciekli z Wilna w obawie zemsty Polaków nad nimi i obawiając się represji rosyjskiej za współpracę z Niemcami, w znacznej mierze nie wrócili do swych domów.

Teraz rozmawiano po polsku, urzędowano w języku polskim, tylko sprawy do władz wymagały zwrotów rosyjskich.

Pewnego dnia, gdzieś w połowie listopada, wracałem z obiadu ze stołówki pracowniczej do biura. Zbliżając się do siedziby biura spotkałem Bolesława Szczesnulewicza, mego współpracownika. Powiadamia mnie on o tym, że w gabinecie u dyrektora siedzi oficer NKGB /Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwa/ w oczekiwaniu na moje przybycie. Napełniło to mnie pewną dozą niepokoju, były już bowiem aresztowania i taka wizyta oficera z NKGB wydawała się mocno podejrzana. Ale co miałem robić? Mógł to być oficer w jakichś sprawach służbowych, których w tym czasie do załatwienia było sporo. Postanowiłem iść na spotkanie.

W korytarzu, przez uchylone drzwi, ujrzał mnie dyrektor i zawołał do siebie. Wszedłem do gabinetu. Za biurkiem siedział dyr. Łarionow, po lewej jego stronie nieznany oficer w stopniu kapitana. Dyrektor oznajmia oficerowi, że przyszedł ten, na kogo on czeka a do mnie mówi, że kapitan ma do załatwienia ze mną pewne sprawy. Oficer podnosi się i kieruje swe kroki do mego pokoju. Zajmowałem pokój przyległy z drzwiami do gabinetu i wyjsłem na korytarz.

Oficer powejściu zamyka drzwi a od korytarza przekręca klucz w zamku, zajmuje miejsce za biurkiem, ja siadam naprzeciwko, po czym mówi, że jest ze służby bezpieczeństwa państwa. W tym czasie zauważa u mnie czarną opaskę na ramieniu. Pyta, co to oznacza. Objaśniam, że jest to oznaka żałoby po niedawno zmarłym moim ojcu i ten zwyczaj jest u nas praktykowany. Odpowiada, że u nas /w Kraju Rad/ podobnego zwyczaju nie ma. Następnie pyta mnie jak długo pracuję w elektrowni? Odpowiadam - od 1935 r. Dalej mówi - tak długo pracując tutaj muszę dobrze znać wszystkich pracowników. Następnie oznajmia mi, że pragnie przeprowadzić ze mną rozmowę w celu przyścia organom państwo-

wym z pomocą. Musiałbym powiedzieć, może ktoś jest przeciwny władzy radzieckiej, głosi wrogą propagandę, przeszkadza w normalnej pracy lub coś podobnego temu. My /to znaczy NKGB/ nic złego temu człowiekowi nie zrobimy, tylko pouczymy go, że tego robić czy mówić nie należy.

Odpowiedziałem, że aż tak dobrze ludzi, którzy u nas pracują nie znam, gdyż w okresie okupacji hitlerowskiej pracownicy zmieniali się i teraz też jest dużo twarzy nieznanomych. Przeciwnicy władzy radzieckiej współpracowali z Niemcami i uciekli razem z nimi. Doglądając pracę zauważam, że ludzie pracują szczerze i rzetelnie. Czym zajmują się poza pracą, tym się nie interesuję.

Na moje wywody kapitan powiedział, że ja nie chcę pomóc władzy /czyli jestem jej przeciwny/. Zrobiło mi się gorąco, nie mogę pozbierać myśli - jak wyjść z tej sytuacji? Po chwilowym namyśle, wykręcając się z prawdy odpowiadam - może bym mógł coś powiedzieć po przeprowadzeniu rozmowy z ludźmi, którzy pracując razem z innymi mogą coś więcej wiedzieć o nich. To ostatecznie moje powiedzenie wystarczyło kapitanowi, by przerwać rozmowę. Powiada - no dobrze, podsuwa do mnie kartkę papieru wyciągniętą z teczki i mówi - piszcie: Dyktuje mniej więcej te słowa /sens rzeczywisty/: "Ja niżej podpisany przeprowadziłem rozmowę państwowo-tajną z oficerem, pracownikiem NKGB. Zobowiązuję się pod odpowiedzialnością karną zachować tajemnicę treści przeprowadzonej rozmowy." /-/ Podpis.

Kapitan biorąc podpisaną kartkę do rąk ostrzega mnie, bym o tej rozmowie, którą mieliśmy przed chwilą nie mówił o tym z nikim, nawet w domu żonie. Po czym opuścił pokój.

Jak później dowiedziałem się, był to kpt. Wołkow "opiekun" naszego Okręgu Energetycznego z ramienia NKGB.

Odbyta rozmowa wniosła niepokój i niepewność tego, co może nastąpić w niedługim czasie ze mną. Wróciłem do domu. Naturalnie opowiedziałem żonie o przeprowadzonej parę godzin temu rozmowie.

W tym czasie aresztowania byłych żołnierzy AK i za udział w pracy konspiracyjnej w WKD wzmagają się. Z najbliższego otoczenia znikają najpierw Tadeusz Lisowski, po krótkim czasie wypuszczono go, by "sypał" innych, a gdy "nowego materiału" nie dawał zamknięty został ponownie. Później aresztują sekretarkę i jedną z pracownic z działu kadr, w ślad za nimi przepada Bolesław Szczesnulewicz ^{3/} - ta trójka wpada za zbieranie pieniędzy na pomoc rannym żołnierzom AK.

Jest już grudzień, aresztowania wzmagają się. W jednym z następnych dni, o godz. 5 nad ranem zostaje aresztowany ze swego mieszkania Władysław Grundmajer, w wieku 60 lat, mieszkał w domu służbowym na wspólnej klatce schodowej. Zajmował on stanowisko magazyniera. W parę dni później zabierają Czesława Pilżysa, pomocnika magazyniera. W ten sposób przepada, gdyż wszelki ślad za nimi ginie, jeszcze kilka osób z otoczenia i miejsca mojej pracy.

Kółko zacieśnia się, wpadają już osoby blisko współpracujące ze mną w WKD. Szczególnie niepokoję się w związku z aresztowaniem Pilżysa, on ze mną pracował, może coś mu z ust wymknąć - wszak aresztowane osoby są jakby w ciągu łańcuszka ustawione.

Objaśnienia do odsyłaczy:

1/ Katedrę w 1944 r. zamknięto, początkowo służyła za skład rupieci. W latach 50-tych zamieniono na galerię obrazów. W 1989r. w erze "głasności" /"jawności" - przy Gorbaczowie/ katedrę zwrócono Kościołowi katolickiemu. Po zamknięciu katedry relikwie św.Kazimierza, które były złożone do srebrnej trumien-

ki, przeniesiono do kościoła św.Piotra i Pawła na Antokolu; ponownie wróciły na swe miejsce do katedry św.Stanisława w lutym 1989r.

Na Górze Trzykrzyskiej w 1989r. ludność miejscowa, po zburzonych ongiś murowanych, ponownie ustawiła krzyże, chociaż drewniane, w 1990 r. ludność ponownie wzniosła krzyże murowane.

2/ Inż.Czesław Rukszta - w 1944 r. po aresztowaniu jego żony udało mu się przedostać do Polski. Zamieszkał w Warszawie. Żona po paru latach przebywania w łagrach powróciła.

W 1956 r. będąc w Warszawie widziałem się z Ruksztą. Piastował on godne stanowisko w Min.Energetyki. Przypuszczam, że był członkiem PZPR.

3/ Bolesław Szczesnulewicz, technik, współpracownik z Elektrowni Miejskiej w Wilnie.

2. A R E S Z T O W A N I E

We czwartek 28 grudnia 1944 r. to się działo. Po męczącym, koszmarnym śnie wstałem niewyspany. Ten okropny sen odebrał mi nocny wypoczynek. Sniło mi się, że ktoś w tajemniczy sposób wszedł do mieszkania. W nocnym mroku, trwogę i niepokój oraz wsuwającą się po cichu jakąś osobę wyczuwałem. Wystraszony przeraźliwym głosem, z trudem wydobywającym się z gardła, krzychałem. Oczy otworzyłem i mało tego, z tapczana, na którym leżałem, w ciemności nocy rysowała mi się niewyraźna, ciemna postać, widziałem ją. Dalej jeszcze silniej krzychałem a serce pod wpływem strachu, biło mocno, jakby młotem uderzało w klatkę piersiową. Żona, zbudzona krzykiem przybiega do mnie, pyta, czego krzyczę? Nie ma nikogo - zapewnia mnie i jeszcze sprawdza, czy drzwi są rzeczywiście zamknięte.

Mimo zapewnienia i stwierdzenia, że faktycznie jesteśmy sami, uspokoić się i usnąć przez długie godziny do rana nie mogłem. Snuły mi się różne myśli i przypuszczenia wywołane tym ciężkim snem.

Przecież ostatnie tygodnie cechowała niepewność jutra, ludzie z kręgu otoczenia znikali jeden po drugim, przeprowadzane aresztowania napełniały obawą każdego.

Święta Bożego Narodzenia spędziłem z żoną i dziećmi u mojej Mamy z rodzeństwem, dwie siostry, Waleria i Jadwiga, oraz bratem, Czesławem. Ojciec już nie żył, zmarł 31 października br. Święta były ponure, spowodowane ogólnie panującym przygnębieniem.

Na trzeci dzień świąt wieczorem wróciliśmy z rodziną do domu. Po ułożeniu dzieci do snu rozmawiałem z żoną o wytworzonej sytuacji. Przygnębieni i niepewni siebie czuliśmy nieszczęście i zło, które nad nami zawisło. A później ten sen.

Po takiej męczącej nocy rano wstałem wymęczony. Prędko ubrałem się, śpiesząc do pracy. Żona krzątała się w kuchni. Śniadania nie jadłem, bowiem miałem wrócić około godz. 11 do domu. Tego dnia dowody osobiste mieliśmy odebrać, po które razem z żoną miałem się udać do biura. Przechodząc do drzwi wejściowych z przedpokoju widziałem nie śpiące już dzieci, bawiące się na łóżku, Jurka i Marysię. Nie poszedłem do nich, jak zwykle to czyniłem - spieszyłem, tylko do żony powiedziałem, czekaj - o 11-ej będę.

Na dworze było mroźno, śnieg pod nogami skrzypiał, wschodzące słońce czerwienią zalewało niebo. Miałem przejść na ul. Zygmuntofską 16, gdzie mieściła się siedziba Zarządu Energetycznego Okręgu Wileńskiego, w którym pracowałem. Mogłem znacznie skrócić drogę, przechodząc po lodzie zamrożonej rzeki Wilii zamiast obchodzić drogą okrężną przez most odległy ok. 600 m w dół rzeki.

Po drodze dogoniłem Ponomarenkę ^{1/} /żonaty z Michaliną, krewną mojej matki/, byłego st. ogniomistrza pułku artylerii ciężkiej, udającego się do Związku Patriotów Polskich z siedzibą w tym samym gmachu, w którym pracowałem, by zapisać się na wyjazd do Polski i wstąpić tam ochotniczo do WP, armii Z. Berlinga, celem uniknięcia aresztowania. Uczyniło to już wielu. Po zapisaniu się i skoszarowaniu po kilku dniach odchodziły transporty. Od wielu osób były wiadomości, że się znaleźli po tamtej stronie, gdzie czuli się bezpieczniej. Tam czekał ich udział w walkach z hitlerowcami, lecz tutaj jedno z dwojga - areszt, więzienie i obóz na terenach ZSRR lub przymusowe wcielenie do armii radzieckiej.

Idąc po drodze rozmawialiśmy, dzieląc się wzajemnie wiadomościami z ostatnich dni, o wzmożonej akcji aresztowań i kogo

ze znajomych już brakowało.

Przed gmachem było tłoczno, tłum mężczyzn cisnął się ku wejściu do środka. Wchodząc, z trudem przedostałem się do biura zarządu. Schody wiodące na parter i na piętro do Związku Patriotów Polskich i korytarze były zatłoczone w przeważającej większości młodymi ludźmi, chociaż nie brakowało i starszych. Zwróciłem uwagę, że w tłumie znajdowali się nie tylko Polacy, ale także dużo Litwinów ze wsi, rozmawiali ze sobą po litewsku.

Znalazłem się u siebie w pokoju. Czekali już na mnie Limanowski ^{2/}, Józef Szukszta ^{3/} i parę innych osób. Tego dnia mieliśmy opracować i zebrać dane potrzebne do ustalenia limitów materiałowych na 1945 r. Podstawą do opracowania były plany przewidywanych robót. Gotowe zestawienia miałem przekazać Maksymilianowi Sargautisowi ^{4/}, głównemu inżynierowi Zarządu. Byłem pogrążony pracą, nadawałem tempo, by szybciej zebrać dane, częściowo już wcześniej przygotowanych materiałów.

W pewnym momencie drzwi do pokoju lekko uchyliły się, wzmożona wrzawa z przetłoczonego ochotnikami korytarza dobiegła mych uszu. Siedziałem przy biurku bokiem do drzwi korytarza. Obróciłem głowę w lewo. W uchylonych drzwiach ujrzałem wciśnięte dwie twarze ; wyżej - znajomą, kierownika działu kadr i nieco niżej - obcą. Zauważyłem potakujące kiwnięcie głowy umieszczonej wyżej, a ta niższa, w tej chwili na nią się patrzyła. Drzwi otworzyły się szerzej - wchodzi mężczyzna, nieznajomy człowiek w wieku starszym, średniego wzrostu, barczysty, silnej budowy, na głowie miał ciemną, futrzaną, wysoką czapkę i na nogach wołjoki. Trzymając ręce w kieszeniach, szybkim ruchem zbliżył się do mnie. Skojarzyłem. Wszak dzisiaj w nocy, w czasie tego okropnego snu tę postać widziałem, taką niewyraźną, ciemną, cicho, bezszelestnie sunącą się. Serce uderzyło. Już rozumiałem co się dzieje. Mózg zaczął pracować, przesuwając z

błyskawiczną szybkością różne myśli.

Co robić?... Jaki ratunek?... Uciekać? - jak i którądy?
 Użyć manewru? - jakiego?

W mig znajdowałem odpowiedzi na zadawane sobie pytania. W konkluzji zdawałem sobie sprawę ze znalezienia się w sytuacji bez wyjścia, gdy w tym czasie nieznajomy pytał w języku rosyjskim, wymieniając moje nazwisko - czy jestem tym? Po otrzymaniu odpowiedzi twierdzącej nieznajomy mówi, że jest pracownikiem NKGB, mieszka z kolegami przy ul. Portowej w domu osobniaku, nie mają oni tam światła elektrycznego. Prosi bym pofatygował się razem z nim do naszego Biura Abonentów celem ustalenia możliwości oświetlenia w tym budynku.

Był to manewr źle skomponowany. Zdawałem sobie sprawę o co chodzi. Dawałem odpowiedzi wymijające twierdząc, że w tej sprawie moja obecność nie jest potrzebna. Dział abonentów mieszczący się przy placu Orzeszkowej załatwi to sam, że w tej chwili jestem zajęty pilną pracą itp.

Nic moje wykręty nie pomagały. Twierdzi mi o skierowaniu go do mnie, a ponadto wiadomym mu jest, że te sprawy należą do mnie i ja mogę to załatwić. To nie powinno trwać długo. Przejdziemy się spacerkiem, nie jest daleko i zaraz powrócę. W czasie rozmowy "przybysz" lewą dłonią oparł się o krawędź biurka, prawej ręki nie wyjmował z kieszeni, byстрыm i przenikliwym wzrokiem śledził każdy mój ruch. Śledził nie tylko mnie, rzucił również spojrzenia na moich współpracowników, którzy w tym czasie zaniemówili, wymieniając się chwilami wzrokiem ze mną. Cel tej wizyty i moja sytuacja w tej chwili były jasne. Usłyszałem słowo: "pajdiom" /pójdziemy/. Zacząłem się zbierać. Otworzyłem szufladę, wyjmując pudełko z tytoniem. Mój "opiekun", już tak nazwać go mogłem, wyraźnie drgnął. Pomyślałem - obawia

się czy nie mam tam broni.

Oprócz tytoniu nic więcej nie miałem do zabrania. Teraz, gdy zacząłem ruszać się obserwacja "opiekuna" stała się bardziej wnikliwą. Cofnął się o krok do tyłu, stanął w pozycji mając wszystkich przed sobą a ze mnie wzroku nie spuszczał.

Wolnym krokiem podszedłem do szaragów, na których wisiało moje wierzchnie ubranie. Grobowa cisza wypełniła pokój. Nie dochodził do moich uszu gwar z korytarza tylko odczuwałem w głowie silne bicie tętna. Wszyscy obecni w pokoju unieśli się z krzeseł, wzrok swój skierowali na mnie.

Nie spiesząc się wdziałem trzyćwierciowy kożuszek, wziąłem kapelusz i obracając się do kolegów uniosłem rękę, wypowiadając cichym głosem: do widzenia, żegnajcie! Ku wyjściu skierowałem się, dając drogę memu "opiekunowi", otworzyłem drzwi. Nie skorzystał on z mej uprzejmości, chciał mieć mnie lepiej przed sobą. Wyszedłem na korytarz.

Z trudem przeciskałem się przez tłum ludzi, "opiekun" deptał mi po piętach, bojąc się zapewne stracić swą ofiarę.

Nie odstępowała mnie myśl szarpnięcia się w tłumie do ucieczki, lecz widziałem w tym beznadziejność tego wysiłku.

Znalazłem się na ulicy. "Towarzysz" zachodząc z lewej strony, zrównał się ze mną i oświadczył, że pójdziemy w prawo przez ulicę Mostową. Tuż do budynku, z którego wyszliśmy przylegała ulica Bogusławska, odchodząca od ulicy Zygmuntowskiej w kierunku ul. Mostowej - skierowaliśmy się w nią.

Po przejściu nie więcej niż 50 m zapytał mnie czy nie mam przy sobie broni? Odpowiedziałem - nie mam i nie miałem.

Szliśmy w milczeniu. Myśli wirowały mi w głowie. Na ulicy Mostowej w pewnym momencie mój "towarzysz" zatrzymał się wypowiadając: "padaźdiom" /zaczekajmy/. Obrócił się nieco do tyłu i przywołał idącego w ślad za nami osobnika, młodego człowieka,

ubranego w płaszcz cywilny, wojsłoki na nogach i skórzaną pilotkę. Opodał, w odległości 30 kroków zatrzymał się jeszcze jeden, podobnie ubrany mężczyzna. Mój "towarzysz" na wyprawę pojmania mnie wybrał się z solidnym ubezpieczeniem.

Po dołączeniu do nas przywołanego powiada do niego, by odprowadził mnie, a on za godzinę przyjdzie, po czym mówi do mnie: do Biura Abonentów my nie pójdziemy, pójdziemy do NKGB na ulicę Słowackiego. Tam trzeba odpowiedzieć na kilka wyjaśniających pytań, on dalej razem nie pójdzie, mam iść z tym drugim, po drodze mam się nie oglądać, nie zatrzymywać i nie odzywać się do nikogo po polsku.

Co za perfidia i obłudne kłamstwo! Przecież całe miasto wiedziało, że kto trafił na Słowackiego to po nim ślad zaginął, jakby człowiek wpadł w wodę, pograżył się, a powierzchnia zrównała się okrywając wszystko tajemnicą.

Idąc najświadomiej zdawałem sobie sprawę z tego co zaszło - wiedziałem, że zapadam się w otchłań.

Nowy "opiekun" szedł obok mnie z lewej strony. W ślad za nami podążał ubezpieczający osobnik. Idąc ulicą Wileńską pozostawiliśmy Biuro Abonentów przy placu Orzeszkowej. Po drodze ani jednej napotkanej znajomej twarzy. Przecież w domu żona nie będzie wiedziała dokąd mnie uprowadzili, miejsc tych bowiem było wiele. Chciało się kogoś ze znajomych zobaczyć. Chociaż jednym słowem przekazać informację.

Nagle widzę idącego na spotkanie Zygmunta Wiśniewskiego, przewodniczącego Rady Zakładowej /taka już istniała/, ale wzrok jego skierowany w stronę, nie dostrzega mnie. W momencie mijania się lewą ręką, poprzez plecy mego "towarzysza" uderzyłem go w ramię, gdy ten obrócił głowę wykrzyknąłem - na Słowackiego! Na chwilę powstało zamieszanie.

Mój konwojent szarpnął się, stanął do mnie przodem. Coś powiedział, nie słyszałem go w tym czasie. Ruszyłem do przodu - to go widocznie uspokoiło.

Czy Wiśniewski coś zrozumiał - nie wiem? Spojrzał, poznał mnie, nie zatrzymał się. W tym czasie, będąc obrócony bokiem widziałem w odległości około 6 kroków kroczącego z tyłu ubezpieczającego.

Zdarzenie to zaszło w części drugiej połowy ulicy Jagiellońskiej, nie dochodząc do rogu ul. Portowej. W pozostałej do przebycia drodze nie zdarzyło się nic osobliwego. Szedłem spokojnie i całkowicie zrezygnowany. Znajomych idących na spotkanie, więcej nie widziałem. Weszliśmy w ul. Zawalną, potem w prawo pod górę na ul. Mała Pohulanka, w lewo na ul. Teatralną, koło Teatru Wielkiego, przecięliśmy ul. Wielka Pohulanka^{5/} i była już ul. Słowackiego. Do rogu ul. Wiwulskiego^{6/} pozostało jeszcze wznoszącej się pod górę drogi około 70 m.

Do wyznaczonego celu zbliżał się kres podróży.

Objaśnienia do odsyłaczy

1/ Ponomarenko - pochodzenia ukraińskiego, w wojnie z Sowieci-
mi w 1919-1920 r. walczył po stronie polskiej. Po wojnie
pozostał na terenach polskich. Pełnił służbę w WP do września
1939r. W czasie okupacji hitlerowskiej brał czynny udział w
walce podziemnej. Ochotniczo zapisał się w Zw. Patriotów Pols-
kich do WP. W czasie transportu na tereny wyzwolonej Polski
/lubelskie/ został aresztowany przez władze radzieckie. Wywie-
ziony do ZSRR zaginął bez wieści.

2/ Limanowski - b. student Wydziału Elektrycznego Politechniki
Warszawskiej. Po przerwanych studiach w 1939r. w sierpniu
1944 r. został przyjęty do pracy w naszym Zarządzie Energetycz-

nym na stanowisko technika.

3/ Józef Szukszto - technik elektryk, pracownik elektrowni wileńskiej, w czasie okupacji hitlerowskiej i w okresie późniejszym. W 1945 r. ewakuował się do Polski, zamieszkał w Gdańsku. Uzyskał stopień inżyniera, pracował w biurze projektów. Zmarł w grudniu 1961 r.

4/ Maksymilian Sargautis - Litwin, w czasie okupacji usadowiony przez reżim litewski w elektrowni na stanowisko inżyniera kier. Działu Ruchu. Był człowiekiem zrównoważonym, bez objawów szowinizmu, rozmawiał również po polsku.

5/ Mała i Wielka Pohulanka - tym ulicom nadano tę nazwę dla uczczenia wydarzeń rozgrywających się po powstaniu styczniowym 1863 r. W tych właśnie miejscach rosyjscy Kozacy urządzili pohulanie, rozpędzając nahażami manifestujący tłum ludzi.

6/ ul. Wiwulskiego - tę opisaną w części swej drogi trasę, którą przed laty /1926 - 1928/ przebywałem uczęszczając do gimnazjum im. Tadeusza Czackiego mieszczącego się przy ul. Wiwulskiego.

3. K P Z ^{x/} - ul. SŁOWACKIEGO

U zbiegu ulic Słowackiego i Wiwulskiego stał dom oznaczony Nr 7/2 z przyległym do niego drugim frontem do ul. Słowackiego. Domy te, parter z piętrem, tworzyły właściwie jedną wspólną posesję.

Przed wejściem przechadzał się wartownik z automatem Peppersza.

Wchodząc do wnętrza mój konwojent przepuścił mnie pierwszego. Od wejścia na podwyższony parter prowadziły schody zakończone dobudowaną drewnianą, oszkloną ścianką z drzwiami. Także holl podobnie był obudowany z trzech pozostałych stron, w kierunku schodów na piętro i do piwnicy oraz na lewo i w prawo do korytarzy. W środku obudowania, z lewej strony w rogu stał stolik, przy którym siedział dyżurny wojskowy.

Przed wejściem zatrzymałem się. Na skinięcie ręką mego konwojenta dyżurny odciągnął urządzeniem zdalnym zasuwę i dał znak by wchodzić. Nacisnąłem kłankę, wsunąłem się do hollu. Tutaj pokierowano mną bym szedł w lewo i zaraz w pierwsze drzwi z lewej strony do pokoju.

Wszedłem. Pokój duży, z jednym oknem. Z prawej strony ustawione biurko, przy którym siedział oficer. Z tyłu za siedzeniem widniał na ścianie portret Stalina.

Oficer jakby czekał na mnie. Wstał, podszedł i przystąpił do rewidowania mnie. Kazał podnieść ręce i sam powyciągał z kieszeni wszystko co miałem przy sobie, układając w jedno miejs-

x/ KPZ - Kamiera Predwaritielnogo Zakliuczenija

/Cela Tymczasowego Aresztowania/

ce na biurku.

Był portfel z dokumentami i niewielką sumą gotówki, pudełko z tytoniem, zapalniczka, kilka kluczy na kółku, m.in. do mieszkania, notes, kalendarz techniczny, pióro, ołówki.

W tym czasie konwojent poinformował oficera, że zatrzymany ma czekać na przybycie, wymienił kto ma przyjść /nazwiska nie zapamiętałem/.

Kazano mi usiąść na wskazane miejsce pod ścianą. Usiadłem. Czekałem długo. Myśli przebiegały jedna po drugich, ogarniała mnie rozpacz.

To co stało się nie budziło złodzenia - zostałem aresztowany, drzwi za mną zatrzasnęły się, czy i kiedy otworzą się?

Co dzieje się w tej chwili w domu? Wiadomość o aresztowaniu mnie zapewne już dotarła. Zadawałem sobie te i inne pytania, ale odpowiedzi nie znajdowałem.

Wreszcie przyszedł ten, ubrany na czarno, który przed paru godzinami przybył po mnie do Biura. Zaczął się rozbierać. Spod palta wyłoniła się wojskowa zielona, długa bluza, sięgająca znacznie niżej pośladków, przepadany był pasem. Na szerokich, złotem błyszczących naramiennikach rozróżniłem stopień podpułkownika.

Mogłem mu się teraz dokładniej przyglądać. Głowę miał silnie szpakowatą, miejscami siwą, duże brwi przykrywały i tak głęboko osadzone oczy; twarz charakteryzowała człowieka srogiego.

Podpułkownik usiadł za biurkiem, wyciągnął z szuflady papiery i przystąpił do spisywania na formularzu drukowanym moich personalii, nie tylko moich lecz także danych dotyczących żony, ojca, matki, rodzeństwa i rodziny. Pytania były b. szczegółowe, w odpowiedziach ograniczałem się do minimum co mogłem powiedzieć.

Na wstępie zadawanych pytań zwróciłem się do podpułkownika

używając zwrotu grzecznościowego, jak u nich jest przyjęte-towarzyszu, ja polityką nie zajmowałem się. Zareagował, zwracając mi uwagę, że towarzyszem on dla mnie nie jest, a po drugie - polityką u nas /t.zn.w ZSRR/ zajmują się specjalnie do tego powołani ludzie.

Zrozumiałem, zwrotu "towarzysz" już nigdy nie stosowałem, gdyż "oni" też nigdy dla mnie nie byli "towarzyszami".

Kończąc spisywanie pułkownik zapytał do jakiej podziemnej organizacji należałem? Odpowiedziałem - do żadnej! Nie należał bym mówić, tylko mi powiedział, że przyjdzie czas a powiem prawdę! Formularz wypełniony na 4 strony złożonych danych do podpisania podsunął. Podpisałem. Po paru chwilach wyprowadzono mnie. Po wyjściu z pokoju w lewo rozciągał się korytarz oświetlony dziennym światłem z przylegających do siebie dwóch pokoi pozbawionych drzwi. Przed "drzwiami" przechadzał się żołnierz z automatem w rękach.

Skierowany zostałem do pierwszego. Mówię - skierowany, przestałem bowiem być już sobą, straciłem osobowość, fizycznie zostałem tylko narzędziem czy też stworzeniem, którym można kierować. Parę kroków postąpiłem naprzód, zatrzymałem się, rozglądając się w nowym otoczeniu.

Z prawej strony pod ścianą, na podłodze leżał skulony, nieduży mężczyzna, z lewej strony w rogu podobnie leżała wynędzniała kobieta, po środku stało paru mężczyzn. W pokoju nie widziałem krzesła czy ławek. Na wprost wejścia było okno, z lewej strony od drzwi stał piec kaflowy do ogrzewania dwu pokoi.

Nikt z obecnych nie rozmawiał, każdy w skupieniu i rysującym się na twarzy przygnębieniu, przeżywał swoje zmartwienie.

Podszedłem do okna, zatrzymałem się patrząc przed siebie.

Po drugiej stronie ulicy rozciągał się olbrzymi gmach /dłu-

gości ok. 100 m/ byłej Okręg. Dyr. Kolei Państwowych - DOKP Wilno. Dom, w którym zostałem uwięziony, był do 1939 r. mieszkaniem prywatnym dyrektora Dyrekcji Kolei inż. Falkowskiego.

Na ulicy ludzie przechodzili w jedną i drugą stronę. W pokoju panowała grobowa cisza. W pewnej chwili mimo okien, w kierunku prawym przeszedł Joczyn młodszy, miał on jechać w delegację po odbiór turbozespołu polowej elektrowni na wagonach kolejowych z Archangielska.

Zacząłem obserwować obecnych. Po pewnym czasie mężczyzna spod ściany poruszył się, powoli podniósł się i obrócił. Poznałem go, to był Janek Rymaszewicz ^{1/}. Ruszyłem ku niemu.

Rymaszewicz na widok mnie, unosząc prawą rękę, nieznacznie przyłożył palec do ust, dając znak milczenia. Zorientowałem się, podszedłem do niego jak do nieznanego. Zarozmiałaliśmy. Był on już tutaj od paru czy kilku dni. Wyjaśnił mi, że ta kobieta pod ścianą jest na szpiclu, t.zn. na donosach, dlatego też lepiej, by nikt nie wiedział o naszej wcześniejszej znajomości.

Gdy mówił to do mnie przyglądałem się jego twarzy; miał podbitą - siniec pod jednym okiem, lewa kość policzkowa zbita, ze zdartym naskórkiem. Janek zauważył, że mu się przyglądam, zaraz mi wyjaśnił - to są skutki śledztwa, noc w noc wywołują go, przeprowadzają dochodzenia, które nie odbywają się bez bicia. Zarzucają mu różne niebywałe sprawy, o których pierwszy raz słyszy. W tym czasie doprowadzają do pokoju jeszcze kilka osób.

Zaczynało już się ciemnieć. Zapaliła się żarówka w korytarzu; blask odbitego od ścian światła wpadał przez wyjęte drzwi do naszego pomieszczenia rozjaśniając panujący już półmrok. W urzędach i instytucjach podłączono już energię elektryczną z małych elektrowni prowizorycznie zamontowanych.

W chwilę potem ukazał się w progu mniemanych drzwi żołnierz

i doniosłym głosem podał komendę - "wychadi opravlatsia" - /wychodzić załatwiać się/.

Wyprowadzono nas na podwórze, a potem po stopniach do ogrodu, gdzie z prawej strony pod ślepa ścianą przyległego domu były wykopane kloaczne doły ogrodzone z lewej strony drewnianym płotem, zasłaniającym widok od ul. Słowackiego. Wzdłuż tej krótkie drogi stali strzegący nas z automatami w rękach żołnierze. Przy ciągłym okrzykiwaniu "bystrej" /szybciej/ czynność ta długo nie trwała. Grupą powróciliśmy do swoich pomieszczeń.

Tak nastąpił ponury i przygnębiający swą ciszą wieczór, lecz niedługo ta cisza trwała. W godzinach wieczornych tutaj dopiero życie się zaczęło.

Za ścianą wzmagał się ruch, dochodziły głośnie rozmowy, słychać było dudnienie kroków, a niebawem pokój nasz zaczął się dopełniać. Przez wieczór i do późnych godzin nocy przybywali coraz to nowi ludzie: mężczyźni, kobiety, po 2 osoby, w pojedynkę lub całymi grupami, raz do nas albo też kierowano innych korytarzem dalej, za nami, do następnego pokoju. Zapełniło się, robiło się tłoczno. Wszyscy stali, półgłosem rozmawiali ze sobą kto i w jakich okolicznościach tutaj trafił.

Ci pojedynczo schwytani to byli wzięci z domu lub wprost z ulicy. Znalazła się pewna kobieta z Zarzecza, z ul. Połockiej, lat do 30. Zabrana ona została za to, że nie wiedziała miejsca pobytu swego męża, który ukrywał się przed aresztowaniem. Oderwano ją z domu od małego dziecka, cały czas płakała.

Byli i tacy, którzy wpadli w zasadzkę urządzoną w mieszkaniach osób już aresztowanych. Zaczajeni agenci NKGB otwierali drzwi, wpuszczali do środka wszystkich, kto przychodził, chociażby przypadkowo zapukał do drzwi. Zatrzymanych w ten sposób trzymano dzień i dłużej, a później w nocy przewożono samochoda-

mi do NKGB.

Nastąpiła już północ. Sen nie ogarniał nikogo. Na twarzach każdego z obecnych malowało się ponure przygnębienie. Głowy opuszczone i każdy pogrążony był w głębokiej zadumie.

Przez korytarz w pobliżu rozmieszczonych pokoi dochodziły głosy "prowadzących śledztwo" - wykrzykiwania i łajania. Między innymi dobiegł dobrze zapamiętany okrzyk w języku rosyjskim: "Ty polska prostytutka" - w chwilę później rozległ się głośny płacz nieznanej kobiety.

Te głosy i podobne wykrzykiwania dochodziły do nas jeszcze długo. Blisko rana wszystko ucichło. Nie ucichło tylko bicie serca i nie ustąpiło podniecenie po tym wszystkim, co poprzedniego dnia się stało.

Niektórzy z obecnych, zmęczeni fizycznie ciągłym stanem na nogach, szukali miejsc przy ścianach, siadając na podłodze, przymykali oczy drzemiąc czy pogrążając się w zadumie.

Już się rozjaśniało, zaczynał się dzień. Ktoś zechciał załatwienia swoich potrzeb fizjologicznych, prosi żołnierza stojącego na korytarzu o umożliwienie wyjścia. Mija czas beznadziejnego oczekiwania. Któraś z obecnych kobiet podaje myśl - załatwić się do pudełka po konserwach, które stały w rogu pokoju blisko pieca i wylać na ruszt do niego. Rzucona myśl znalazła chętnych. Część obecnych zgrupowała się przed wejściem zasłaniając wartownika, inni komu bardzo nagliło, w kącie odlewali do pudełka, po czym zawartość wylewali do pieca.

Gdy później przyniesiono strawę, coś w rodzaju zupy z kapuścianych liści i podano ją w blaszanych pudełkach po konserwach /amerykańskich/, chociaż już drugą dobę nie miałem nic w ustach - nie tknąłem tego.

Gdzieś około godz. 10 ukazało się we "drzwiach" dwóch ofice-

rów. Jeden z nich według listy sprawdził obecność. Przy niektórych na chwilę zatrzymywał się, coś pytał drugiego oficera o wyjaśnienia. Przy wyczytaniu mego nazwiska również zatrzymał się, wyrzekając: "Poczemu on do sich por nie oformlien" /dlaczego on do tego czasu formalnie nie jest załatwiony/. Wkrótce opuścili pokój.

Po południu zaczęli nas wywoływać i zabierać z tego pomieszczenia. Zaczęło stopniowo rozrzedzać się. Przyszła kolej i na mnie.

Gdy usłyszałem swoje nazwisko, tak jak stałem ruszyłem do wyjścia. Kobieta z Zarzecza dobiegła do mnie, daje mi zawiniątko, kawałek chleba z boczkiem, prosząc bym wziął. Dziękując przyjąłem. Przedtem namawiała ona mnie bym poczęstował się. Podziękowałem - jeść nic nie mogłem.

Obróciłem się, skinąłem głową pozostającym na pożegnanie wypowiadając: może jeszcze los gdzieś złączy nas.

Zostałem sprowadzony na dół i oddany strażnikom za pokwitowaniem w książce.

Było to piwniczne pomieszczenie, przerobione na cele więzienne, jeszcze w pełni nie zakończonych robót. Widoczne były wiadra z zaprawą murarską oraz ułożone pod ścianą cegły. Z obu stron przestrzennego pomieszczenia odchodziły dwa korytarze wiodące do cel. W tym przestrzennym pomieszczeniu urzędowali strażnicy. Z niego było wejście do ubikacji oraz jeszcze jeden korytarz prowadzący pod schodami do drugiej części budynku od strony ul. Wiwulskiego. Znajdowało się jeszcze wejście do jednej celi Nr 8, przyległej do korytarza prawego.

Przyjęło mnie dwóch strażników, jak mówiono, byli oni partyzantami. Jeden z nich około 18 lat, szczupły, pociągła twarz, włosy czarne - sprawował funkcję klucznika i nazywał się Bielkin.

Drugi niewiele starszy od pierwszego, wyższy, wzrostu około 170 cm, twarz okrągła, szerokiej budowy, włosy również czarne - sprawował funkcję starszego. Obaj mówili po polsku, najprawdopodobniej byli mieszkańcami Wilna i należeli do narodowości żydowskiej. Ten starszy, o tęgiej budowie, energicznie powiedział, bym stanął twarzą do ściany i podniósł ręce do góry. Stanąłem a ręce jak struny wyciągnąłem, przysłaniając silnie przedramionami uszy, by w razie bicia mieć je zasłonięte i oczekiwałem w napięciu kiedy spadnie na mnie cios uderzenia.

Strażnik w tym czasie powoli obmacywał mnie wzdłuż tułowia i nóg. Gdy usłyszałem głos, bym opuścił ręce i obrócił się - niebezpieczeństwo oczekiwanego bicia minęło. W czasie tej osobistej rewizji pozostał nie dostrzeżony przy mnie mój zegarek kieszonkowy "Omega".

Z kolei powiedział do swego pomocnika, by odprowadził mnie pod dziewiątkę. Cella z numerem 9 znajdowała się w korytarzu prawym, zaraz pierwsza z prawej strony. Strażnik, a właściwie chłopiec z kluczem w ręku wskazał mi drogę; to było kilka kroków. Przed drzwiami kazał zatrzymać się. Otworzył z trzaskiem zasuwę i odsłonił drzwi. Panująca ciemność w celi nie pozwoliła mi nic dojrzeć. Słabe światło żarówki znajdującej się w korytarzu do celi nie wpadało, panował mrok. Zacząłem nieśmiało posuwać się i w tym momencie zostałem pchnięty w plecy, o coś zaczepiłem się nogami, zachwiałem się, ale nie upadłem. Drzwi zamknęły się ze zgrzytem zasuw.

Ostrożnie szukając pod nogami twardego miejsca zacząłem wczuwać się, gdzie znajduję się i co mnie otacza.

Odezwały się głosy, zapraszają bym przesunął się bliżej pod ścianę, dają mi miejsce, sami uściskają się. Przesuwając się do wskazanego miejsca uważałem, by na kogoś nie nastąpić. Obróciłem

się i usiadłem pod ścianą na cementowej podłodze. Wzrok powoli zaczął przyzwyczajać się do ciemności, zacząłem widzieć w panującym półmroku. Było to pomieszczenie w przybliżeniu o wymiarach 2,5 x 3,0 m. Drzwi jednostronne z desek. Nad drzwiami nieduży, prostokątny otwór wentylacyjny, przepuszczał trochę odbitego od ścian korytarza światła. W ścianie zewnętrznej, pod którą usiadłem istniało nieduże okno piwniczne, wychodzące na podwórze górą z poziomem nawierzchni ziemi. Okno osłaniała blacha a przez szparę widniało tylko niebo.

Pod ścianami przykucnięci siedzieli ludzie, około 12 osób. Zaczęto pytać - kiedy mnie wzięli i za co? Mnie opowiadali, że niektórzy siedzą tu już od miesiąca. Są zatrzymani za AK, inni nie wiedzą za co.

Mówili, że są zawszeni. Słuchając te opowiadania niedobrze mi się robiło.

Mijał już drugi dzień od mego aresztowania. Nie układało się nic w głowie, myślą stale byłem w domu, tam została żona i dzieci, nie wyobrażałem rozpaczy żony.

Przed zawszeniem chciałem bronić się przez niezdejmowanie butów. Miałem na nogach buty z cholewami. Myślałem, że chociaż na pewien czas uchronię się przed inwazją tych pasożytów.

Nastąpiła noc. Przykucnięty, z głową w dłoniach, łokciami oparty o kolana siedziałem a myśli snuły mi się nieprzerwanym ciągiem.

Nie miałem wątpliwości co do powodu mego aresztowania. Wszystko wskazuje na to, że przyczyną był Cz.Pilżys, jestem przez niego "sypnięty".

Nadszedł kolejny drugi dzień. Gdzieś koło południa przynieśli w wiadrze posiłek. Podali w takich samych pudełkach po konserwach jak dnia poprzedniego, że zmarzniętych liści z kapusty

ugotowaną polewkę. Chlebem z boczkiem, który podała mi kobieta i niewiele jego tam było, już dzień wcześniej podzieliłem się z bliskimi sąsiadami obok.

W godzinach popołudniowych liczba osób w celi powiększyła się o parę osób.

W trzecią noc próbowałem ułożyć się na podłodze tak jak inni to czynili. Wyciągnąłem nogi gdzieś między ciałami innych ludzi a ręce ułożyłem pod głowę i tak po pewnym czasie zdrzemałem się.

Nastąpił dzień 31 grudnia. Nowy Rok 1945 spotkałem u oficera śledczego.

Gdzieś przed półconą zostałem zabrany z celi i poprowadzony na górę, ręce musiałem trzymać z tyłu. Na korytarzu kogoś prowadzili w kierunku przeciwnym. Natychmiast otrzymałem komendę, bym stanął twarzą do ściany i nie oglądał się. Gdy to wykonałem, za moimi plecami przeszedł ten "ktoś" i żołnierz konwojent za nim. Mój konwojent sprawdził w pokoju, do którego miałem być wprowadzony, czy może tam mnie wprowadzić, gdy odwrócił się podał komendę- wchodzić!

Za biurkiem przede mną stał oficer, leitienant, młody, barczysty, w zielonej bluzie prawie do kolan, włosy ciemne, nos duży, usta wywinęte, jak kiełbaski wyraźnie uwydatniały się pod nosem.

Na wstępie rozpoczynającego się śledztwa zaznaczył, bym mówił prawdę, on już wszystko wie o mnie. Jeżeli nie będę mówił prawdy, to on ma zdrową rękę i podchodząc do mnie uniósł w moim kierunku, prawie pod nos, pięść pokazując.

Najpierw kazał opowiedzieć swój życiorys. Opowiedziałem raz. Kazał ponownie powtórzyć - uczyniłem to, lecz za każdym razem pomijałem wszystko, co mogło by mnie obciążyć. W pewnym momencie

z uniesioną ręką podkoczył do mnie, zamierzając się do uderzenia. W tej chwili z ulicy doszedł odgłos wystrzałów szybko nasilających się, podobny do kanonady. Słychać było wybuchy rakiet, których blask przez okno wychodzące na ulicę, widoczny był.

Śledczy opuścił rękę i do mnie mówi, że to wiwatują na spotkanie Nowego Roku.

Tak, to było dla mnie spotkanie Nowego Roku, na śledztwie zapowiadające nieznaną i ciężką przyszłość.

Z tyłu za mną otworzyły się drzwi, przez które weszło dwóch oficerów. Zwracając się do śledczego i wskazując na mnie jeden z nich zapytał: co na "doprosach" /na śledztwie/. Mój śledczy odpowiedział potwierdzająco. Jeden z nich spojrział na mnie i obaj podeszli do stolika pod ścianą, na którym stał aparat radiowy komuś zabrany, a na nim na drążku zwinięta leżała chorągiew o barwach biało-czerwonych. Jeden z nich wziął do rąk tę chorągiew, rozwinął i powiedział: "tak, niedługo cała będzie czerwona". Poczym porozmawiali i opuścili pokój, przechodząc przez drzwi do przyległego.

Śledczy przystąpił do sprawy ze mną. Zaczął straszyć, wykrzykiwać, bym mówił prawdę, gdyż opowiadając swój życiorys nic nie mówiłem i zataiłem do jakich tajnych organizacji należałem. Zorientowałem się. Nic nie pomoże wypieranie się, należało tylko przyjąć taktykę: nie ciągnąć ludzi za sobą. Mówiłem mało i wstrzemięźliwie, nie obciążając siebie i zaspokajając śledczego. Powiedziałem, że w okresie okupacji niemieckiej należałem do tajnej organizacji Stronnictwa Demokratycznego. Zadaniem tej organizacji było działanie dywersyjne przeciwko Niemcom. Z chwilą wyzwolenia przez Armię Czerwoną organizacja ta przestała istnieć i działalność swą zawiesiła.

Po przeprowadzeniu przesłuchania śledczy przystąpił do pisania protokołu, po czym przywołał mnie do biurka /byłem cały czas na nogach/ i podał papier, bym podpisał.

Gdy to uczyniłem zawołał żołnierza i kazał odprowadzić mnie do celi.

Czas śledztwa trwał chyba ze 3 godziny.

Gdy powróciłem do celi posypały się pytania od moich współtowarzyszy: jak przebiegało śledztwo, co pytał, czy byłem bity?

Gdy dość szczegółowo opowiedziałem o przebiegu śledztwa i zachowaniu się śledczego, mój sąsiad, przez jednego z lewej strony, nazwiskiem Witold Niemirol^{2/} wyraził zdumienie, że tak "na sucho"obeszło się.

Niemirol został aresztowany za udział w AK. Siedział tutaj przeszło miesiąc. W czasie śledztwa zarzucano mu różne sprawy, gdy do nich nie przyznawał się- otrzymywał ciosy.

Tłumaczyłem, że byłem "sypnięty" i do należenia do organizacji przyznać się musiałem. To nie było tchórzostwo - wcześniej lub później tak by się stało.

Po ostatnim przesłuchaniu mijały dni a ze mną i moją sprawą nic się nie działo. W celi Nr 9 zrobiło się tłoczno, każdego dnia przybywali nowi, już byliśmy stłoczeni jeden koło drugiego. W celi zrobiło się duszno. Od wyziewów z niemytych ciał niosło odorem. Przy zdarzającej się okazji otwierania drzwi do celi, powiew świeżego powietrza był nektarem dla każdego z nas.

Nieprzyjemną woń w pomieszczeniu zwiększała jeszcze "parasza"- wiadro z sikami, a czasami i z czymś większym, jeżeli kogoś nagła potrzeba zmusiła do tej czynności. Stało ono koło drzwi. Raz na dobę, w godzinach popołudniowych, byliśmy wyprowadzani do ubikacji. W tym czasie też wynoszono do opróżnienia "paraszę".

Ubikacja w podłodze miała trzy otwory. Trzech załatwiała swe fizjologiczne potrzeby, które przedłużały się nieraz dłużej, a reszta czekając w tym czasie nie próżnowała. Wszyscy zdejmowali koszule i wytrząsali pasożyty; nagromadziło się tego mnóstwo. Tutaj, chociaż przy słabym świetle żarówki czynność tę można było łatwiej wykonać.

Pod koszulą znajdowało się tego sporo. Wszy były upasione, duże, wielkości ziarnka pszenicy i różnych odmian. Niektóre były wysmukłe, szare z czarnymi krzyżami na plecach, inne jasne, pękate i znacznie większe od pierwszych.

Ale tego odwyszawiania się nigdy nie można było dokończyć. Nadzorca Bielkin lub któryś inny, gdy przez okno z pomieszczenia służbowego dojrżeli co dzieje się w ubikacji - wydzierał się, że nie po to nas tutaj przyprowadził i gasił światło.

Któregoś dnia jeden z nowo przybyłych lokatorów celi, widocznie jeszcze po nie przetrawionym obfitym obiedzie miał duże pragnienie. Dobijał się on do drzwi prosząc o kubek wody, gdyż tutaj w celi jest niesamowicie duszno.

Drzwi otworzyły się, nadzorca Bielkin pyta: co chcecie? Ten ponawia prośbę dopełniając, że w tych warunkach umieramy z pragnienia. Otrzymał odpowiedź wypowiedzianą po rosyjsku, przy akompaniamencie trzasku zamykanych drzwi: "sobakom, sobaczyja śmierć" /psom, psia śmierć/.

Po paru dniach pobytu w celi zacząłem jeść to co było przynoszone w wiadrze. W blaszance mieściło się pół litra wody po gotowanych mrożonych liściach kapusty i zwykle trafiał się jeden nieduży liść. Posiłek był rozdawany jeden raz na dobę. Po obiedzie blaszanki od nas zabierano. Do tej zupy otrzymywaliśmy 200 gr chleba. Chleb był dostarczany w bochenkach 1 kg na 5 osób. Dzielenie chleba przeprowadzaliśmy sami. Bez noża, ka-

wałkiem blachy od wieczka z blaszanki, zdobytej przez kogoś już wcześniej, chleb z trudem na porcje był dzielony tak, by nikogo nie skrzywdzić.

Dzielenie chleba odbywało się na jakiejś szmacie, aby okrusz nie pogubić i w obecności wszystkich. Podział chleba musiał być sprawiedliwy. Rozdział porcji odbywał się przez losowanie. W tym celu jeden odwracał się tyłem, a drugi z wybranych wskazywał palcem na porcję. Ten co siedział tyłem wymieniał nazwisko, komu te pogniecione okruszki dać.

Każdy swój chleb jadł w ten sposób, ażeby nie uronić ani jednej odrobiny. W tym celu przykładł dłoń pod brodę lub rozpościerał jakąś szmatę i jeżeli coś upadło - skwapliwie zbierał.

W parę dni po Nowym Roku wrzucili, dosłownie wrzucili człowieka, który zaraz ułożył się na posadzce. Przypadło mu miejsce w nogach ludzi zajmujących miejsca od ściany zewnętrznej i wewnętrznej tj. po linii środka celi, tuż przy moich nogach.

Nic nie rozmawiał tylko stękał.

Przyglądając się mu rozpoznałem znajomą twarz. Był to Kossakowski ^{3/}. Gdy odezwał się mówił, że jest ciężko chory, ma zapalenie płuc.

Jeszcze przed przybyciem Kossakowskiego do celi Niemirowa, w opowiadaniach na temat aresztowań wspominał o nim. Jako podchorąży MP Kossakowski był w którymś z oddziałów AK na Śnipiszkach. Po wejściu wojsk sowieckich został on aresztowany. W niedługim czasie wypuścili go, by "sypał" innych. Wkrótce powtórnie został aresztowany.

Kossakowski znając dużo ludzi wydawał. Znajdując się w areszcie wyjeżdżał razem z agentami NKGB i wskazywał domy, z którego miał być ktoś zabrany. W ten sposób z jego ręki wielu już aresztowano.

Nikt mu nie ufał, podejrzewali go, że może być "suką", to jest siedzieć tutaj w celi a później u śledczego "szczekać" co słyszał. Wszyscy przed nim byli zamknięci w sobie.

Ja miałem powód posądzać Kossakowskiego o pośrednią przyczynę aresztowania mnie. Ale o tym w końcu Rozdziału 5.2. Sąd. Toteż odniosłem się do Kossakowskiego z rezerwą i nie wdawałem się z nim w rozmowy. Po paru dniach został on od nas zabrany i więcej nigdzie go nie spotkałem.

Wśród aresztowanych znajdowali się ludzie młodzi i starzy za jakies "przestępstwa" polityczne i za nic.

Był w celi pewin starszy mężczyzna. Zabrali go z domu, mieszkał on w Kolonii Kolejowej. W nocy przyjechali szukać jego zięcia. Pytają córkę, gdzie jest mąż? Męża w domu nie było. Chcieli ją zabrać, ale ona z małym dzieckiem, więc zabrali ojca. Na głowę włożyli worek i wrzucili go do samochodu. Po drodze pozbierali w podobny sposób jeszcze kilka osób i przywieźli, nie wiedział on nawet gdzie się znajduje.

Wśród nas znajdował się pewien Litwin, starszy, w wieku około 70 lat. Miał swoje gospodarstwo. W pobliżu przebiegał tor kolejowy. Nad strumykiem istniał mostek kolejowy. Pewnej nocy nieznanymi sprawcami ten mostek podpalili, drzewa i słomę na rozpałkę wzięli z jego podwórza. On w tym czasie spał. Rozbudziło go szczekanie psa. Gdy ujrzał łunę wybiegł i przy pomocy sąsiadów pożar ugasił. Ślady roztrzęsionej słomy prowadziły z jego podwórza. Został on aresztowany. Współudział w sabotażu zarzucono mu. W czasie prowadzenia śledztwa zmuszano go, by przyznał się do winy. Pewnej nocy, po powrocie ze śledztwa miał na twarzy liczne ślady pobicia. Uskarżał się, że wybili mu zęby, ze stanu uzębienia i tak już przerzedzonego wiekiem. Trzymając się za twarz wybąknął, że ma już tego dosyć - przyznał się. Zaraz że

był sądzony - otrzymał 10 lat.

Podobnie było z chłopakiem w wieku około 25 lat, narodowości litewskiej. Przy zabawie ów chłopak z rówieśnikami wdrapali się na stojący przy drodze słup telegraficzny. Na słupie znajdował się umocowany kabel telefoniczny łączności wojskowej. Czy kabel został zerwany, a najprawdopodobniej nie, chłopców aresztowano. W podobny sposób został on zmuszony do przyznania się do uprawiania sabotażu. Zasądzony wyrok opiewał 10 lat.

Wśród nas znajdował się również pewien mężczyzna w wieku średnim, ponownie złapany po 1941 r. kiedy to uwolniony został po bombardowaniu torów kolejowych przez samoloty niemieckie. Wówczas służba NKGB uciekła z parowozem i jednym wagonem osobowym, wywożąc akta aresztowanych. Aresztowani znaleźli się na wolności, lecz ich sprawa po 3 latach powróciła, stała się aktualna, gdy ponownie przyszła władza radziecka i przywiozła z powrotem wywiezione wówczas dokumenty.

9 stycznia wieczorem zostałem wezwany i przeprowadzony do celi Nr 8, która mieściła się po wyjściu z korytarza, tuż z prawej strony. W celi już znajdowało się do 10 osób. Była to komórka mała o wymiarach niewiele ponad 2 x 2 m. Drzwi stale otwierały się i dopełniano o 1 lub 2 osoby więcej. Nie wiedziałem co dzieje się.

Wkrótce pomieszczenie szczelnie wypełniło się tak, że nadzorca upychał, by móc zamknąć drzwi. W tej pozycji, bez możliwości nawet obrócenia się staliśmy parę godzin. Ze zmęczenia i duszności panującej w komórce wszyscy oblewali się potem.

O północy drzwi się otworzyły, wypuszczono nas. Zabierali po 5 osób i wyprowadzali. Gdy doszła kolejka do mnie, znalazłem się na ulicy przed samochodem ciężarowym skrzyniowym. Kazano włączyć do samochodu i siadać w rozkroku ludzi już siedzących

na podłodze jeden obok drugiego.

Tak usadawiali następnych aż skrzynia samochodu została wypełniona szczelnie. Nie było możliwości wstania. Tym sposobem zabezpieczyli się przed ewentualną próbą ucieczki z transportu. Samochód ruszył, pojechaliśmy ulicami miasta.

Objaśnienia do odsyłaczy

1/ Jan Rymszewicz - kolega z PST w Wilnie, znaliśmy się od 1933 r. Po śledztwie w KPZ ul. Słowackiego, bez sądu został wywieziony do Kaługi pod Moskwą. Przybywał tam razem z żołnierzami AK. Po dwóch latach powrócił do kraju. Zamieszkał w Sopocie. Jest inżynierem elektrykiem. Ma żonę i syna.

2/ Witold Niemiro - delegat AK z Warszawy na Okręg Wilno, pracownik Zakł. Ursus na Żeraniu, był w łagrach Workuty. Powrócił do kraju.

3/ Kossakowski - jako podchorąży WP był w którymś z 3 oddz. AK działających w czasie akcji "Ostra Brama" dzielnicy A - Kalwaryjska. Były Rejony:

Rejon I "Andrzeja" /por.art. Wacław Korzeniowski/

Rejon II "Mocnego" /por. Wacław Pietkiewicz/

Rejon III "Białego" /por.art. pol. Władysław Roszkowski/

U w a g a: Przez czas przebywania w KPZ na Słowackiego od mej żony przyjęto par^e paczek żywnościowych, nawet po 9 stycznia. Żadnej z nich nie dostarczono adresatowi.

4. K P Z - ul. SADOWA 25

Po kilku minutach jazdy samochód zatrzymał się na ulicy Sadowej, w pobliżu Dworca Kolejowego, przed gmachem byłej Dyrekcji Poczt i Telegrafów. Był to już dzień 10 stycznia 1945 r.

Po zejściu z samochodu obszukano nas. Mnie kazali zdjąć passek od spodni i oddać. Zegarek "Omega" nadal pozostał nie dotrzeżony. Następnie wprowadzono do środka schodami w dół, a potem korytarzem w lewo do końca. Tutaj po lewej stronie otworzyli drzwi. Wszedłem do środka.

Pokój obszerny z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Z lewej strony zaraz od wejścia stał piec kaflowy i tuż przy nim "parasza". Podłoga z desek. W pokoju znajdowało się dwoje ludzi, jacyś kolejarze.

Do września 1939r. mieściło się tu archiwum akt dyrekcji i mieszkania służbowe niższych pracowników. Piwnica nie była głęboko osadzona w ziemi.

Od współtowarzyszy, których tutaj zastałem dowiedziałem się, iż gmach ten zajmuje milicja kolejowa i my siedzimy w ich areszcie. Na piętrze, podwyższonym parterze znajduje się kuchnia i pracownicza stołówka dla kolejarzy.

Ułożyłem się na jednej pole swego kożuszka a drugą przykryłem się. W odróżnieniu do KPZ na Słowackiego powietrze tu było czyste, lecz panujący chłód nie pozwalał nawet zdrzemnąć się.

Rano wyprowadzili do umywalni i na swoje potrzeby. Po 13-tu dniach umyłem, chociaż bez mydła, ręce i twarz, przetarłem oczy.

Przy adaptowaniu tego pomieszczenia na areszt dookoła prowadzono roboty murarskie.

W południe otrzymaliśmy obiad. Zupa ze stołówki, podana w miskach była podobna do zupy, chleba to samo - 200 gram.

Teraz w dzień widziałem, że szyby w oknach były ze szkła matowego, wewnątrz zbrojone siatką drucianą. Od czasu do czasu na szyby padał cień od nóg przechodzących chodnikiem ludzi.

Zacząłem myśleć w jaki sposób przekazać do domu wiadomość gdzie znajduję się. Przygotowałem kawałek bibułki papierowej a na niej krótko podałem miejsce, gdzie znajduję się, i adres - komu ma być doręczona. Bibułkę i kawałek grafitu od ołówka dostałem od współtowarzyszy.

Następnego dnia w czasie wyprowadzania, przechodząc koło pracującego młodego robotnika opuściłem zwiniętą kartkę na gruz pod nogi jego; widziałem, że dostrzegł, czy podniósł - tego nie wiem.

12 stycznia przed południem słyszalny był przez okno warkot samolotu. Po kilku chwilach potężna detonacja wstrząsnęła budynkiem, aż jedna ze ścian wewnętrznych w naszym pomieszczeniu zarysowała się i z pieca wyrwało drzwiczki, zasypując wnętrze sadzą.

Przypuszczaliśmy, iż jest to nalot niemiecki i w pobliżu nas wybuchła potężna bomba.

Po paru minutach wszedł milicjant w stopniu sierżanta, szef tutejszego aresztu; sprawdził czy wszystko jest w porządku. Dopiero pod wieczór wyjaśniło się.

Do naszej celi przybyło trzech ludzi. Byli to kolejarze. Opowiedzieli w skrócie co stało się. W następnym dniu więcej znalazło się zatrzymanych w celi. Mówili oni, że tego dnia koło godz. 11 z Porubanka nadjeżdżał pociąg wiozący materiały wybuchowe. Tor kolejowy w tym miejscu biegnie łukiem z góry. Przy wejściu na stację semafor był zamknięty. Maszynista nie mógł pociągu zatrzymać, wjechał na tor zajęty. Jadąc z góry z całą siłą rozpędu uderzył w stojące wagony towarowe. Nastą-

piła silna, potężna eksplozja i pożar. Paliły się wagony z amunicją i innymi materiałami, następowały kolejne wybuchy. Kolejarze z narażeniem życia rozszczepiali pociąg i udało się tył jego na bezpieczną odległość odciągnąć.

Eksplozja była bardzo silna. Na torach wyrwało olbrzymi otwór, w którym mógłby schować się parterowy dom z dachem i nie byłby widoczny. Koła z osiami wyrzuciło na odległość około kilometra. Szyby z okien wypadły prawie w całym mieście.

Miało to miejsce niedaleko elektrowni kolejowej, w pobliżu wiaduktu przez tory na Rudniki.

Kolejarzom zarzucali sabotaż, dywersję i stąd pochodzą te liczne areszty. Ponieważ ten areszt należał do milicji kolejowej, więc trafiali tutaj i ludzie przygodni, lecz najwięcej różnych włóczęg i dezertersów, żołnierzy radzieckich, uciekinierów z frontu.

Mnie ciągle męczyła jedna myśl, co dzieje się z rodziną? Wszelkim możliwym sposobem chciałem przekazać wiadomość o miejscu mego znajdowania się. Przy okazji wychodzenia ludzi z naszej celi po chleb do piekarni, względnie na jakieś roboty, dawałem ludziom kartkę do przekazania osobom cywilnym z prośbą na niej o przekazanie pod wymienionym adresem. Kartki pisałem na adres żony lub matki, podając w niektórych okna pomieszczenia celi, gdzie się znajduję.

Zdarzyła się także sposobność załatwić sprawę samemu. Do stołówki po zupełny szef aresztu nieraz brał jednego z celi na ochotnika. Któregoś dnia zgłosiłem się z przygotowaną kartką. Gdy znalazłem się na górze, wykorzystując chwilę nieuwagi mego "opiekuna", niepostrzeżenie, młodej panience z obsługi stołówki oddałem kartkę. Kartkę przekazałem, lecz miałem pecha. Stałem przy ścianie w miejscu wyznaczonym przez "opiekuna". Inna młoda

dziewczyna podchodzi do mnie i daje kawałek chleba, może kilogram. Przyjąłem z myślą o podzieleniu się z kolegami, bo żołądki nasze były puste. Zbliżenie się do mnie dziewczyny mój "opiekun" zauważył. Zareagował - odwołał dziewczynę, skrzyczał na nią i zastraszył. Nie pamiętam już co się stało z chlebem.

Po powrocie do piwnicy przeprowadził mi rewizję i więcej iść po zupę do stołówki z naszej celi nie brał ochotnika.

Warunki bytowe w porównaniu z KPZ na Słowackiego, na Sadowej były lepsze. W krótkim czasie uruchomiono prysznic i piec dezynfekcyjny. Okresowo przeprowadzano kąpiel i poddawano praniu naszą bieliznę z ubraniem.

W nawiązaniu łączności z rodziną, dzięki ofiarności i dobremu sercu ludzi, do rąk których moje grypsy trafiały, może nie wszystkie, lecz część z nich otrzymała moja rodzina.

I oto radość moja. Któregoś dnia rano, jeszcze było ciemno, usłyszałem przez okno, jakże znajomy mi głos i słowa mojej żony, Wiery: "Juleczku, my tu" /Juleczku - tak mnie nazywano w domu, żona była z moją siostrą Jadzią/.

Niedługo potem otrzymałem paczkę, ale mnie nie o paczkę chodziło, lecz o nawiązanie kontaktu, a to się stało, z czego niezmiernie cieszyłem się. Paczkę, z pewnym trudem w domu zrobioną, tutaj na wstępie przy sprawdzaniu przez milicjantów zawartości jej, zostaje ograbiona. Zdobytą w ten sposób żywnością obdarzali żołnierzy rodziny będących w areszcie.

Niezależnie od powyższego otrzymaną żywnością z paczki /posiadacz jej/ musiał dzielić się. Jeśli ktoś dobrowolnie nie dał, to zgraja ruskich kryminalistów zabierała całość i między sobą rozdzieliła. A oni większością tutaj byli.

Po niedługim czasie cela nasza wypełniła się. Spośród Polaków do aresztu trafił m.in. lekarz Konopko ^{1/}. Został

aresztowany za udzielanie pomocy rannym żołnierzom AK w czasie akcji "Ostra Brama".

Był pewien technik kolejarz, który w czasie obiadu w stołówce nieoględnie powiedział, że samoloty amerykańskie są sprawniejsze od radzieckich. Zarzucano mu uprawianie szkodliwej propagandy przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Trafił do naszej celi z grupą trzech ludzi człowiek, jak go nazywano "milioner", nazwiskiem Muraszko^{2/}. Pracując jako strażnik kolejowy pozostali pod jego ochroną okradali wagony z przewożonej żywności. Szybko go z całą grupą osądzono na karę 20 lat katorgi.

W areszcie znajdował się też Francuz. Jako niemiecki jeńiec wojenny pracował u gospodarza Niemca w Prusach Wschodnich. Przy zbliżaniu się frontu Niemcy uciekli, on pozostał pilnując inwentarza żywego. Traktowano go lepiej od pozostałych więźniów. Wkrótce zabrano go.

Teraz, kiedy żona wiedziała, gdzie znajduję się, zacząłem otrzymywać paczki częściej, nastąpiła wymiana brudnej bielizny.

Zwykle przy zwrocie worka od paczki starałem się umieścić /np. w szwie/ gryps z podaniem wiadomości o sobie. W jednym z takich grypsów prosiłem o wymianę mego kożuszka na płaszcz zimowy. W następnej paczce to o co prosiłem otrzymałem. Zdecydowałem się na przekazanie odwrotnie zegarka znajdującego się przy mnie. Tak też zrobiłem, lecz to nie powiodło mi się. Strażnicy schowany z kożuchem i brudną bielizną zegarek znaleźli i przekazali oficerowi śledczemu.

W parę dni później wezwali mnie na przesłuchanie. Wówczas oficer śledczy zapytał, skąd miałem zegarek i wyciągnął go z szuflady. Odpowiedziałem - przy różnych rewizjach nie znale-

ziono go przy mnie.

Wówczas napisał ręcznie na świstku papieru pokwitowanie o wzięciu zegarka na przechowanie. Jakie znaczenie miało to pokwitowanie? Po czym zaczęły się moje drugie "doprosy" - przesłuchanie.

Pytał o nieznane dla mnie sprawy. Otrzymywał odpowiedzi przeczące. Gdy to powtórnie powtórzyło się, chwycił obok stojący stołek i rzucił nim we mnie. Zasłaniając się ręką, uchroniłem się od uderzenia.

Pyta: czy mam żonę i dzieci? I dla nich miejsce znajdzie się, Związek Radziecki jest duży - powiada. To powiedzenie śledczego pobudziło mój, już otępiały trochę, niepokój wewnętrzny.

Niedługo potem zostałem przeniesiony do innej celi, od podwórza. Cella miała, tak jak i poprzednia, dwa okna tylko, że z szybami przezroczystymi i okratowane. Przez okna widoczne było co dzieje się na podwórku.

Nadeszła Niedziela Palmowa. Na podwórzu od rana zbierali się ludzie, bo był to dzień przyjmowania paczek.

Otrzymałem paczkę, a później widziałem przez okno żonę, syna i matkę. Oni mnie również widzieli, lecz zdążyła, gdyż zbliżyć się do okna strażnik nie pozwalał ludziom.

Nastąpił dzień Wielkanocny 1 kwietnia 1945 r. Gdzieś przed południem zostałem wezwany zbierać się z rzeczami, t.zn. z tym wszystkim, co miałem przy sobie. Otrzymałem konwojenta i wyprowadzony zostałem na ulicę.

Objaśnienia do odsyłaczy

1/ Konopko - poza KPZ Sadowa nigdzie go nie spotkałem

2/ Maraszko - "Milioner" tak go nazywano z powodu grubej afery, w którą się wplątał.

W roku 1946/47 przelotnie spotkałem go w Workucie, w łagrze kopalni 17 jako katorżanina. Był ciężko chory.

5. POWTÓRNIE K P Z ul. SŁOWACKIEGO

5.1. Ś l e d z t w o

Miasto wyglądało jakby wymarłe, na długości drogi przeszło 2 km widziałem niewiele ponad parę osób.

Konwojent w ślad z tyłu na mną stąpał, doprowadzając mnie do miejsca już znanego - do KPZ na ul. Słowackiego.

Tutaj ulokowano mnie w celi nr 12. Drzwi do celi prowadziły z korytarza z lewej strony podziemnego labiryntu.

Pomieszczenie było małe niecałe 2 m szerokości i długie ok. 4 m, z jednym okienkiem ze szkła matowego i zbrojonego siatką drucianą, wychodzącym na ul. Słowackiego, poziomem wyżej chodnika. Ludzie tutaj leżeli na cementowej posadzce w poprzek celi, głowami do ściany z prawej strony. Mnie jako nowicjuszo- wi przydzielono najgorsze miejsce koło "paraszy". To miejsce miało i swoje dodatnie walory. Przez szczelinę między drzwiami a podłogą dostawał się strumień świeżego powietrza umożliwiający swobodne oddychanie, z czego cieszyłem się. Cella ludźmi była przepełniona i pozbawiona jakiegokolwiek wentylacji. Wszystkich mieszkańców celi zatrzymano za przynależenie do AK.

Najstarszy wiekiem był mjr Tadeusz Topór - Wąsowski, "Nowicki" ^{1/}, komendant Dzielnicy Markucie, Popławy, Zarzecze w akcji "Ostra Brama". Znałem go przedtem, mieszkał blisko mnie na Pióramoncie. Tutaj miejsce dla mnie przypadło obok niego.

Znajdował się też por. Władysław Roszkowski, "Biały" ^{2/}, oficer zawodowy z pułku artylerii polowej, Dow. Rejonu III-Kalwaryjska w czasie walk o Wilno.

Najmłodszym wiekiem był chłopak lat 15, nazywał się Mic-

kiewicz, w oddziałach AK pełnił funkcję luzaka.

Wąsowski marzył o wolności i gdyby to nastąpiło dawał mi propozycję, byśmy razem jechali do Warszawy, do jego domu - willi. Tam pod Warszawą znajdziemy azyl i będziemy życie układać od nowa. Wówczas myślałem sobie, że to są nierealne mrzonki starszego człowieka.

Okres mego przebywania na Sadowej najwidoczniej był spowodowany tym, że chwilowo śledztwo w mojej sprawie było zawieszono do czasu zebrania materiałów dowodowych. Na Słowackiego panowała ciasnota i chwilowo należało niepotrzebnych zakwaterować w innym miejscu.

Wkrótce po powtórny przybyciu na Słowackiego zaczęło się me przesłuchanie. Przydzielono mnie do oficera śledczego kpt Mersona, najprawdopodobniej narodowości żydowskiej - wskazywało na to jego rysy twarzy i włosy. Merson charakteryzował się dużą inteligencją, spokojem i rzeczowością.

Jego metody przeprowadzania śledztwa jak i innych śledczych były te same, wyuczone według pewnego ustalonego szablonu.

Pytał, czy oskarżony jest żonaty, czy ma dzieci, a jeśli tak to pobudzał uczucia rodzinne, gdyż on także ma żonę i dzieci i bardzo tęskni za nimi. Wszystko to po to, by swą ofiarę załamać psychicznie i wyciągnąć z niej w przystępie występującego rozczulenia, jak najwięcej co się da, bez bólu, a jeżeli te metody nie pomagają to użyć zastraszenia, w końcu bowiem wymusić przyznanie się do wszystkiego, co chciał śledczy usłyszeć.

I nie ma mowy o tym, by podejrzenie mogło być zdjęte z obwinionego. Jeżeli się raz wpadło, to wyjścia już nie było. Zatem słusznie charakteryzowało śledczego powiedzenie: "dajcie mi tylko człowieka a paragraf /do obwinienia/ ja mu znajdę".

Zgodnie z tą zasadą postępował w stosunku do mnie mój śledczy kpt Merson.

Moje stanowisko do śledztwa, mając dużo czasu na Sadowej, dobrze przemyślałem. Nie ulegało wątpliwości, że siedzę wskutek złożonego zeznania na mnie. Musiałem przyjąć taktykę ograniczania się w wypowiedziach, nie uzewnętrzniać się i nikogo nie "sypać", niech to zamknie się w małym kręgu.

Zgodnie z tą zasadą moje zeznania były następujące:

Należałem do tajnej organizacji Stronnictwo Demokratyczne. Do organizacji zostałem zwerbowany przez dawnego swego znajomego Bilińskiego /nazwisko zmyślane/, który mieszkał przy ul. Makowej nr domu... /dom zniszczony w czasie ostatnich działań wojennych/. Mój pseudonim "Ryszard".

Celem organizacji było stawianie oporu biernego hitlerowskim władzom okupacyjnym. Po wyzwoleniu organizacja została rozwiązana i żadnej działalności nie prowadziła. W zakładzie pracy do organizacji należał - tu wymieniłem nazwisko jednego z AK, poległego w walkach o Wilno.

To zeznanie złożone śledczemu musiałem dobrze wyuczyć na pamięć i znać jak pacierz, gdyż należało to przez kilka wezwań na przesłuchania powtarzać nie myląc się.

Śledztwo z reguły odbywało się w godzinach nocnych, najczęściej co drugi dzień. Merson nie przywiązywał uwagi do moich zeznań, bo i tak zapewne wiedział, że to nie jest prawdą, co mówiłem.

Najpierw doprowadził do naocznego spotkania z Cz. Pilżyssem.

Pilżys stwierdzał, że został przyjęty do organizacji przez "Ryszarda" i potwierdził, że po wyzwoleniu działał na moje polecenie w kolportażu podziemnej prasy "Niepodległość", przy tym podał skąd odebrał paczkę. Co go skłoniło do takiej szczerości

w składanych zeznaniach - nie wiem? Co miałem robić, czy zaprzeczać temu?

Potwierdziłem, że tak w istocie było. Teraz, jak z dziurawego worka posypały się donosy na mnie.

Pewnej nocy mój śledczy pokazuje i daje mi protokół do przeczytania złożonych zeznań przez Joczyna /starszego/. Podawał on o pracy organizacji. Wymienił parę nazwisk, m.in. Tadeusza Lisowskiego, "Mikołaja" i to, że "Ryszard" od Lisowskiego przyjął funkcję w Wydziale Miejskim w Niepodległościowej Radzie Zakładowej Dzielnicy Kalwaryjska, obejmującej północną część miasta. Po wyzwoleniu odbyło się w moim mieszkaniu zebranie /we wrześniu/, w którym on uczestniczył.

Po tym, co przeczytałem nic mi już nie pozostawało... tylko potwierdzić, że tak było, z zastrzeżeniem, że zebranie u mnie odbyło się w celu rozwiązania się. Od czasu wyzwolenia przez Armię Czerwoną organizacja żadnej działalności nie prowadziła.

W pewnym końcowym dniu śledztwa Merson wdał się w rozmowę mówiąc: czemu wy Polacy walczyście o te ziemie na wschodzie. Potraficie w walce ginąć, cierpieć w więzieniach i znosić zsyłki na Sybir a nie potraficie przystosować się do realiów czasu, do rzeczywistości.

Odpowiedziałem: my walczyliśmy dlatego, bo nasi dziadowie i pradziadowie byli tu i też o to walczyli, co nam inni zabrali. Cierpimy dlatego, że nie poszliśmy na współpracę z Niemcami, walczyliśmy przeciwko nim, a teraz za należenie do organizacji antyhitlerowskiej jesteśmy więzieni. Wmawia się nam uprawianie wrogiej propagandy, sabotażu i wiele innych rzeczy przeciwko Związkowi Radzieckiemu - a to wszystko nie jest prawdą.

Ta szczerą wypowiedź, sprowokowana przez śledczego, kosztowała mnie dopisanie w oskarżeniu jednego punktu z § 58 o dążeniu do oderwania od Związku Radzieckiego części terytorium.

Po każdym powrocie ze śledztwa współtowarzysze w celi wypytywali o szczegóły przeprowadzonych badań.

Na przesłuchaniach działo się różnie, niektórych bito, zabierano również do karceru - celek, klatek ciasnych, w których można było tylko stać; zaganiano tam rozebranych do bielizny na parę a może i na więcej godzin.

Po spędzonych nocnych godzinach na śledztwie w dzień w celi spać nie pozwalali.

Merson prowadząc przesłuchanie ze mną poznał nie tylko sprawy moje, lecz również znał wszystko o mojej rodzinie. Nie ja mu powiedziałem - musiał przeprowadzić wywiad na miejscu. Znał dokładnie kto czym się zajmuje, wiedział o siostrze Walerii i o jej mężu Leonie Baranowskim i wyraził zdumienie z powodu faktu wzięcia przez Baranowskiego ślubu w kościele /sierpień 1944 r./

Pytał gdzie znajduje się mój brat Czesław, odpowiedziałem, że nic mi nie jest wiadomo.

W tych okolicznościach też ujawniło się moje drugie nazwisko. W czasie aresztowania mnie figurowałem jedynie pod nazwiskiem pierwszym.

W pewnym kolejnym nocnym śledztwie wszedł do pokoju prokurator w stopniu podpułkownika /nazwiska nie znam/. Po krótkiej wymianie zdań z Mersonem zwracając się do mnie mówi: "Wszakże Wy jesteście wielkim przestępcą, władaliście pół miastem". Nic mu na to nie odpowiedziałem, bo o nic nie pytał.

W pewnych ostatnich dopytywań Merson podał mi teczkę z protokółami przesłuchań i innych aktów oskarżeń do wglądu i zapo-

znania się z całością sprawy. Było tego dużo. Przejrzałem urywkowo, natrafiając na oświadczenie w mojej sprawie dyr. Łarionowa. Scharakteryzował on moją postawę do spełniania obowiązków służbowych pozytywnie, jednak podał wzmiankę, że niechętnie organizowałem "sobotniki" /praca w soboty ponad obowiązujące godziny/.

Czy tak było nie wiem, jednak wypadało podać coś negatywnego.

Ponieważ okienko z naszej celi wychodziło na ul. Słowackiego mogliśmy co pewien czas widzieć kolumny ludzi pędzonych do transportu. Działo się to w nocy. Jeden z nas patrzył przez małą szczelinę w szybie i zdawał relację z tego, co widział.

Kolumny ludzi otoczone konwojem pieszym i konnym z psami posuwały się powoli w kierunku kolei.

Więźniowie przebywający w celi to byli Polacy, a Polacy to w większości katolicy ale, jak mówi przysłowie: gdy jest trwoga to do Boga. Toż przed zapadnięciem zmroku w celach odbywały się zbiorowe majowe modły do Matki Boskiej, polecające Jej opiece. Modlono się głośno, to denerwowało przebywających na korytarzu strażników.

Jednym z nich był młody Żyd nazwiskiem Rabinowicz, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany w były mundur Wojska Polskiego, poprawnie mówiący po polsku. Jemu najwięcej nie podobało się to zachowanie więźniów. Otwierał drzwi wykrzykując, byśmy zachowali ciszę, mówiąc: modlić się nikt wam nie zabrania, lecz tak módlcie się, by słyshał tylko Bóg."

Innym razem ktoś z celi powiedział, że będzie skarżyć się, nie pamiętam o co chodziło. Wówczas Rabinowicz odpowiada: że nic to nie pomoże, bo do cara daleko a do Boga wysoko i jeden ani drugi skargi nie usłyszą. I takie humoreski dla urozmaice-

nia działały się też.

4 maja wieczorem wezwano mnie, ale teraz nie na górę lecz na dół do byłej kuchni, gdzie oświadczone, że jutro odbędzie się Sąd i doręczono mi na piśmie akt oskarżenia.

Zastosowano obwinienie według II Kodeksu Karnego RFSRR artykuł 58 paragraf 2, 10, 11 i 14.

W oskarżeniu znalazło się wszystko to czym obwinić mogli hitlerowcy, gdybym znalazł się w ich rękach.

A oto omówienie kodeksu:

II K.K RFSRR /Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka/ ujmuje przestępstwa państwowej wagi między przestępstwami kryminalnymi, gdyż w ZSRR nie ma przestępstw politycznych, są tylko kryminalne.

Artykuł 58 składa się z 14 paragrafów.

58 p.1 - Konfrontacja. Każda działalność mająca na celu wystawianie na szwank władzy radzieckiej.

W 1934 r. zostały dodane do tego paragrafu punkty 1a , 1 b, 1 c i 1 d.

W myśl tych punktów działania, wystawiające na szwank moc wojenną ZSRR podlegają karze rozstrzelania /1 b/. Przy okolicznościach łagodzących i do osób cywilnych /1 a/ karę ograniczono do lat 10.

58 p.2 - Mówi o powstaniu zbrojnym, zagarnięciu władzy, zwłaszcza w celu oderwania siłą jakiegokolwiek części terytorium Związku Radzieckiego.

Kara do śmierci włącznie przez rozstrzelanie.

- 58 p.3 - Spiskowanie z obcym państwem.
- 58 p.4 - Udzielanie pomocy burżuazji międzynarodowej.
- 58 p.5 - Skłanianie obcego mocarstwa do zaatakowania ZSRR.
- 58 p.6 - Szpiegostwo.
- 58.p.7 - Działanie na szkodę przemysłu, transportu, handlu, obiegu pieniężnego i spółdzielczości.
- 58 p.8 - Akt terroru /oddolnego/.
- 58 p.9 - Dywersja /niszczenie lub uszkodzenie/.
- 58 p.10- Propaganda lub agitacja zachęcająca do obalenia, podkopywania lub osłabiania władzy sowieckiej a również rozpowszechnianie albo przygotowanie, bądź przechowywanie publikacji tejże treści.
- 58 p.11- Nie miał samodzielnej wagi, dostarczał jedynie dodatkowego balastu do każdego z poprzednich paragrafów - jeżeli działanie było grupowe lub tworzyło organizację.
- 58.p.12- Niedoniesienie o czyichś przygotowaniach do popełnienia przestępstwa kontrrewolucyjnego /wiedział a nie powiedział/.
- 58 p.13- Dotyczył służby w carskiej ochronie.
- 58 p.14- Świadome uchylenie się od obowiązków albo umyślne niedbałe ich wykonanie, sabotaż albo ekonomiczna kontrrewolucja.

W nocy wezwano mnie do śledczego Mersona.

Śledztwo już było zakończone, wezwał on mnie tylko, by oznajmić, że jutro będzie Sąd. W związku z tym pouczał jak mam zachowac^c się, by Sąd ustosunkował się do mnie pozytywnie,

t.zn. bym okazał skruchę, przyznał się do zarzucanego mi obwinienia. Sąd w takim przypadku zastosuje łagodniejszy wyrok kary. Po tych rozmowach wręczył mi paczkę, którą-powiada - przyniosła mi żona.

Wróciłem do celi późno w nocy, wszyscy jej domownicy spali.

Rano, była to sobota 5 maja, zgrzytnął w drzwiach klucz i usłyszałem swoje nazwisko, bym zbierał się na Sąd.

Objaśnienia do odsyłaczy

1/ Mjr Tadeusz Topór - Wasowski, "Nowicki".

Zabrano go z celi w połowie kwietnia. Co się z nim działo później /i stało/ nie wiadomo.

2/ Por. Władysław Roszkowski, "Biały".

W maju kazano mu ubrać się w mundur wojskowy i wywieziono go z Moskwy. Przebywał na Workucie z wyrokiem 10 lat.

Powrócił do Kraju w 1956 r.

Mieszkał w Sopocie. Zmarł w 1987 r.

5.2. Sąd

Zostałem doprowadzony do małego pokoiku na parterze z oknem wychodzącym na podwórze. Przed oknem, na niewysokim podniesieniu stał stół, przed stołem ławki, z tyłu za ławkami znajdowały się drzwi wejściowe do pokoju i drugie drzwi, z lewej strony na przeciwko stołu, prowadzące do sąsiedniego pokoju. Po prawej stronie, tuż przed stołem sędziowskim stał przy ścianie niewielki stolik.

Po pewnej chwili do pokoju zostali wprowadzeni Cz.Pilżys, Bol.Szczęsnulewicz i Wł.Grundmejer. Na chwilę przyszedł też Merson, położył papiery na małym stoliku i jeszcze pouczył jak mam zachować się przed Sądem.

Merson usadowił nas w ławkach w kolejności: bliżej stołu sędziowskiego Grundmejer, w następnej ławce szczęsnulewicz i Pilżys a z tyłu - mnie.

Wszedł Sąd, powstaliśmy. Sądził nas Wojenny Trybunał Wojsk NKGB Litewskiej Kolei. Przewodniczący i Sędzia - mjr wojsk NKGB; Ławnik I - żołnierz wojsk NKGB; Ławnik II - robotnik /z jakiejś fabryki/; Sekretarka /Żydówka/.

Najstarszym wiekiem był major, pozostali - młodzi.

Rozprawa trwała nie dłużej niż pół godziny.

Na wstępie sędzia odczytał akt oskarżenia, treść którego wcześniej już przytoczyłem. Później wypowiedział się o naszych zbrodniczych przestępstwach popełnianych zbiorowo.

Jako dowód rzeczowy do sprawy dołączono ulotkę /gazetkę/. Odczytał jej treść w tłumaczeniu na rosyjski, mówiącej o znęcaniu się żołnierzy radzieckich nad poszukiwanymi bandytami, którzy występowali przeciwko władzy radzieckiej, gdzieś w stodole w sianie ukrywali się a żołnierze radzieccy szukając

widłami przekłuwali ich.

Zarzucał nam, że zajmowaliśmy się szerzeniem też wrogiej propagandy przeciwko Związkowi Radzieckiemu - jako prokurator, a nie sędzia, oskarżał nas.

Obrony nie było, nawet z urzędu, bo któż by w Związku Radzieckim ośmielił się bronić tych przestępców, występujących przeciwko władzy radzieckiej.

Oskarżonym udzielono tylko ostatniego słowa. Z moich współpodsądnych nikt nie skorzystał z tego, wypowiedziałem się tylko ja.

Powiedziałem, że działalności przeciwko Związkowi Radzieckiemu nie prowadziłem, że zebranie, które odbyło się we wrześniu w moim mieszkaniu było zwołane w celu rozwiązania się organizacji utworzonej w czasie okupacji, działalność której była skierowana przeciwko Niemcom.

Ulotki odczytanej jako dowód obwinienia nie widziałem, treść jej usłyszałem stojąc tutaj przed Trybunałem.

Oдноśnie grupy, która teraz jest sądzona, jest ona zlepkiem ludzi, którzy nie tworzyli organizacji. Z Grundmejerem i Szczęsnulewiczem poza miejscem pracy nic nie miałem wspólnego, ani w czasie okupacji hitlerowskiej, ani po oswobodzeniu.

Przy wymiarze kary proszę Wojenny Trybunał o uwzględnienie tych motywów, które tutaj podałem.

Po moich słowach sędzia zarządził przerwę na naradę, w czasie której wyprowadzono nas na podwórze. Teraz mogłem przyjrzeć się mym współtowarzyszom.

Grundmejer wyglądał na przygnębionego, jakby się postarzał /a liczył ok. 60 lat/. Szczęsnulewicz chociaż młody, na głowie i brodzie dużo pojawiło się siwych włosów. Wszyscy byliśmy obrośnięci.

Po niedługim czasie powtórnie wprowadzono nas do pokoju, gdzie odbywał się Sąd. Sąd zasiadł przy stole w składzie tym samym co wcześniej. Major jako jedyny sędzia i przewodniczący odczytał wyrok /mniej więcej/ treści tej:

"Wojenny Trybunał Wojsk NKGB Litewskiej Kolei w wyniku przeprowadzonej rozprawy w dniu 5 maja 1945 r. odbytej w siedzibie NKGB Litewskiej Kolei przeciwko Julianowi s.Wincentego Sterpejkowicz - Wersockiemu, Czesławowi /s. .../ Pilżysowi, Bolesławowi /s. .../ Szczesnulewiczowi i Władysławowi /s. .../ Grundmejerowi obwinionym o przestępstwo z artykułu 58 p.2; p.10; p.11; i p.14 uznaje ich za winnych we wrogim działaniu przeciwko Związkowi Radzieckiemu i skazuje Juliana s.W. Sterpejkowicz-Wersockiego na 10 lat pozbawienia wolności i 3 lata pozbawienia praw publicznych; Czesława /s.,.../ Pilżysa na 8 lat pozbawienia wolności i 2 lata pozbawienia praw publicznych; Bolesława /s. .../ Szczesnulewicza i Władysława /s. .../ Grundmejera na 6 lat pozbawienia wolności i 2 lata pozbawienia praw publicznych każdy.

Wyżej wymienionym odbycie kary wyznacza się Poprawcze Obozy Pracy /ITŁ - Isprawitielnyje Trudowyje Łagiera/ w oddalonych rejonach Związku Radzieckiego. Wyrok jest prawomocny i nie podlega rewizji.

Wyrok Sądu doręczono nam /każdemu osobno/ na piśmie. Nastąpiło jakieś dziwne uczucie nacechowane obojętnością, nie martwił się człowiek wyrokiem, przyjął tę wiadomość ze spokojem, cieszył się, że nareszcie to koszmarnie śledztwo ma się już za sobą.

Po powrocie do celi strażnik kazał zabierać swoje rzeczy. Czas nie pozwalał na podzielenie się z towarzyszami przebiegiem rozprawy, zdążyłem tylko powiedzieć jaki otrzymałem wyrok i z

paczki, którą otrzymałem w nocy, wyciągnąłem część do zostawienia mówiąc: częstujcie się między sobą i do zobaczenia i wyszedłem na korytarz. Strażnik zaprowadził mnie do pomieszczenia piwnicznego, znajdującego się pod schodami od strony podwórza.

Nowe lokum po sądzie nie miało okna, ciemność rozjaśniał migocącym światełkiem mały naftowy ogarek. Pomieszczenie względnie obszerne o betonowej posadzce i takichże ścianach, po których ściekały skroplone opary.

Wszyscy lokatorzy, było ich ok. 10 osób, znajdowali się już po sądzie. Rosjanie, może sześć osób, to byli wojskowi, otrzymali wyroki kary śmierci i czekali tutaj na przerzut do więzienia, które w soboty i niedzielę więźniów nie przyjmowało.

Niedługo po mnie, do tego schowka pod schodami przybyli Pilżys, Szczesnulewicz i Grundmejer i inni więźniowie nieznanego. Rosjanie zgrupowali się oddzielnie i umiejscowili się w pobliżu drzwi. Ja i moi towarzysze zajęliśmy miejsce centralne naprzeciwko drzwi, reszta grupkami rozlokowała się w różnych miejscach tego podziemia.

I oto rozegrała się dramatyczna scena. Rosjanie podnieśli się z podłogi rozchodzić się po pomieszczeniu, wyraźnie obstawiając nas w agresywnym zamiarze, po czym zażądali dobrowolnego oddania paczek od tych, kto je miał. Gdy to nie nastąpiło, siłą odebrali, nie obeszło się bez szarpaniny.

Po załatwieniu tego przystąpili do drugiego, do odbioru lepszych butów i garderoby; w tym drugim Rosjanom pomogli żołnierze z ochrony, dostarczając na zamianę gorsze; transakcje przeprowadzali przez na wpół otwarte drzwi.

Rosjanie w ten sposób oporządziwszy nas, teraz zabrali

się do obfitej kolacji. Najpierw zaczęli od ciasta i bułek, potem zabrali się do słoniny i cebuli a gdy już sami nasy-
cili się wówczas niektórych z nas obdarzyli resztkami jadła.

Tak więc z otrzymanej w ostatniej nocy paczki nie miałem
czasu i sposobności skorzystać chociaż w jej części.

Teraz w niedzielę, siedząc w podziemiu z "moją grupą", z
którą byłem sądzony, mogłem dowiedzieć się co spowodowało
aresztowanie mnie.

Początek wszystkiego zaczął się od Władysława Grundmejera,
który był magazynierem w Elektrowni. Po działaniach wojennych
pracował u niego grupa ludzi z Kossakowskim na czele, do pra-
cy przyjęty niedawno. Grzebali się oni w zwałach gruzu zburzo-
nej elektrowni, wyszukując części różnej aparatury, którą od-
dawali na składowanie do magazynu. Rano zbierali się i przed
rozpoczęciem roboty dzielili się wiadomościami co kto słyszał
może przez radio, gdyż trwały jeszcze działania wojenne na
niezbyt odległym froncie. Może ktoś odczytał z nasłuchu radio-
wego biuletyn informacyjny, które w tym czasie były rozpowszech-
niane powszechnie. Kossakowski będąc wśród swoich i przez niko-
go nie podejrzewany jako zdrajca donosił do NKGB co słyszał.
Na skutek jego donosu pierwszą ofiarą był Wł. Grundmejer,
aresztowany w domu w pierwszych dniach grudnia 1944 r.

W czasie śledztwa Grundmejerowi zarzucano, że w jego po-
mieszczeniach służbowych, nad którymi sprawował pieczę, była
uprawiana antyradziecka propaganda. Grundmejer wiedział o tym
i nie powiedział. Tłumaczył się on, iż myślał, że nie jest
przestępstwem opowiadanie tego, co słyszało się przez radio.

Grundmejer musiał też powiedzieć o tym, że Pilżys dostar-
czał prasę podziemną /która jeszcze ukazywała się np. "Niepod-
ległość"/, w wyniku czego parę dni później aresztowano go.

Po aresztowaniu Szczęsnulewicza i Pilżysa znaleźli się oni w tej samej celi. Pod wpływem wymuszania śledczego kto zaangażował ich do pracy uzgodnili wspólnie, by podać moje nazwisko, gdyż wysłali, iż sporo czasu przeszło od ich aresztowania i ja już powinienem był gdzieś się skryć, a ponieważ tak nie było to zostałem aresztowany.

Na takie rozumowanie z ich strony wyraziłem tylko swoje zdziwienie. Co się stało - już się nie odrobi! I nie mogłem zrozumieć Szczęsnulewicza, dlaczego on wplątał się w tę "naszą grupę", przecież aresztowany został za zbieranie pieniędzy na pomoc rannym żołnierzom AK. Dlaczego przyjął na siebie dodatkowe obwinienie szerzenia wrogiej propagandy, agitacji i jeszcze coś innego?

Ja zostałem aresztowany 28 grudnia 1944 r., lecz w moich dokumentach /aktach/ figurowała data mego aresztowania 12 grudnia. Przepuszczalnie nakaz aresztowania został wystawiony z datą 12 grudnia.

6. WIĘZIENIE ŁUKISZKI

W poniedziałek 7 maja, około godz.10 zostaliśmy odkrytym samochodem ciężarowym przewiezieni do więzienia w Łukiszkach. Samochód całkowicie więźniami wypełniony jechał po ulicy Słowackiego w kierunku ul.Bouffakowej.

Na samym początku jazdy naprzeciwko Teatru Wielkiego spostrzegłem moją żonę, stojącą z kobietami na chodniku. Żona zauważyła mnie, zdążyłem tylko wykrzyknąć - do więzienia na Łukiszkach.

Po przybyciu samochodem na miejsce wpuszczono nas na "izbę przyjęć" do zamienionego na ten cel kościoła więziennego.

Kościół nie był duży, ale dość obszerny, został wypełniony więźniami i co pewien czas przybywały grupy nowych więźniów z innych ośrodków tymczasowego zatrzymania, których w mieście była spora ilość.

Spotkałem tutaj inż.Ludwika Ejdrygiewicza naszego pracownika z elektrowni z czasów okupacji, który w 1941r. był w transporcie do wywiezienia. Atak niemiecki z 21/22 czerwca 1941r. uniemożliwił wyjechanie transportu.

Po przeprowadzeniu szczegółowej rewizji osobistej grupami wyprowadzono nas do pomieszczeń więziennych. Trafiłem do budynku, w którym przed wojną /39 r./ mieściły się warsztaty więzienne. Stał on w ciągu murów otaczających więzienie z oknami wychodzącymi na zewnątrz nad stojącymi tutaj garażami, a za nimi ulicą Pańską.

Trafiłem do celi na piętrze, pierwsza od rogu budynku. Był to pokój podłużny, z jednym oknem, zasłoniętym siatką drucianą, dość obszerny. Po spędzonych miesiącach w podziemiu teraz mieliśmy chociaż powietrze dopływające przez duże, otwarte okno pod dostatkami i poprawiło się z wyżywieniem,

choć nieznacznie zwiększyła się porcja chleba, poprawił się przywarek i na kolację otrzymywaliśmy herbatę z cukrem /1 kostkę/.

Moja żona i inne kobiety już nas znalazły. 8 maja, we wtorek przez okno zobaczyłem grupę kobiet a wśród nich poznałem żonę. Odezwałem się. Odległość niezbyt daleka pozwoliła na wymianę paru zdań. Powiedziałem, że osadzony zostałem na 10 lat, niech nie martwi się i stara się wyjechać do Polski, bo mnie i tak wywozą w głąb Rosji. Bałem się, by ten los, który spotkał mnie, nie dotknął żonę z rodziną.

Taka rozmowa nie powiodła się Grundmejerowi z jego żoną Nadzieją. Widząc mnie w oknie prosiła bym przywołał jej męża. W czasie rozmowy z żoną Grundmejer został zauważony przez strażnika, który dostrzegł go przez "wilcze oczko". Otworzył drzwi i wezwał go na korytarz. Gdy po upływie pewnego czasu Grundmejer wszedł do celi miał podbitą twarz mówił, że oprócz tego trzymali w pomieszczeniu umywalni bez koszuli i zlali go wodą.

Następnego dnia żona Grundmejera była przed oknem, ale już go więcej nie wołałem, chociaż ona o to prosiła.

9 maja z miasta dochodziły odgłosy strzałów, coś się działo dla nas niezrozumiałego, wewnątrz więzienia wyczuwało się ożywiony ruch.

Później kobiety zebrane pod oknem przekazały nam wiadomość o zakończeniu wojny. Stąd ta spontaniczna radość.

Od chwili aresztowania i osadzenia w areszcie byliśmy odizolowani od świata zewnętrznego, żadne wiadomości z zewnątrz, co dzieje się na froncie, do nas nie dochodziły.

Wiadomość o zakończeniu wojny napawała nas w więzieniu otuchą, a może coś zmieni się, może będzie amnestia.

Zaraz ożywiło się w celi, zaczęły się rozmowy, gorące dys-

kusje. Jedni widzieli siebie już na wolności, inni byli bardziej pesymistyczni i realnie myślący toteż twierdzili, że wyrok trzeba będzie od dzwonka do dzwonka odsiedzieć i nie należy łączyć się amnestią. Kto odrobinę chociaż zna ten totalitarny system rządzenia, ten nie może mieć złudzeń co do istoty i przyczyny więzienia nas. W ich mniemaniu jesteśmy wrogami Nr 1 ustroju radzieckiego, dla nas nie ma przebaczenia. Amnestia może dotyczyć kryminalistów, lecz nie nas. Nasz los może być jeszcze nieznanym, nawet po odbyciu wyroku.

Patrząc na naszą sprawę, gdyśmy jeszcze byli u jej progu, napawała każdego pesymizmem i beznadziejnością. Dlatego też wielu chciało widzieć jakąś odrobinę nadziei, że przyszłość nie będzie tak okropną i wierzyli w przemiany na lepsze, że coś się zmieni i doczekamy się tego upragnionego szczęśliwego jutra.

Parę dni później przemieszczono nas z dotychczasowego narożnego pomieszczenia do sąsiedniego za ścianą. Była to duża sala o kilku oknach zaciągniętych siatką. Około drzwi stała nakryta płachtą brezentową duża "parasza", od której zaciągało ludzkimi odchodami. Pomieszczenie mieściło chyba ok. 200 osób, na noc wszyscy układali się na podłodze w 5 rzędów.

Większość więźniów rekrutowała się spośród Polaków, potem Litwini i Rosjanie, byli frontowi żołnierze. Polacy to przeważnie AK-owcy i z organizacji Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej. Było nas ok. 20 osób. Oto nazwiska:

Cierpiński Wacław, Garniewicz Władysław, Greczanik Edmund, Grundmejer Władysław, Grzesiak Józef, Król Franciszek, Muszyński Edward, Pilżys Czesław, Szczesnulewicz Bolesław i autor zapisek oraz inni.

Litwini w przeważającej większości sążeni zostali za współpracę z Niemcami.

Rosjanie, z nielicznymi wyjątkami, tworzyli grupę byłych żołnierzy frontowych sądzonych za przestępstwa kryminalne, np. grabież, rozbój itp. przewinienia.

Wszyscy więźniowie Polacy, Litwini czy Rosjanie jednym szablonem z góry przewidzianym wyrokiem 10 lat pozbawienia wolności zostali zasądzeni. Dla większości Rosjan więzienie nie było czymś nowym, oni tutaj czuli się tak jak u siebie w domu. Na starostę wybrali swego. W czasie obiadu rozdawanie chleba i zupy należało do obowiązków starosty przy współudziale "rodaków".

Do sprzątania i wynoszenie celem opróżnienia zawartości "paraszy" wyznaczani byli inni, tylko nie Rosjanie.

Tutaj w więzieniu wyprowadzano nas na półgodzinny spacer. Spacer odbywał się na podwórzu z jednej strony otoczonym murem a z drugiej gmachem więziennym.

Z pomieszczeń półpiwnicznych przez okna wyglądali osądzeni na karę śmierci czekając na ułaskawienie. Zazwyczaj, czy ktoś pisał prośbę o ułaskawienie czy też nie, w czasie około miesiąca przychodziło z Moskwy orzeczenie zamiany kary śmierci na 20 lat katorgi.

Karę śmierci dawano dla wojskowych wg artykułu 58 p.1 za zdradę ojczyzny.

Bywało, że po powrocie ze spaceru ktoś znajdował swoje rzeczy okradzione z paczki żywnościowej. Bywało też, że ten ktoś mający paczkę żywnościową skąpił się i nie dzielił się, chociaż z najbliższymi sąsiadami, żywność zawinięta w opakowaniu psuła się, przychodziło się całą zawartość wyrzucić do "paraszy".

Ta cecha skąpstwa cechowała ludzi naszych - Polaków i Litwinów w odróżnieniu od Rosjan, którzy dzielili się wzajemnie chociaż małym kęskiem, nauczyło ich tego życie.

W administracji więziennej panował bałagan. Jeżeli ktoś

zachorował nie można było doprosić się lekarza. Między nami znajdował się starszy wiekiem pewien Litwin. Leżał on na podłodze w pobliżu tej nieszczęsnej "paraszy". Pomimo meldowania dyżurnemu o tym, że na sali jest ciężko chory, by zabrali go do szpitala, meldunki pozostawały bez odzewu. Po paru dniach ów człowiek w nocy zmarł. Rano powiadomiono dyżurnego. Nieboszczyka zabrano. Ale na tym nie koniec. Po paru dniach wywołują nieboszczyka po nazwisku by wychodził.

Czy to nie parodia? W tym nawale pracy pogubili się w dokumentacji.

Znajdując się w tej dużej celi pewnego dnia widziałem przez okno będącą na ul. Pańskiej moją rodzinę - żonę z chłopakiem i siostrę. Rozmowa była niemożliwa ze względu na zbyt dużą odległość.

Na przełomie maja i czerwca szykowano nas do wysyłki zwanej etapem.

Przeprowadzano badania komisyjne. W tym celu wyprowadzono nas do innej sali, gdzie kazano rozebrać się i stanąć w szeregu. Gdyśmy już tak nago stali weszli na salę oficerowie, trzech mężczyzn i jedna kobieta, byli prawdopodobnie lekarzami.

Przeprowadzone badania polegały na tym, by stwierdzić zdolność fizyczną kończyn. Kazano ręce wyrzucić do przodu, zamykać i otwierać dłonie oraz wykonać parę przysiadów. Odnotowano starszych wiekiem. Tą procedurą komisja pracę swoją zakończyła.

Niebawem od nas zabrano Grundmejera ^{1/}, Pilźysa ^{2/} i Szczęsnulewicza ^{3/}.

W ogóle odłączono od nas wszystkich starszych i z małymi wyrokami.

Przed wyruszeniem transportu jeszcze jedną formalność za-

łatwiono.

Wywoływano wszystkich celem dokonania procedury uzupełniającej dla aresztantów - fotografie z przodu i profilu oraz odcisków dłoni lewej i prawej z palcami i poszczególnych palców oddzielnie.

Tym aktem staliśmy się rzeczywistymi aresztantami.

Pod wieczór 9 czerwca wszystkich wyprowadzono z celi z "rzeczami" na podwórze. Ustawiono nas w dwuszeregu, kazano rozebrać się, po czym pozostawiając ubranie i rzeczy wyjść z dwuszeregu naprzód kilka kroków.

Zebrani żołnierze na komendę przystąpili do rewizji osobistej naszych ubrań i rzeczy.

Zagładano w pozycji rozkroku i zgiętym tułowiem do poziomu, nawet do odbytu, czy nie ma tam czegoś schowanego.

Drobiazgowemu przeszukaniu poddano nasze ubrania, buty mocniejsze łamano w podbiciu stopy, gdyż mogły tam być schowane jakieś ostre narzędzia.

Po tej ceremonii oficerowie wg dokumentacji segregowali nas w grupy. Ta czynność zajęła dużo czasu, gdy wróciliśmy z powrotem na salę, była już szarówka.

W sali zrobiło się tłoczno, bowiem dołączono ludzi z innych cel. To co się działo w nocy z 9 na 10 czerwca trudno sobie wyobrazić - była to noc makabryczna.

Wśród ludzi do nas dołączonych znalazło się dużo Rosjan. Wszyscy oni złączyli się w jedną grupę, której celem było przeprowadzenie grabieży. Działali zbiorowo. Dwóch lub trzech podchodziło do upatrzonej przedtem swojej ofiary, wyrywali z rąk worek i wybierali z niego co się podobało, żywność, jeżeli ktoś otrzymał i miał taką, rzeczy osobiste.

Wiadomo było, że wywiozą nas w głąb Rosji, toteż rodziny

więzionych dostarczały w paczkach ciepłą bieliznę, ciepłe sweterki itp rzeczy. Teraz stawało się to łupem rozboju.

Atakowano niektórych, by zdejmowali lepsze buty czy spodnie.

Ja w ostatnich dniach otrzymałem paczkę żywnościową, główną zawartość jej stanowiło pudełko smalcu /ok.1 kg/, który uległ także grabieży.

Z naszej strony nie obeszło się bez sprzeciwu. Niektórzy Rosjanie zdejmowali z nóg buty i tak uzbrojeni szli do ataku.

Powstał niesamowity hałas, na skutek którego dyżurny strażnik z korytarza otworzył drzwi i zarządził, by wszyscy skupili się pod ścianą z oknami i nikt nie odważył się stanąć bliżej jak środek sali, ma być zachowany spokój, on przez "wilcze oczko" /wykonane w ścianie pośrodku długości sali/ musi widzieć wszystkich.

Skutek tego zarządzenia był niewielki, ucichł hałas, lecz rozbój, chociaż w mniejszym stopniu, jednak trwał.

Ściśnięci jeden obok drugiego czas spędziliśmy na nogach do rana.

Objaśnienia do odsyłaczy:

1/ Władysław Grundmejer miał lat ok. 60.

Ze względu na mały wyrok /6 lat/ i wiek zabrano go do innej grupy. Wywieziony do Związku Radzieckiego, zaginął bez żadnej wiadomości.

2/ Czesław Pilżys /wyrok 8 lat/

Wywieziony w okolice Uchty /na linii kolejowej do Workuty/ do wyrębu lasu. Powrócił do kraju w 1956 r. do żony /Lucyna/ w Szczecinie. Zmarł VIII.1977r.

3/ Bolesław Szczesnukewicz /wyrok 6 lat/

Wywieziony w okolice Uchty do wyrębu lasu. Powrócił do kraju w 1956 r. Zamieszkał prawdopodobnie koło Opola.

7. E T A P

7.1. M a r s z d o t r a n s p o r t u

Ledwie na niebie zaczęło rozjaśniać się zostaliśmy na podwórzu więzienne przed bramę wyprowadzeni. Tutaj ustawiono nas kolumnami, już z wieczora ustalonymi, po 5 osób w szeregu a szeregów do 10. Po zebraniu jednej kolumny kazano jej siadać na ziemi, po czym wycytując nazwiska zbierano następną kolumnę. Były to zespoły ludzi przeznaczone na jeden wagon.

Dzień następował już, robiło się coraz widniej. Przez otwartą bramę ludzie kolumnami wychodzili ustawiając się wzdłuż ulicy do marszu.

Dookoła nas pojawiła się eskorta konna i piesza z psami. Wreszcie pada okrzyk powtarzany przez eskortę przy każdej kolumnie - "wziąć się pod ręce, głowy opuścić do dołu, nie oglądać się, nie rozmawiać, krokiem naprzód marsz".

Pochód ruszył. Z boków i z tyłu dały się słyszeć odgłosy konwoju nawołujące do przestrzegania nakazanego porządku.

Przed nami, na wschodniej stronie nieba, w purpurowym blasku wschodzącego słońca, wysoko na ścianie nad prezbiterium tylnej części kościoła św. Jakuba widniał malowany obraz Chrystusa na krzyżu, jako symbol rozpoczynającej się dla nas golgoty.

Ten ponury pochód, szczególnie przygnębiająco wyglądał gdyśmy niebawem weszli na Pl. Łukiszki i posuwali się po jego przekątnej w kierunku skrzyżowania ulic Mickiewicza z 3 Maja.

W otwartej przestrzeni widoczny był pochód ludzi otoczony

konwojem, rozciągnięty jak wąż, przypominający obraz Artura Grottgera "Na Sybir".

Szliśmy w milczeniu, każdy zamknięty w sobie.

Chociaż godzina bardzo wczesna była, ruchu na ulicach nie widać to jednak wszystkie skrzyżowania zostały obstawione żołnierzami.

W niektórych oknach przez firanki nieśmiało wyglądały twarze przyglądające się tej scenie.

Przechodząc w niedalekiej odległości od Ostrej Bramy /skręcając z ul. Kolejowej róg Ostrobramskiej pod wiadukt kolejowy/ głęboko westchnąłem do Najświętszej Matki Bożej, polecając się Jej opiece.

Doszliśmy do Poleskiej rampy kolejowej. Na placu przed rampą posadzono nas na ziemi. Na torach stały wagony towarowe /2 osiowe/ kryte, okienka zabite deskami, dachy i końce wagonów uzbrojono w zasieki z drutu kolczastego. Wzdłuż zestawu, przez parę wagonów urządzono wieżyczki wartownicze, występujące ponad dachy wagonów i wyposażone w reflektory.

To wszystko stało na torach i czekało na przyjęcie nas.

Zaczęła się procedura załadowania do wagonów.

W siedzącej grupie jednej piątce kazano wstać i w szeregu biegiem do wskazanego wagonu gnać, gdzie oczekiwało kilku oficerów. Po sprawdzeniu tożsamości wg dokumentacji ponownie przez wąską szczelinę rozsuniętych drzwi znowu biegiem do wagonu wchodzić. Jeżeli ktoś miał większy tobół i powstały kłopoty z wejściem, w trudnościach tych nieudolnemu pchnięciem w plecy pomogli przyjmujący do wagonu żołnierze.

7.2. Transport na północ

Wnętrze wagonu a jakże - z wygodami. W podłodze, w jednym rogu wycięto okrągły otwór i znajdowało się zbite korytko z desek do oddawania moczu. Poza tym w jednej połowie wagonu ułożono deski, prycze do spania dla jednej trzeciej, reszta zakwaterowanych miała miejsce na podłodze /na którą rzuca się słomę, gdy przewożone jest bydło, dla ludzi było to zbyteczne./

Załadowanie do transportu trwało dość długo. Gdy słońce wzeszło wyżej bezlitośnie nagrzało wagony, zrobiło się duszno. Wszyscy rozebrali się do bielizny, pozdejmowali koszule. Wagon był szczelny, a drzwi trzymano zamknięte.

W czasie, gdzieś około południa, wydano nam suchy prowiant, po porcji chleba i po suszonej, słonej głowie ryby, dorsza. Na szczęście nie opodał na placu stała pompa wodna, więc można było o wodę doprosić się.

Kobiety, żony i matki nasze, tłumnie od wczesnych godzin rannych oblegały teren około rampy z dala, w niewielkich grupkach zgromadzone, wyglądały swych najbliższych.

Obserwując przez szparę wagonu, na skarpie nasypu kolejowego, niedaleko naszego pociągu zobaczyłem sylwetkę mojej żony, Wiery. Stała w słońcu, włosy jej rozrzucone spływały na ramiona, na wzrok ślizgał się po wagonach w poszukiwaniu mnie. Jak dać znać, gdzie jestem? Ta myśl w głowie krążyła.

W pobliżu zabitego deskami okienka znalazłem szczelinę, przez którą z trudem wysunąłem dłoń. Zacząłem dawać znaki, że jestem tutaj. Zrozumiała. Żadnej rozmowy przeprowadzić nie można było, duża odległość do 50 m nie pozwalała na to. Później widziałem również swoją mamę.

Do wagonów blisko kobiety podejść nie mogły, pilnująca straż nie dopuszczała nikogo.

Tak kobiety spędziły cały dzień w pobliżu transportu stojąc. Gdy dzień się skończył i zaczęło ciemnieć żołnierze psami odgonili w pobliżu stojące tłumnie kobiety.

Nastąpiła krótka czerwcową noc. W dzień dużo przeżyło się, makabryczny marsz przez ulice miasta do transportu, ładowanie się do wagonów i potem widzenie najdroższych, może ostatni raz. To wszystko od nowa pobudziło uczucie żalu, bezsilności i bezradności w jaką los nas rzucił.

W środku nocy dołączono do składu pociągu jakieś wagony. Później okazało się, były to 3 wagony z więźniami z Kowna.

We wczesnych godzinach rannych /11 czerwca/ przetoczono wagony z nami przed osobowy Dworzec Główny, na tor przy peronie 2, skąd odchodziły pociągi na wschód.

Na peronie zrobiło się tłocznie. Kobiety dnia poprzedniego odpędzone od transportu, teraz chociaż w innym miejscu stał - znalazły go, konwojenci bliżej podchodzących do wagonów odpędzali.

Niebawem przy pociągu zobaczyłem moją żonę. Na twarzy jej widniało zmęczenie. Odezwałem się, dając znać, że jestem tu. Bezradnie zatrzymała się. Jej oczy świdrowały deski wagonu, jakby chciały przeźreć do wnętrza. Na świstku papieru napisałem kilka słów pożegnania i otuchy, by trzymała się na duchu i nie traciła nadziei. Świstek zawinałem do rogu chustki i przez tę samą dziurę, przez którą dnia poprzedniego ręką dawałem znać o sobie, wyrzuciłem na peron. Widziałem jak żona tę chusteczkę podniosła.

Zbliżała się dramatyczna chwila rozstania na długie lata, bez pożegnania a może i na zawsze.

Pociąg powoli ruszył. Na peronie rozległ się głośny płacz. Żona lewą ręką złapała się za kłamek do zasuwania drzwi i ciągnęła.

nięta przez pociąg - biegła. To trwać długo nie mogło - urwała się, padając do przodu. Natychmiast straciłem ją z mego pola widzenia, nie widziałem co się z nią stało.

Obraz trzymającej się za wagon i biegnącej z pociągiem żony aż do upadku wrył się i utrwalił na długo w mej pamięci.

Pociąg nabrał rozpędu w nieznaną przyszłość pędząc z nami na wschód. Tak osiągnęliśmy Mińsk, potem Smoleńsk i Moskwę.

Po drodze, przy mijaniu miejscowości, widniały spustoszenia wojenne. Na przydrożnych stacjach, miasteczkach obserwowano się ruiny, stojące kominy wypalonych domów wskazywały na rozmiar spustoszenia, na ludzką tragedię, jaka tutaj musiała rozegrać się. Leżące na torowiskach zwaly pogiętych szyn kolejowych dopełniały obraz ogólnych zniszczeń.

Wszędzie przy oczyszczaniu terenu z rumowisk widać było pracujących niemieckich jeńców wojennych.

Pociąg z ludzkim ładunkiem, który stanowiliśmy, nie miał pierwszeństwa przejazdu, dlatego też na różnych stacjach był przymusowy postój. W czasie postoju obserwowaliśmy co się dzieje wokół nas. Na torach panował duży ruch. Przejeżdżały liczne transporty wojskowe, ludzie i uzbrojenie. Wojna z Niemcami już się skończyła.

Teraz to wszystko parło do walki z Japonią. /Jak wiadomo 5 kwietnia 1945 r. ZSRR wypowiedział Japonii pakt o nieagresji, a 9 lipca 1945 r. - wojnę/. Związek Radziecki mając swobodne ręce na Zachodzie teraz, kierując się w pierwszym rzędzie względami politycznymi, szykował się uderzyć na Japonię.

/Był on zainteresowany zajęciem Sachalina, wysp Kurylskich oraz wzmożeniem swoich wpływów w Azji na państwa jak Chiny, Korea, Wietnam, i in./

W trzecim dniu jazdy, w godzinach rannych wjechaliśmy do

Moskwy. W dzień kierownictwo transportu widocznie było u władz GULAGU o dalsze dyrektywy. W nocy transport ruszył dalej.

Jechaliśmy na północ, minęliśmy Jarosław.

Na terenach na północ od Moskwy zniszczeń wojennych widać nie było, gdyż wojna tu nie dotarła.

Znaleźliśmy się w Wołogdzie, trzy dni tutaj staliśmy. W tym czasie była łaźnia i dezynfekcja naszej odzieży.

W Wołogdzie wyniesiono na pobliski cmentarz pierwszą ofiarę z naszego transportu. W czasie postoju Rosjanie, których w wagonie było kilku, zaczęli dogadywać się z konwojem w sprawie handlu ciuchami. Konwojentom chodziło o wódkę. Co lepsze ubrania, które pozostały u niektórych, zostały zrabowane. Dla otarcia łez poszkodowani otrzymali kilka kęsków chleba. Chleb zapewne pochodził z ogólnych racji żywnościowych, którymi konwój dysponował.

Pociąg nasz ruszył w kierunku półn.-wschodnim. Krajobraz zmienił się, teren płaski i rozległe mokradła. Mijane osiedla budowy drewnianej i prawie wszystkie ogrodzone drutem kolczastym. Nie było wątpliwości, że wjeżdżamy w krainę GULAGU. Przejżdżając przez tajgę, widok ten sam - liczne obozy tworzyły osiedla, gdzie widoczni więźniowie i całe pola wyrąbanego lasu.

Przy zatrzymywaniu się na trasie pociągu odbywała się kontrola, czy ktoś z więźniów nie próbował ucieczki i nie naruszył desek wagonu, robiąc otwór na wyjście.

W celu sprawdzenia stanu całości desek wagonu, dwóch strażników uzbrojonych w drewniane młotki, podobne do takich, jakie gospodynie w kuchni używają do bicia kotletów, tylko o oprawie rękojeści znacznie dłuższej, kolejno ostukiwali wagony po deskach. Hałas przy tym powstawał niesamowity.

Przynajmniej raz na dobę była przeprowadzana kontrola stanu liczebnego więźniów. W tym celu dwóch strażników wskakiwało do wagonu, przepędzało ludzi w jedną stronę /tam gdzie nie było pryczy, po czym stawali w środku wagonu jeden naprzeciw drugiego i rozkazem przechodź na tę stronę, gdzie nie było nikogo, liczyli uderzając młotkiem po plecach tych, którzy wolniej się ruszali, krzycząc "bystrej" /szybciej/.

W czasie transportu pokarm otrzymywaliśmy jeden raz na dobę, zwykle w środku dnia. Doza dzienna wynosiła: 1 kubek aluminiowy /200 g/ niepełny kaszy jaglanej gotowanej na wodzie, kromkę chleba /może 200 g/ i kubek /po kaszy/ wody, często z rowu przy nasypie kolejowym czerpanej.

Toteż przy takim odżywianiu ludzie zaczęli słabnąć. Parę osób trafiło do ambulansu. Była też druga ofiara śmiertelna, którą pogrzebano na trasie przejazdu w mokradłach obok nasypu.

Minęliśmy większe miasta: Kotłas, Uchtę i Pieczorę, z widocznym tutaj przemysłem naftowym.

Dzień stawał się dłuższy, słońce prawie już nie zachodziło. Lasy w tajdze stawały się coraz to mizerniejsze, rzadsze, potem pojedyncze drzewa, aż wszystko to zanikło, powstał jak sięgnąć okiem otwarty, pusty, pokryty tylko mchami i karłowatą koso-drzewiną teren - tundra.

Wreszcie wieczorem 28 czerwca /po 17 dniach/ nastąpił kres podróży - dowieźli nas do Workuty. Na bocznym torze pociąg stał do rana.

8. WORKUTA

8.1. Pieriesyłka - Łagier przesyłkowy

29 czerwca, dzień św.św. Piotra i Pawła.

Kolejno grupami z wagonów prowadzono nas do obozu przesyłkowego znajdującego się tuż przy torach za ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Pada deszcz ze śniegiem i wieje zimny wiatr, nogi grzęzną w rozmokłej ziemi i są zasysane w gliniastym gruncie. Ludzie z trudem posuwają się naprzód. Widać jak z wagonu współtowarzysze wynoszą zasłabniętego kolegę.

W czasie transportu odżywianie było głodowe a w trzech ostatnich dniach nie otrzymaliśmy pokarmu w ogóle, nawet wody do picia, stąd wynikła ta słabość.

/Ten stan braku żywności powstał z roztrwonienia zapasów w czasie drogi na wódkę - miejscowa ludność głodowała. Za taki stan konwój rzekomo poniósł konsekwencje/.

Zakwaterowano nas w barakach wyposażonych w dwupiętrowe prycze.

Niebawem zawołano do stołówki. Oczom naszym nie wierzyło się, gdy podano w aluminiowych miskach zupę krupnik, kaszę^{x/} i po dwa śledzie, chleba około 1 kg. Okazało się, że byliśmy już zaprowiantowani poprzedniego dnia, ale przyjazd nasz był spóźniony, dlatego wydano nam podwójną porcję chleba i ryby. Stoły były obsługiwane przez "oficjantów" /kelnerów/. Wdaliśmy się z nimi w rozmowę rozpytując o warunki bytowe w obozie.

Odpowiedź była taka: żyć będziecie, ale do kobiety nie zech-

x/ kasza - nieco gęstszy krupnik

cecie - wypowiedziane w słowach wulgarnych, językiem przestępców.

Obóz z kilkoma barakami był ogrodzony płotem z drutu kolczastego. Od wewnątrz znajdował się pas ziemi szeroki 3 m, ogrodzony rozciągniętym drutem na słupkach, skopany i zagrabiony. Wewnątrz umieszczono tabliczki z napisami "Zapret zona" - zakazana strefa. W ogrodzeniu po rogach placu stały wyżki strażnicze z wartownikami.

Następnego dnia, aż nie do wiary, pogoda radykalnie zmieniła się. Świeci słońce, jest ciepło, a nawet upalnie. Przed południem poprowadzili nas do łaźni znajdującej się w sąsiednim obozie, odległym o kilkadziesiąt metrów.

Obóz był rozległy, wytyczone alejki prowadziły do baraków. Przy głównej alejce, po obu stronach ustawiono tablice z różnymi hasłami. Na jednej z nich, zaraz po wejściu z bramy, widniało wyróżniające się treścią od innych hasło łatwe do zapamiętania bo gdzieś podobne już wcześniej słyszane: "Czestnyj trud ete put' k da srocznomu oswożdienii" /Uczciwa praca to droga do przedterminowego zwolnienia/. Tak przypomina ono swym brzmieniem znane hasło: "Arbeit macht frei". Praca w obu przypadkach czyni wolnym człowieka.

W łaźni przybyłych poddano obróbce kosmetycznej. Ostrzyżono i ogolono, tym sposobem wszystkich upodobniono do aresztantów. Ubrania nasze poddano dezynfekcji.

Tego też dnia skazani na katorgę otrzymali numery, które po wypisaniu na białym płótnie musieli w wyciętych w ubraniu miejscach na plecach je wszyć. Katorżanin nosił numer na czapce /nad czołem/, na plecach i prawym kolanie. Przykładowo numer wyglądał tak: 1A - 127

Nastąpiła już druga noc. Słońce nie zachodziło o północy,

obniżyło się do horyzontu i zaglądając przez okno, poziomo wpadającymi promieniami powoli podnosiło się.

Przyszeli trzeci dzień pobytu w Worskucie. Dzień był słoneczny i ciepły.

Tego dnia przyjechali "Kupcy", tak - "Kupcy", którzy kupowali /jak towar/ nas do pracy. Odbył się jarmark pod gołym niebem. Ludzi ustawiono w dwuszeregu, oglądano i wybierano, pytano o zawód, sprawdzano kondycję, sprawdzano paragraf, wg którego był sądzony. Jeżeli ktoś był sądzony za sabotaż i dywersję do pracy w elektrowni przyjęty nie został.

W następnym dniu /czwartym po przybyciu/ przyszli kupcy po "towar". Według listy wywołano nazwiskami, ustawiono i w otoczeniu konwoju wyprowadzono za bramę. Doprowadzono do kolejki wąskotorowej, usiedliśmy na platformy, pociąg ruszył w tundrę. Dzień był również upalny. Od pędzącej za nami chmary komarów opędzić się nie można było. Pociąg jechał wolno. Wagony kiwały się na boki na nierówno ułożonych torach.

Nie opodal od torów spotykało się pojedyncze baraki, przy których dziewczyny czy kobiety miotełkami gałązek opędzały, tak jak i my, olbrzymie chmary komarów. Jechaliśmy może dwie godziny.

Gdy się tor skończył, to był kres naszej podróży, miejsce docelowe, noszące nazwę obozu kopalni 19 i 20 w Zachodnim Rejonie.

8.2. Łagier kopalń 19/20

Właściwie w tym miejscu obozu jeszcze nie było, nie było ani baraków ani ogrodzenia.

Na terenie krzątało się kilku mężczyzn i niewielka ilość kobiet, które ręcznym kołowrotem wyciągały olbrzymie wiadro z ziemią z dołu /przyszłego szybu/. W terenie stały trzy namioty wojskowe z brezentu, dwa mieszkalne i jeden w obejściu kuchennym.

Na przywitanie nas Komendant powiedział: będziecie tutaj mieszkać a obok /wskazał ręką kierunek/ będziecie pracować. Sami sobie musicie urządzić warunki do życia, wybudować baraki i zonę. Na razie będziecie mieszkać w tym oto namiocie.

Jeszcze tego dnia kazali nam wyrwać krzaki dookoła zony, gdzie miało przebiegać ogrodzenie z drutu kolczastego.

Krzaki stanowią tutaj rosnące karłowate krzewy łoży /wierzby/ dochodzące do wysokości 2 - 3 m, rosły nie zapuszczając korzeni głęboko, gdyż głębiej ziemia była stale zamarznięta, dlatego też łatwo się je w kilka osób wyrывało.

W ten sposób powstała o obszernym polu obserwacji strefa ochronna, wewnątrz której zajęli miejsce strażnicy.

Rodził się obóz 19/20. Przyległy teren miał stanowić kopalnię węgla nr 20. Teren kopalni nr 19 znajdował się w odległości ok. 3 km cofając się jedyną drogą, wzdłuż torów.

Spaliśmy w namiocie /amerykańskim/ na zerwanym i ułożonym przez nas mchu, jeden obok drugiego w ubraniu, w którym chodziliśmy, pod przykryciem płaszcza, jeżeli był taki. Przewracać się na drugi bok należało na komendę.

W tym obozie nas Polaków znalazło się 5 osób. Byli to:
1/ Władysław Garniewicz, ekonomista bankowy, 2/ Stanisław

Miszkuro ^{1/}, sierżant WP, 3/ Edward Muszyński, ślusarz po szkole zawodowej, młody chłopak, 4/ Seweryn Rachlicki ^{2/}, młody człowiek bez zawodu i 5/ autor tych zapisek - wszyscy z Wilna.

Władysław Garniewicz z naszej piątki miał się najlepiej - zatrudniony został w księgowości. Potem Stanisław Miszkuro - zatrudniono go w magazynie prowiantowym. Seweryn Rachlicki po dwóch miesiącach został zwolniony. Nie był on sądzony, jego przestępstwo to dezercja - nie stawił się do pracy. Takich w obozie było kilka osób /Litwini/, jeszcze młodzi, zwolniono ich wszystkich razem.

Do pracy zostałem przydzielony do robót ogólnych, zresztą innych na terenie kopalni 19 nie było. Chodziliśmy do niej po nasypie wzdłuż torów, innego przejścia przez tundrę nie było.

Robota polegała na kopaniu rowów odwadniających na terenie przewidzianej kopalni, inni wrywali zarośla dla mającej powstać tu "zapret zony" /zakazanej strefy/.

Pracowaliśmy w drugiej zmianie przy nie zachodzącym o północy słońcu. Brygadą dowodził Żyd, były major Czerwonej Armii, człowiek rzeczowy i taktowny.

Kopaliśmy rowy na głębokość łopaty, gdyż gleba pod przykryciem warstwy mchu była stale zamarznięta, w ciągu lata nie topniejąca, tworząca wierzchnią warstwę wiecznie zamarzniętej ziemi /do głębokości 70 m/.

Po zakończonej robocie wracaliśmy do obozu, gdzie czekała na nas kolacja. Była to kasza jęczmienna perłowa ugotowana /na wodzie/ następnie rozlana do brytfanny. Po ostudzeniu pokrajana w kostki wielkości ciastka /cukierniczego/. Na osobę wydawano taką jedną kostkę.

Niedługo cieszyliśmy się tą kolacją, bośmy się jej rzekli

na korzyść powiększonej o tę porcję kaszy przy obiedzie.

Wróćmy jednak jeszcze do tundry. Tundra to wielka równina z niedużymi, wznoszącymi się pagórkami. Właściwie cały teren jest podmokły i pokryty mchem. Miejscami widnieją jak gdyby polanki, na których rośnie bujna trawa, upstrzona różnymi kwiatami, przypominające nasze łąki, tylko woń tych kwiatów jest słaba. Nad kwiatami unoszą się trzmiiele i osy, są tutaj mrówki.

Na nieco wyżej wzniesionych terenach rosną krzaki karłowatej kosodrzewiny /karłowata brzoźka/ wysokości 1 - 1,5 m. Latem ziemia w tych miejscach odmarza do głębokości ok. 0,7 m.

Latem tundra jest pełna życia. Przylatują na wylęg różne gatunki ptactwa: kaczki, gęsi i inne, niezliczone w swej masie, duże i drobniejsze. Zwierząt nie widać, ale są polne myszy.

Na początku lata /początek czerwca/ duże stada reniferów przeganiane są na północ, do brzegów oceanu lodowatego, a potem w jesieni, przed zimą /początek września/ powracają do tajgi.

Ludzie /Komi/ przeganiający stada posuwają się za nimi na saniach o wysokich płozach, ciągnionych przez zaprzęg reniferów.

W okresie zimy, gdy śniegiem pokryta jest tundra przylatują kuropatwy, które na ten okres zmieniają swoje pierze na białe. Żywią się pąkami z gałązek wystających spod śniegu kosodrzewiny. Także w zimie przebywa w tundrze zając, on też zmienia swoje futro na białe.

Wróćmy do zasadniczego tematu.

Po upływie paru tygodni, na terenie kopalni nr 19 zaczęto ręczne kopanie jak studnie, szybu. W związku z powyższym potrzebna była kuźnia i cech elektrotechniczny.

Organizatorem tego działu wyznaczony został więzień, Wiktor Wiktorowicz Achatkin ^{3/} z przeznaczeniem na stanowisko

głównego mechanika kopalń 19/20, były oficer carskiej Marynarki Wojennej. Achatkin wśród więźniów znalazł mnie i polecił mi dobór ludzi pod załóżek przyszłego cechu. Na wstępie zaangażowałem do prac ślusarskich Edwarda Muszyńskiego. Załóżek elektrocechu dał nam pracę lżejszą, już nie z łopata w rękę.

Kopano szyb głębinowy wentylacyjny, jak studnie, o zrębach z belek. Wydobywanie urobku odbywało się kołowrotem kręconym korbami ręcznie przez czterech ludzi. Na linie opuszczano duże żelazne wiadro zwane "badla" /ceber/.

Wkrótce doprowadzono linię elektryczną wysokiego napięcia, ustawiono transformator /produkcji USA, z napisem na tabliczce: "Podarunek od jednej ze stron Zjednoczonych Narodów"/.

Powiększyła się liczna osób w elektro-cechu.

W swoim czasie Achatkin do mnie powiedział, że w miarę zwiększania się ludzi do pracy przechodziny na 3 zmiany; nad całością musi być brygadzysta, a nim może zostać tylko człowiek ze świata przestępczego, który potrafi utrzymać rygor i jeżeli zajdzie potrzeba to wymusić go siłą. Wobec czego wyznacza mnie specem do spraw technicznych a specem od dyscypliny będzie Arbekow /młody przestępca, zabójca milicjanta/. I rzeczywiście tak było, miał on sposób na utrzymanie rygoru i posłuszeństwa przy wykonywaniu pracy.

Do scharakteryzowania całości życia należy też podać, oprócz więźniów, innych ludzi, którzy tu zamieszkiwali, a więc Niemcy Nadwołżańscy. Przed początkiem wojny 1941 r. zostali oni z miejsca swego zamieszkania wysiedleni na daleką północ, na osiedlenie, bez prawa opuszczenia tego terenu.

Kareto- Finów z terenów wschodnich przy Finlandii spotkał taki sam los, byli tutaj w czasie trwania wojny. W 1945 r. pozwolono im odjechać na ziemie rodzinne.

Strażnicy to przeważnie ludzie starsi, narodowości ukraińskiej i rosyjskiej, zmobilizowani do służby wartowniczej.

Do najważniejszych należeli ludzie w mundurach wojskowych z NKGB, oni kierowali całością życia zapolarnego /NKGB - Narodowy Komisariat Państwowego Bezpieczeństwa/.

W drugiej połowie lipca zdarzył się w obozie przypadek ucieczki dwóch ludzi.

Sprawdzanie i liczenie stanu liczebnego więźniów trwało bez końca. Uciekł więzień nazwiskiem Moskwa /Ukrainiec czy Polak ze Lwowa/ z drugim młodzieńcem /też ze Lwowa/.

Na drugi dzień po ucieczce służba nadzoru rozpowszechniła wiadomość, że ich już mają. Okazało się, że złapani zostali na piąty dzień daleko za Workutą. Z powrotem jechali drezyną cały dzień, po czym przywieźli ich do obozu 19/20. W czasie ucieczki posuwali się przez tundrę nie oddalając się daleko od torów, gdy skończyły się zapasy żywności powstała między nimi niezgoda; wyszli na nasyp kolejowy i tutaj z zasadzki zostali zatrzymani.

A oto migawki z życia w obozie.

Rano gdyśmy szli do kuchni najpierw dostawaliśmy chleb i stawaliśmy w kolejkę po przywarek. Zanim doszliśmy do okienka, chleb szczypany po drobinie stawał się małym i do obiadu już go brakowało.

Źle było z naczyniami do jedzenia. Jeżeli ktoś zdobył pudełko po konserwach amerykańskich, to był szczęśliwy./Ktoś zjadł konserwy a blaszane pudełko wyrzucono, lecz więzień tych amerykańskich przysmaków nawet nie widział/.

Często jadło się na raty pożyczając naczynie od tego, kto już pierwszy zjadł.

Litwini urządzili się pomysłowo. Niektórzy z nich, prymi-

tywnym sposobem wydłubywali korytka w drewnie na dwa przedziały, zupę i drugie danie - w ten sposób stawali się samodzielni.

Pewnego dnia do obozu przywieźli chleb. Zwykle do przenoszenia chleba od bramy do magazynu ludzie na ochotnika zgłaszali się. Udawało się im przy tej okazji zdobyć ułamaną od bochenka skorynkę chleba pozostałą w worku. Toteż poszedłem na ochotnika i jeden worek przeniosłem, lecz w worku nic nie pozostało. Idąc z powrotem, złamany spotkanym niepowodzeniem i gniewny na swój los, przy podmuchu wiatru ślaniałem się na nogach.

Człowiek tracił siłę, był słabym od niedostatecznego odżywiania. Norma odżywiania dziennego wynosiła:

chleba 450 g /na cały dzień/, krupnik 0,6 - 0,7 litra, kaszy na gęsto 250-300 g /właściwie gęstszy krupnik/ na śniadanie, także porcja na obiad, przy czym na obiad ryby dorsza lub flądry 25 - 30 g, oleju do kaszy miarka 3-5 g.

Przy takiej normie odżywiania ludzie chodzili głodni. Nie pracujący z przyczyn choćby jakiejś ułomności - normy żywności otrzymywali zmniejszone. Tacy jak ich widziałem /Łotysz prof. filologii, znawca kilku języków; Estończyk - historyk i jeszcze inni/ chodzili po obozie z głową opuszczoną, szukając czegoś, co by zjeść mogli. Na śmietniku około kuchni wyrzucano odpady, rybnie głowy itp. zbierali to, z dodatkiem trawy gotowali, potem chorowali na rozstrój żołądka.

Niedługo po naszym zakwaterowaniu się w obozie przybyło jeszcze parę namiotów by przyjąć uzupełnienie ludzi do pracy ze Lwowa - Ukraińców i Polaków.

Zaraz przystąpiono do budowy baraków. Nadal spaliśmy w namiocie, w którym zrobiło się ciasno, stłoczeni jak śledzie w beczce. W tych warunkach również rozplodziły się insekty. Koszulę, którą miałem na sobie, musiałem wyrzucić, bez prania

zrobiła się brudna i sztywna od gnid i wszy w niej bez liku. Koszulę zastąpiła drelichowa kurtka, którą miałem ze sobą, ale i w niej to paskudztwo gnieździło się.

Będąc na terenie kopalni 19 poszedłem w ustronne miejsce szukać samotności, by tam oczyścić się z pasożytów.

Około transformatora była zbudowana z desek szopa nad urządzeniami rozdzielczymi energii elektrycznej. Znajdowała się ona na skraju placu, jeszcze nie ogrodzonego płotem, kopalni.

Gdy byłem tam zajęty tą pracą oczyszczania się, nadzorca zaniepokoił się moim zbyt długim zniknięciem. Przez szparę zobaczyłem go kroczącego w moją stronę. Rychło wdziałem kurtkę i wyszedłem na spotkanie ku nadzorcy. Był to Ukrainiec w wieku podeszłym. Widocznie zauważył na mej twarzy jakieś zmartwienie czy przygnębienie, gdyż po pewnej chwili powiedział: "Nie padaj duchem a dażdżośia łutszewo" /Nie upadaj na duchu a doczekasz lepszego/. To powiedzenie strażnika wytrąciło mnie z letargu, w którym jakby drzemałem.

W czasie transportu i po przybyciu do Workuty psychicznie załamane się. Znalazłem się daleko od swoich. Myśl o rodzinie nie opuszczała mnie. Doznałem tutaj uczucia wielkiej samotności, jaka dotknęła mnie. Straciłem wiarę w sprawiedliwość mając uczucie ~~swojej krzywdy~~ i patrząc na krzywdę tysięcy innych ludzi. Powstawał we mnie wewnętrzny, bezsilny bunt przeciwko wszystkiemu co powodowało taki stan rzeczy. W sercu narastał ból. Taki stan mógł tylko prowadzić do załamania psychicznego.'

Postanowiłem zmienić się wewnętrznie, mniej myśleć i przeżywać o tym co się stało, by nie stracić zmysłów.

Przyznaję, że w mojej wewnętrznej zmianie w dużej mierze przyczyniła się rozmowa ze strażnikiem; widocznie trzeba było, by ktoś wytrącił mnie z tego stanu.

To postanowienie uspokojenia się nie przychodziło szybko. Bunt wewnętrzny nie dawał spokoju. Pod jego wpływem zrodziła się myśl ucieczki. Znalazł się współtowarzysz, z którym byliśmy jednego zdania na istotę tego planu. Był nim pewien Ukrainiec, inżynier z Kijowa. Czyniliśmy przygotowania. Jednakże nic z tego nie wyszło. Jeszcze z początkiem zimy mego współtowarzysza z obozu zabrano i więcej go nigdzie nie spotkałem.

Rozłąka z rodziną, brak wiadomości o niej nieustannie nękały mnie. Jedyną możliwością uzyskania tego pozostawała droga listowa. Pisałem listy i nielegalną drogą wysyłałem /przez Niemca osiedlonego na zsyłce/ na znane mi adresy w Wilnie. Jednym z nich był mój sąsiad mieszkający naprzeciwko mego mieszkania Litwin, Jonas Pietrauskas /kierowca z elektrowni/, który mój list dał osobie wyjeżdżającej /repatriacja ?/ do Polski. W Polsce list trafił do mej żony, w którym był mój adres: ZSRR, Komi ASRR m.Workuta skr.poczt.223/36 /Kopalnia 19/20.

Pracowaliśmy jeszcze w ubraniach własnych, w tych, w których przyjechaliśmy.

Miałem płaszcz zimowy, buty kawaleryjskie z cholewami, marynarkę i spodnie do butów. Przed opryszkami i złodziejami obronić się nie mogłem, bym sprzedał im płaszcz i buty, w zamian dadzą mi obozowe ubranie. Rady nie miałem - skradliby, gdyż już zaistniał taki przypadek tylko, że skradzione buty odzyskałem.

Tranzakcji dokonał Matwiejew /Niemiec z pochodzenia, z zawodu złodziej, za to przestępstwo siedział, chodził wolno po przepustce, zatrudniony jako strzałowy/. Za płaszcz i buty dostałem: chleba 2 kg, kaszy jaglanej 1 kg i paczkę machorki. Chleb zjadłem, kaszę w czasie snu skradziono mi spod boku, machorką uczęstowałem kolegów. Taki był finał z ubraniami oso-

bistym.

Ubranie zastępcze, obozową watowaną fufajkę i trzewiki otrzymałem za pokwitowaniem z należnego mi przydziału. W okresie późniejszym skradli mi i marynarkę; widziałem z niej poszyte czapki.

Zbliżała się jesień. W namiotach, mimo zainstalowanych pieców przerobionych z żelaznych beczek, robiło się już zimno.

We wrześniu /tutaj już początek zimy/ wprowadziliśmy się do wybudowanych baraków. Warunki bytowe poprawiły się.

Otrzymaliśmy też ubrania fasowane watówki: fufajkę, kaftan "buształ" /kitel, kurtkę/ i na okres zimowy wołjoki, rękawice.

Ubrania nasze były poszyte z materiału jasnego, przy czym jeden rękaw kitla był odmienny, ciemny, byśmy jako więźniowie, wyróżniali się od wolnych. Na białych ubraniach szybko widoczne było zabrudzenie, tym bardziej przy pracy w kopalni węgla, dlatego wyglądaliśmy jak niechluję, brudasy. A ubranie było jedno.

Obóz zapełniał się, przybyło uzupełnienie. Wówczas poznałem dwóch Polaków z Mińska - Franciszka Stefanowicza i Krzyżewskiego, obaj czuli się Polakami, mówili po polsku.

Stefanowicz pochodził z rodziny posiadającej folwark, czyli z rodziny kułaków. Po rewolucji rozprawiono się z kułakami. Rodzinę Stefanowiczów wywieziono na Syberię, on jako chłopak przypadkowo został u ludzi obcych. W obozie pracował dniewalnym /służbowym/ baraku. Zaprzyjaźniłem się z nim.

Krzyżewski ^{4/} pochodził z miasta Mińska, był człowiekiem inteligentnym. Zapamiętałem jego opowiadanie z okresu porewolucyjnego /1918-1919/, kiedy to w Zw.Radzieckim powstał pęd zrywania z przeszłością i z jej przesądami. Młodzież zorganizowała pochód nago ulicami miasta. Dziewczyny szarfami przez ramię przepasały się, na których widniał napis: "Dołoj so stydom" /precz ze wsty-

dem/. Pochód udał się na plac przed cerkwią.

Pobliskie kobiety z miotłami i wiadrami wody rozgoniły płonąca żarem tę młodzież.

Potwierdził o tym fakcie obecny przy rozmowie Stefanowicz.

Stefanowicz i Krzyżewski opowiadali o szykanach, których doznali Polacy po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej 1920/21 roku.

Polaków w Mińsku było około 30 - 40%, na wsi mniej. W zorganizowanej nagonce mógł się utrzymać ten, kto zaparł się polskości. W przygranicznym pasie z Polską przeprowadzono pacyfikację wywożąc Polaków w głąb Rosji, na ich miejsce osiedlono rdzennych Rosjan. Taka była rzeczywistość.

Fala niewolników XX wieku nieprzerwanie do obozu napływała. Teraz znów ze Lwowa. Wśród nowo przybyłych znalazło się dwóch Polaków; jeden - zrzutek londyński pod pseudonimem "Wysocki" 5/, drugi - Julian Wiktor 6/, inżynier elektryk z elektrowni lwowskiej.

Pewnego dnia w drodze do kopalni 19 ukazał się przed nami tłum ludzi. Zarządzono zejść z drogi. Nas z nasypu w głęboki śnieg spędzono. Ludzie kroczący po torach ubrani byli w płaszcze niemieckie. Okazali się nimi jeńcy wojenni zabrani z oblężenia Wehrmachtu z kotła nadbałtyckiego, przeważnie Łotysze.

Dobre ubrania sukienne nęciły złodziei i nadzór. Niedługo ogołococono ich z tych ubrań.

W końcu grudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, nasi górnicy kopalni 19 dotarli do pokładu węgla. Z tego faktu cieszyliśmy się, gdyż w barakach nie było już czym palić.

Górnicy pracę mieli ciężką, woda na nich lała się ze ścian szybu, w którym pracowali. Po wydostaniu się na powierzchnię marzli i w sztywnych ubraniach wracali do obozu.

Już wprowadzono małą mechanizację, urządzono wyciąg mechaniczny z szybu, lecz wciąż jeszcze chodziła na linie ta sama "badja", czy to dla ładunku czy dla ludzi.

Niebawem zdażył się nieszczęśliwy wypadek. Młody człowiek, Ukraińiec, w nadbudowie nad szybem pracując, w czasie przyjmowania "badji" podczas huraganowego wiatru został z platformy przez wiatr zmieciony do szybu o głębokości ok. 70 m. Był to pierwszy nieszczęśliwy wypadek w kopalni 19.

Zbliżała się pierwsza w obozie, poza domem, wigilia Bożego Narodzenia. Smutne wspomnienia z ubiegłorocznej wigilii, również w niepokoju przed groźbą nagłego aresztowania spędzoną.

Teraz tutaj myśli hen daleko wybiegały szukając bliskich i błądząc po nieznanym. Duszę uciskała gorycz i żal do tego świata, że człowiek jest tak bezsilny i taki bezradny w swojej niedoli.

W dzień wigilijny pod wieczór wróciłem z pracy. Franciszek /Stefanowicz/ do mnie powiedział, że ma już przygotowaną wigilię. Zebrało się nas kilka osób. Wigilia była skromna i nader symboliczna. Kromka chleba jako opłatek i kawałek ryby /zdobyty w kuchni/. Po przełamaniu się chlebem półgłosem zaśpiewaliśmy kolendę: "Bóg się rodzi..." U każdego łzy w oczach ukazały się. Zapanowała cisza. W tej głęboko wzruszającej chwili myśl szukała swoich bliskich i z tą myślą rozeszliśmy się.

W zimie bardzo dokuczliwe stawały się "prowierki" /sprawdzanie stanu liczebnego więźniów.

Wieczorem należało wychodzić i wzdłuż głównej drogi ustawiać się wg kolejności baraków. Przy choćby niedużym mrozie dłuższy pobyt bez ruchu stawał się dokuczliwy. Sprawdzanie często przedłużało się z przyczyny niezgodności z faktycznym stanem.

Stojąc na drodze często oglądało się zachodzące tutaj na

niebie zjawisko - świecenie zorzy polarnej. Zorza polarna za kołem podbiegunowym najbardziej występuje w miesiącach: listopad, grudzień i styczeń. Zjawisko to jest przepiękne, dające się może przyrównać jakby do niezliczonych ilości neonów skupiskami rozmieszczonych na niebie, nieprzerwanie gasnących i ponownie zapalających się pierzastymi smugami świec i szybko po niebie przemieszczających się. Momentalnie na tle gwiazd całe niebo migocąc, świeci.

W naszej szerokości geograficznej pojęcia zorzy polarnej nie znamy.

Woda w kopalni stwarza dużo kłopotu z potrzebą stałego jej odpompowywania. Ten kłopot wystąpił w kopalni nr 19. Odśrodkowa pompa zainstalowana na dole nie była w stanie podnieść wody do 70 m i nikt nie wiedział co jest przyczyną tego.

Gdy ten stan zaistniał Naczelnik obozu, Denisowicz /były więzień, kryminalista/ zebrał nas speców od techniki, osób nie mniej niż pięciu, w tym inż. Julian Wiktor ^{6/} i autor wspomnień . /Achatkin został już przeniesiony do innej kopalni/ i powiedział do nas /najwyraźniej będąc po dobrym kielichu: "macie iść do kopalni i uruchomić pompę - zrozumiano!?"
Wszyscy potwierdzili: "tak".

Był już wieczór, po całodzienniej pracy pogoniono nas na kopalnię 19.

Nikt z nas nie wiedział dlaczego po paru minutach pracy od uruchomienia rwały się śruby ściągające pierścienie pompy.

Na szczęście był dobry kowal nazwiskiem Kowalczuk /Białorusin/, który po mistrzowsku i na oczekaniu odkuwał nam potrzebne śruby.

Stwierdziliśmy, że istniejąca pompa jest za mała by podolać ciśnieniu występującemu przy 70 m głębokiej kopalni. Potrzebna

jest inna pompa o większej ilości segmentów.

Z tym wnioskiem nad ranem wróciliśmy do obozu.

Pewnego dnia w drodze do obozu konwój zatrzymał nas.

Obok toru leżały skrzynki z materiałem wybuchowym używanym w kopalni. Skrzynki te należało znieść na wyznaczone miejsce składowania, dalej od torów.

Wszyscy zabrali się do roboty. Gdy zbliżyłem się do leżących skrzynek zostałem przez stojącego na torach głównego inżyniera kopalni 19/20 przywołany do siebie. Był nim Wierszynin w stopniu majora, pytał o różne sprawy, nie mające powiązania z pracą. Wydawało mi się, że w ten sposób przytrzymał mnie, bym nie nosił skrzynek.

Wcześniej wysyłane listy dały pożądaną oddźwięk. Mój adres dotarł do żony. W kwietniu 1946 r. otrzymałem paczkę żywnościową z Polski, z Gdańska. Szczęśliwy byłem z faktu jej otrzymania, lecz jeszcze więcej cieszyłem się z tego, że żona wie gdzie ja znajduję się. Szczerze mówiąc sama paczka sprawiła mi wiele kłopotu. Władze sowieckie potraktowały ją jako przesyłkę z zagranicy i jako do wolnego człowieka, nie więźnia.

Musiałem opłacić cło, kwotę wynoszącą prawie równowartość towarów, zawartych w paczce.

Pieniądze otrzymywaliśmy, lecz była to wypłata w formie nagrody i to znikoma, za dobrą pracę dawana.

Musiałem zapożyczyć się w późniejszym rozliczeniu z zawartości paczki, w wyniku czego bardzo mało skorzystałem z niej.

Przyszła wiosna 1946r. , był maj. Po przelotnych opadach deszczu śnieg zniknął, tylko miejscami, gdzie w zimie nawiało go dużo, jeszcze widniały białe płyty. Ziemia pod nadmiarem wody stała się rozmokła.

Pewnego dnia na takie terenowe roztopy pociągiem w wagonie

salonowym na teren kopalni 19 przyjechał naczelnik GULAGU Workuty, gen.Malcow.^{x/}

Generał wysiadł z wagonu w brązowych pantoflach, zatrzymał się na nasypie, lecz nie odważył się stąpnąć w dół mówiąc: "Niet padchoda k szachcie" /nie ma podejścia do kopalni/, po czym zawrócił do wagonu i odjechał.

W parę godzin później na terenie kopalni powstał ruch. Zwerbowano ludzi, zebrano, skąd można było, wszystkie deski, i przez całą noc budowano na terenie kopalni trapy umożliwiające dostępne przejścia.

Oczekiwano na generała długo, ale on z odwiedzin zrezygnował.

Kopalnie 19 i 20 budowano poza planem. Wynikało to z będącego nadmiaru siły roboczej. Ludzi stale przybywało, przy tym powstały trudności z maszynami i urządzeniami technicznymi do budowy.

Maszyny dostarczano z różnych kopalń, jako im zbędne, często z usterkami.

W tych warunkach wyraźnego postępu w budowie nie było.

W kopalni nr 20 przy budowie szybu wentylacyjnego trafiono na występującą kurzawkę /piasek z wodą/, z którą nie potrafili dać rady, by ją powstrzymać.

W takiej sytuacji budowę obu kopalń postanowiono wstrzymać, ludzi rozesłać, pozostawiając tylko 5-osobową obsługę do prac przy konserwacji kopalń, tzn. odpompowywania zbierającej się wody, grożącej zalaniem. W tej piątce m.in. był wspomniany

x/ Gen.Malcow, komendant obozów - łagrów w Workucie, późniejszy komendant Berlina Wsch. Gen.Malcow około swego domu w Workucie miał urządzonej oranżerii, obsługiwanej przez więźniów. Nie brakowało mu nic /na północy poza kołem polarnym/ z nowalijek w każdej porze roku.

wyżej Arbekow i autor zapisek.

Z obozu 19/20 urządzono "Sangorodok" /Sanitarne Miasteczko/ dla gruźlicznie chorych. Z różnych obozów przeważnie ciężko chorzy więźniowie zostali tutaj przewiezieni.

Wśród chorych spotkałem pewnego Polaka nazwiskiem Helman ^{7/} /Wilnianin/. Rozmawiałem z nim, stan jego zdrowia był wówczas poważny.

Upamiętnił mi się z tego San.Miasteczka pewien Tatar z Krymu, wyniszczony. Widziałem go, trzymanego pod rękę przez kolegów, idącego przez podwórze. Jeszcze za życia przedstawiał sobą kościotrupa obciążonego jego własną skórą bladą, przezroczystą, jakby z wosku.^{x/}

Niedługo danym mi było zajmować się odpompowywaniem wody w kopalni 19.

W dniu 6 września 1946 r. przy podmarzniętym już gruncie, pod konwojem przeprowadzono mnie do odległego o 6 km obozu kopalni 17.

Objaśnienia do odsyłaczy

1/ Stanisław Miskuro - zmarł w Workucie w 1954 r. na gruźlicę.

2/ Seweryn Rachlicki - po powrocie do kraju w 1945 r. zamieszkał w Gdańsku. Zmarł 6.03.1984 r.

3/ Wiktor Wiktorowicz Achatkin - długoletni więzień, były ofi-

x/ Tatarzy krymscy za przychylne ustosunkowanie się do Niemców w czasie wojny, po jej zakończeniu zostali deportowani do azjatyckiej części Związku Radzieckiego i niektórzy sądzeni, do łagrów.

cer carski, mechanik okrętowy Marynarki Wojennej. Siedział, mówił za "pagony" /naramienniki/. Po odbyciu jednego wyroku /a może i wcześniej/ otrzymał drugi, aby nie wyszedł na wolność. Wówczas mógł liczyć ok. 60 lat. Obdarzał mnie zaufaniem. Jego ojciec, też oficer, przed I wojną mieszkał w Grodnie. Achatkin z dzieciństwa Grodno pamiętał.

4/ Krzyżewski - poza obozem 19/20 nigdzie go nie spotkałem

5/ "Wysocki" - nazwisko przybrane, zrutek londyński przeszkolony jako "Cicho-Ciemny"; złapany około Lwowa.

6/ Julian Wiktor - w 1946 r. został przeniesiony do kopalni 18.

W okresie późniejszym /ok.1948/ będąc w kopalni Nr 1 /Kapitałnaja/ w pochyłym szybie wydobywczym zginął tragicznie, zaczepiony wózkiem z węglem.

7/ Helman - ppłk oficer zawodowy WP, pseudonim "Tomasz",

"Wileńczuk", Szef IV Oddz. Sztabu Okręgu Wileńskiego AK. Przepuszczalnie ze względu na ciężki stan choroby w San.Miasteczku na 19/20 zmarł.

8.3. L a g i e r k o p a l n i 17

Wiktor Wiktorowicz Achatkin /znajomy z kopalni 19/20/ pracował tutaj jako mechanik, on też zapotrzebował mnie do siebie.

Kopalnia 17 w budowie swej była znacznie zaawansowana. Miała do pierwszego poziomu pochyły szzyb wydobywczy. Wybudowano także pionowy szzyb wentylacyjny. Pracowano przy budowie chodników /korytarzy/ wentylacyjnych i odwozowych /w przyszłości/ urobku.

Zatrudniony zostałem elektrykiem, pracując przeważnie w drugiej zmianie.

Achatkin miał przepustkę i chodził wolno, mieszkał na terenie kopalni, około pomieszczenia elektrocechu. Kiedyś wdałem się z nim w rozmowę. Opowiedział o swej przeszłości w obozach lat poprzednich. W celu scharakteryzowania panujących warunków życia w obozie przytoczył opowiadanie, że zmarłego towarzysze przetrzymywali w ukryciu przez parę dni lub zwłoki wrzucali do dołu kloaczego po to, by za niego porcję żywnościową otrzymywać jak najdłużej.

Albo też inny przykład. Jeżeli zmarłego wywożono przez bramę obozu to dyżurny miał obowiązek sprawdzić, czy nieboszczyk nie żyje. W tym celu młotkiem uderzał zmarłego w głowę a to już było pewnym, że przez bramę wypuścił nieżywego.

Mieszkańcami obozu kopalni 17 byli więźniowie z wyrokami po 10 lat, zwani Zekami, / Z/K od "Zakliuczonnyj" - więzień/ i katarżanie z wyrokami przeważnie 20 lat. Katarżan dotyczył rygor obostrzony. Po pracy zamykano ich w barakach i nie mieli prawa swobodnego poruszania się po obozie w przeciwieństwie do Z/K. /W późniejszym okresie obostrzeń zamykania w barakach nie

przestrzegano/.

Obóz kopalni 17 był oddalony od miasta o przeszło 20 km i dlatego też zaliczano go do obozu karnego. Przysyłano tutaj tych, którzy naruszyli dyscyplinę, przeważnie po odebraniu przepustki wolnego chodzenia, bo takowe miewali różni przestępcy kryminalni /oszuści, złodzieje i mordercy nigdy z § 58 - polityczni/. Zresztą terminologia sowiecka nie miała pojęcia - więzień polityczny, byli tylko przestępcy na równi z kryminalistami. Przy czym więźniowie polityczni gorzej byli traktowani, jako niebezpieczni wrogowie ustroju socjalistycznego, władzy i narodu sowieckiego.

Wartownik na wyżce strażniczej, przyjmujący zmianę od swego poprzednika mówił: "przyjmuję wartę nad wrogami narodu".

Wracając wspomnieniami do świata przestępczego, do tzw. "Urków" czy "Pridurków" /przydurniający się/ tak nazywano kryminalistów i złodziei zatruwających życie innym w obozie, w myśl hołdowanej zasadzie: "Jeżeli ja mam zginąć jutro, to ty giń dzisiaj". Zgodnie z tym, trutniami dla innych byli, stale tańczyli i w płasach obcasami o podłogę wybijali czeczotkę.

Mówili o sobie, że są urodzeni w niedzielę a niedziela u nich - tak śpiewali - to każdy dzień.

Prydurków przydzielano do różnych brygad do robót ogólnych, lecz w brygadzie nic nie robili, gdyż brygadzista był ich kumplem. W raportach im wykazywał wysoki procent wykonania, na podstawie czego otrzymywał odpowiedni wikt. Zresztą z tego, co było w kuchni, lepszy kęs potrafili wymusić nieraz siłą i zastraszeniem dla siebie. W ten sposób okradali z jedzenia wszystkich.

Zgodnie z ustalonymi obozowymi przepisami, które mówiły, że: "Kto nie pracuje, ten nie je", każdy więzień otrzymywał

jedzenie za wykonaną pracę. W tym celu racje żywnościowe dzieliły się na kotły, ilościowo różne, jakościowo podobne, od 1 do 6, a nawet był specjalny kocioł 7. A oto normy:

Kocioł 1 - Zupa /krupnik/ raz na 3 dni i 200 g chleba, pozostałe dni woda i 200 g chleba dziennie otrzymywał ten, kto przewinił się albo odmówił pracy, za co siedział w karcerze.

Kocioł 2 - Zupa /krupnik/, kasza 250 g /dwa razy dziennie/, chleb 300 g otrzymywał ten, kto nie wykonał normy.

Kocioł 3 - Zupa /krupnik/, kasza 300 g / dwa razy dziennie/, ryby 30 g, chleb 400 g - przysługiwał temu, kto był bliski wykonania normy.

Kocioł 4 - Zupa /krupnik/, kasza 350 g /dwa razy dziennie/, ryba 40 g, chleb 600 g otrzymywał ten, kto wykonał normę.

Kocioł 5 - Zupa /krupnik/, kasza 450 g, ryba 50 g /dwa razy/, chleb 850 g należał się temu, kto normę ponad plan wykonał.

Kocioł 6 - Zupa /krupnik/, kasza 450 g, ryba 60 g /dwa razy/, chleb 1,2 kg należał się temu, kto miał normę wykonaną w 120% i więcej.

Kocioł 7 - Zupa /krupnik/, kasza 450 g, ryba 70 g /dwa razy/, chleb 850 g - dostawał ten, kto pełnił służbę nadzoru.

Norma zupy wynosiła 750 g, kasza na drugie danie, to właściwie na wpół gęstszy krupnik bez innych dodatków, wszystko gotowane tylko na wodzie. Do kaszy dodawano oleju około 3-5 g /miarka wielkości napastrka krawieckiego/.

Może, po kilkunastu latach, określenie normy w gramach coś się mylą, ale nie ma to istotnego znaczenia. Ludzie stale chodzili głodni marząc o chlebie, by choć raz do syta się najeść.

Nadzór, niezależnie od przywileju przyznania lepszego kotła, warunki bytowe miał również lepsze. Oni mieszkali w oddzielnych kabinkach, najwyżej po dwie osoby.

Chleb brygadam wydawano rano, przed wyjściem do pracy, w krajalni chleba /"Chleborezka"/.

Zwykle po chleb udawało się dwóch ludzi. Na północy zimą noce są długie i rano panuje ciemność. Korzystali z tego rabusie organizując napady na niosących chleb. Zmuszało to do wysyłania po odbiór chleba w otoczeniu zorganizowanej ochrony.

Chleb otrzymywano w porcjach wyważonych w gramach po tyle, jakie były przyznane "kotły". Jeśli był dodatek do wago, to musiał on być przypięty do zasadniczej porcji patykiem.

Wracając do przerwanego tematu o "pridurkach" jeszcze go przedłużę, celem określenia obrazu życia w ich otoczeniu.

W barakach każdy nie z ich "paczki" musiał ustąpić im miejsca. Mówili do słabo władających językiem rosyjskim: "Nie ruskij czort, żre ruskij chleb a mówić po rusku nie chce".

Grali w karty /nielegalnie/ zawsze o jakąś stawkę, np. ubranie, niekoniecznie swoje, mogło być na kimś albo o głowę kogoś, np. naczelnika obozu /we wcześniejszych latach/. Przegrywający musiał to co przegrał wykonać, jeżeli nie - tracił swą głowę.

Gang ich był zorganizowały, działał nie tylko wewnątrz obozu, w którym byli, lecz działanie ich przenosiło się i do innych obozów.

Pewnego "Urka" z obozu kopalni 17 miano przetransportować

do innego obozu, do którego on nie chciał, gdyż bał się.

Nadzór podstępnie wyprowadza go za bramę razem z rozwozem /wyprowadzenie ludzi/ do pracy. Po wyjściu za bramę oddzielają go od grupy. Trzymany pod karabinem, na znak protestu, przy 30^o mrozie rozbiera się do naga. Ochra /strażnicy wewnątrz obozu, bez broni/ siłą zabierają rozebranego. Ten okazany protest nie odniósł skutku, przetransportowano go.

W bliskim czasie w obozie też rozegrała się tragedia. Przybył do obozu pewien więzień. Gdy go puszczono swobodnie zaczął biegać aż znalazł swą ofiarę, którą próbował uśmiercić, tylko napotkał na przeszkodę, która udaremniła zadanie śpiącej ofierze śmiertelnego ciosu.

Złodzieje należeli do grupy sympatyczniejszych z całego towarzystwa. Kradli oni i w obozie, lecz od więźniów tak jak i oni nie znalazło się nic do kradzenia, najwyżej chleba kawałek, jeżeli ktoś miał.

Dla ciekawostki przytoczę jeszcze jedno złodziejstwo popełnione w obozie w czasie odbywania kary. Znajdowali się prawie wszyscy w obozie kopalni 17.

Do tej grupy należeli: Matwiejew /już znajomy z kopalni 19/, Bezwiernyj, Koczerga, Polarynow i jeszcze jeden.

W miejscu swej pracy zaplanowali wykraść żywność z magazynu prowiantowego, znajdującego się poza obrębem kopalni, w której pracowali. Wszyscy mając przepustki chodzili wolno.

Plan powstał wśród Matwiejewa i Bezwiernego. Myśl była taka - wykonać podkop z kopalni pod magazyn. W tym celu zaangażowali namiarowego Polarynowa /markszajder, geometra górniczy/, który wskazał im kierunek podkopu. Zebranie omawiające sprawę odbyło się u Koczerga /dziesiątnik w dziale wentylacji, mieszkał w kabinie na terenie kopalni/.

Największą pracę wykonał Matwiejew, lampami górniczymi Volfa rozdrzewał wieczną zmarzlinę, a potem ziemię usuwał. Trafiał pod sam magazyn. Okradli go wynosząc konserwy mięsne i inne artykuły żywnościowe.

Pod wpływem chwilowego dobrobytu zmienili swój tryb życia i to ich zdradziło. Nie wszyscy oni byli złodziejami, lecz wyroki od nowa otrzymali równo po 10 lat.

W obozie kopalni 17 spotkałem znajomego już z KPZ -Sadowa, Polaka - Muraszko, który został osądzony na 20 lat katorgi. Chorował, wkrótce zabrano go z obozu.

W baraku, w którym mieszkałem poznałem Polaka, nazwiskiem Rutkowski ^{1/}, który do Z. Radzieckiego trafił sam. W 1936 r. nie chcąc iść do służby wojskowej z poboru, idąc śladami swego bratanka, przeszedł granicę sowiecką. Za nielegalne przekroczenie granicy został złapany i osądzony na 3 lata więzienia. Karę odbywał na Syberii. Do miejsca osiedlenia kolej nie dochodziła. Po wysadzeniu z pociągu pędzono go z grupą innych na odległość paręset kilometrów do miejsca przeznaczenia. Była to zima, w drodze spali pod śniegiem, jedli wydany na drogę chleb. Na miejscu pracowali w lesie.

Po zakończeniu wyroku w obozu zwolniono go, lecz osadzono na osiedleniu. Dostał pracę na statku żeglugi rzecznej. Gdy za dwa lata wybuchła wojna niemiecko-rosyjska został aresztowany i jako człowiek niepewny osądzony na 10 lat.

Również był tutaj "Wysocki" ^{2/} /nazwisko przybrane/ z obozu 19/20. Jako b. żołnierz Armii Andersa był w Anglii i znał język angielski. Znalazło się parę osób chętnych nauki tego języka. Rozpoczęły się zajęcia, lecz niedługo one trwały. Rychło władze tej nauce przeszkodziły, zabierając z obozu "Wysockiego".

Całą duszą nienawdził ustroju sowieckiego. Przy każ-

dej sposobności znalazło się coś pod adresem władzy powiedzieć. Mówił rzeczy ciekawe, dla nas jeszcze nieznanne, o łaagrach z drutem kolczastym rozsianych po całym Zw. Radzieckim.

Pewnego dnia wiosną 1947 r. rano przed wyjściem do pracy Aleksander przyniósł z kuchni /w naczyniu zrobionym z pudełek po konserwach/ zupę, kaszę i rybę pozostawiając to na stole, a sam oddalił się do swego posłania po chleb. W baraku panowała ciemność. W środku jego świeciła słaba żarówka. W takim półmroku niespostrzeżenie łatwo komuś coś zabrać. Tak stało się z rybą Aleksandra, gdy wrócił z chlebem w naczyniu ryby brakowało.

Tego dnia na śniadanie dali kawałek flądry 30-40 g. Flądre dostarczano w beczkach, w celu jej konserwacji zalewano płynem o silnym zapachu przypominającym karbol tak, że przy podniesieniu do ust drażniło oczy, niektórzy tej ryby nie jedli.

Po stwierdzeniu braku ryby Aleksander zapytał: "Kto wziął rybę?" Po czym dodał: "Jeżeli ktoś chciał, mógł zapytać, ja i tak tej ryby bym nie jadł, niech ją je ten "Wąsaty" przy czym gestem ręki palcami otarł po rzekomych wąsach u siebie.

Wiadomym wszystkim było o kogo chodziło. Na tym incydent rybny skończył się, lecz to nie był koniec, to był tylko początek wielkiej sprawy.

W parę dni później Aleksandra aresztowano /tak, aresztowano będącego już aresztantem/ i odwieziono do aresztu śledczego NKWD. Ktoś doniósł służbie bezpieczeństwa /w obozie taka służba była/ o tym fakcie z rybą i "Wąsatym".

Po paru miesiącach z naszego baraku wywozili ludzi do aresztu śledczego na dochodzenie. Jako najbliższej obcujący z Aleksandrem byłem również wezwany /wzywali prawie wszystkich/.

Aleksandra wprowadzono do pokoju śledczego kpt Lisicy. Był zmieniony, wychudzony, ubranie /watówka/ na nim obdarta.

Zostałem zapytany co wiem w tej sprawie. Odpowiedziałem, że Aleksander używając wówczas tego określenia miał na myśli kucharza, który nosił wasy, sam o tym mówił.

Śledczemu nie podobała się moja odpowiedź skrzyczał i straszyl mnie, lecz "oczna stawka" /widzenie/ zakończyło się.

Aleksandra sądzono, dostał od nowa "dziesiątkę" z odbyciem wyroku przy ciężkiej pracy w cementowni. Więcej go nie spotkałem.

Zapoznałem pewnego lekarza nazwiskiem Abdachimow ^{4/} Rosjanin, który do obozu kopalni 17 trafił za karę. Jako lekarz, będąc w poprzednim obozie blisko miasta /Workuta/ miał przepustkę do wolnego chodzenia. Zdarzył mu się przypadek odwiedzić chorą żonę pewnego oficera pełniącego służbę w obozie, w którym był Abdachimow. Chorą zaczął odwiedzać częściej, aż przypadli sobie do gustu.

Za te upodobania odesłano go do obozu karnego kopalni 17. Tutaj pilnowano, by pracował tylko z łopata, nie pozwolono mu urządzić się na lżejszej robocie.

W obozie kopalni 17 pracował lekarz Kozielski ^{5/}, Polak z pochodzenia, wychowany w Rosji. Wiele on mi pomógł gdy z niedostatku witamin zachorowałem na kurzą ślepotę, która objawiała się brakiem widzialności, przy gorszym oświetleniu nie widziałem nic. Dzięki Kozielskiemu niedługo mi to trwało.

W tym obozie spotkałem Leona Koplewskiego ^{6/}, majora WP. Wkrótce jako poważnie chorego zabrano go.

W obozie kopalni 17 znalazłem się w odosobnieniu. Polaków właściwie nie było tutaj, w niedługim czasie zabrano i tych, którzy tu byli. Odezwać się w języku ojczystym nie miałem do kogo.

W czerwcu 1947 r. otrzymałem z Polski z Gdańska list z foto-

grafią żony z dziećmi oraz, prawie w tym samym czasie, kartkę pocztową. Z fotografią nie rozstawałem się - był to mój talizman.

W tymże 1947 r. od żony otrzymałem paczkę żywnościową, która te same kłopoty sprawiła mi, jak paczka rok temu przysłana do obozu 19/20, tym niemniej ogromnie cieszyłem się z samego faktu otrzymania i tym sposobem nawiązania łączności.

Także Pietrauskas /już wspomniany wcześniej/ przysłał kawałek słoniny z pakietem gazet, bowiem rozeszła się pogłoska, że mając papier gazetowy można tutaj coś wyhandlować.

Owszem handlowali tytoniem na papier. Brakowało bibułki, w ofóle ona tutaj nie istniała, dlatego palono skrętki w gazecie, za którą otrzymywało się garść tytoniu.

Zimą w grudniu 1947r. z Wilna przysłał też paczkę znajomy Jan Kwasowiec ^{7/}.

Z odebraniem paczki miałem kłopoty. Naczelnik KWCz /Kulturno Wospitatielnaja Czaść/ - /Kulturalno Wychowawczy Dział/ był narodowości żydowskiej /wolny/, brał on udział przy wydawaniu paczek. Domagał się bym powiedział, kto jest nadawcą, przy czym jakie jest imię ojca/" otczestwo"/.

Nie spodziewałem się by nadawcą paczki miał być Kwasowiec. Gdy w końcu podpowiedział mi nazwisko, to już za nic nie wiedziałem imię jego ojca. W końcu dał mi spokój i paczkę wydał.

W jej zawartości była: słonina ok.1,5 kg , cebula, tytoń /krajany, dość dużo/ i ciepła bielizna.

Bielizna już przy wydawaniu zniknęła /udział przy wręczaniu paczki brali zeki z grupy recydywistów - złodziei/ . Połowę tytoniu należało rozdzielić między obecnymi: służbą nadzoru i zekami - pozostałość zabrałem

Gdy zbierałem się do wyjścia zauważyłem, że naczelnik KWCz

opuścił pomieszczenie przede mną wcześniej.

W chwilę potem na dworze, był już wieczór i ciemno, naczelnik podchodzi do mnie i mówi: "Daj kusk sała" /daj kawałek słoniny/, dodając, że mi podpowiedział, kto przysłał przesyłkę.

Gdyśmy doszli do baraku, w którym mieszkałem pozostał na dworze czekając aż wyniosę zawinięty żądany pakunek.

W baraku znowu należało poczęstować chociaż najbliższych sąsiadów z prycz /Arbekow i Muchin /siedzieli za zabójstwo/. W następnych dniach słonina z zamkniętej walizki "topniała" aż zniknęła zupełnie. Można by otrzymane produkty oddać do KCh /Kamiera Chranienija/ na przechowanie, lecz skutek tego byłby ten sam.

Korespondencja z domem urywała się. Listów nie doręczano, czynili zwroty podając, iż nie ma takiego.

Ze swej swtrony jeszcze w 1948 r. pisałem listy i wysyłałem, lecz później nie miałem już takiej możliwości, było zabronione korespondować z zagranicą. Wolnym groziła kara za przemykanie czegoś i w ogóle za utrzymywanie kontaktów z więźniami.

Wiosną 1947 r. w jednym z obozów zbuntowali się więźniowie. Opanowali oni przy bramie dyżurkę, rozbijając jej załogę z 2-3 osób. Po przebraniu się w ich płaszcze i uzbrojeniu się zdjęli posterunki z wież strażniczych. Rozbroili skoszarowanych wartowników poza bramą, po czym poszli do pobliskiego obozu, gdzie to samo przeprowadzili. Nad ranem wywiązała się walka, która trwała 3 dni.

Później gdy spotkałem się z uczestnikami rebelii w obozie kopalni 9/10, oni opowiadali o poniesionych dużych stratach; udział wzięli byli żołnierze frontowi.

W walce z buntownikami brała udział też część służby ochrony obozu kopalni 17.

Zima tutaj zaczyna się we wrześniu i trwa do maja. W okresie początkowym /październik, listopad, grudzień/ i późniejszym /luty, marzec/ bywają częste silne wiatry ze śniegiem, "purga" /zamieć śnieżna/. Wiatry są huraganowe, dochodzące do 140 km/godz. i trwające przez 4-5 dni.

Przypominam powrót do obozu w czasie takiej burzy. Wracaliśmy w nocy po drugiej zmianie. Wiatr tak silnie wiał, iż trudno utrzymać się było na nogach. Każdy szedł z naciągniętym na głowę kitem i przez pozostawioną na jedno oko szparkę, patrzył na nogi swego poprzednika, starając się za nim podążać. Po upływie pewnego czasu kolumna rozciągnęła się i rozsypała, każdy podążał sam, bez opieki konwoju, kierując się na widoczne jak we mgle światła oświetlające zonę łagru.

Przez bramę przepuszczano przybywających z drogi pojedynczo - wszyscy wrócili.

Gdyśmy podeszli do miejsca, gdzie stał barak, nie widać go było, cały z dachem zawiany został śniegiem. Wykopanie tunelu pozwoliło wejść do wnętrza. Nawiane zaspy śniegu były tak twarde, że pod stopami człowieka nie zapadały się, mógł nawet przejść koń, nie pozostawiając śladu. Masy tego śniegu leżały aż do końca maja, gdy pod wpływem deszczu i słońca stopniowo znikaly.

W czasie jednej z takich zamieci z obozu uciekło dwóch więźniów. "Ochra" rozpowszechniła wiadomość, że uciekinierów złapano i postrzelano.

Miałem także w czasie trwania takiej "purgi" przygodę. Po przyjsciu z pracy udałem się z naczyniem do kuchni po obiad. Na dworze już się ciemniło, od pół dnia zaczynało silnie wiać, zanosilo się na przewlekłą zamieć śnieżną. Na skutek silnego wiatru do kuchni /mieściła się na podwórku/ podejść nie mogłem, wiatr mnie zmiatał, wreszcie udało się. Po otrzymaniu należnej

mi porcji skierowałem się do swego baraku.

Wiatr pędził chmury śniegu tak gęste, ograniczające widoczność do 1,5 - 2,0 m. W tych warunkach zbłądziłem, wyszedłem ze dwa razy na ogrodzenie zony a baraku nie mogłem znaleźć, chociaż doskonale znałem jego miejsce, gdzie mógł się znajdować. W błędzeniu wpadłem w jakąś dziurę. Przy upadku z wysoka obiad mój wylał się i rozsypał. Znalazłem się około ściany jakiegoś baraku, wokół którego wiatr wydmuchał śnieg.

Po wejściu do jego środka wiedziałem, gdzie znajduję się. Ów barak niedaleko i naprzeciwko tego, którego szukałem, stał.

Według specjalnego porządku odbywało się wyprowadzanie więźniów na robotę.

Już wcześniej z PPCz /Planowo-Produkcyjny Dział/ dostarczono do "Ochry" /Ochra - strażnicy wewnątrz obozu i bez broni/ w wartowni przy bramie kartki z danymi personalnymi każdego więźnia wychodzącego na robotę.

Kartki /kartoteki/ według brygad były ułożone w skrzynkach. Gdy zbliżał się czas wypuszczania, otworzono bramę, a na drodze prowadzącej z obozu już stała "Wochra" /straż uzbrojona, pełniąca służbę na zewnątrz obozu/ po obu jej stronach. Z tą chwilą zaczynała się procedura wyprowadzania.

Strażnik z "Ochry" wyczytywał nazwisko, więzień musiał wymienić swoje imię, podać "otczestwo" /imię ojca/, rok urodzenia, paragraf, według którego został osądzony, termin wyroku i data końca jego.

Cała ta litania wyuczona na pamięć była wyśpiewana przez każdego.

Teraz przy przechodzeniu przez bramę dokonywano rewizję osobistą /"szmon"/, szczególnie dotyczyło to katarżan. Każdy rozpiął swój kitel a ochrowiec obszukiwał po bokach, szukając czy

nie jest grubiej ubrany i czy nie ma coś do jedzenia.

Była to przezorność w celu uniemożliwienia ewentualnie pomyslanej ucieczki.

W ten sposób znaleźliśmy się za bramą i władzę nad nami przejęła "Wochra".

Do zebranych stojących na drodze w kolumnie piątkami padało ostrzeżenie: "W drodze w czasie marszu nie rozmawiać, nie oglądać się, przy każdej próbie ucieczki konwój użyje broni bez uprzedzenia, ręce do tyłu, krokiem naprzód marsz!"

Ponura kolumna ruszyła. Na czele jej szedł "Wochrowiec" z automatem, po bokach, w pewnej odległości, otaczał konwój a z tyłu, jak zwykle znajdowało się ubezpieczenie z psami.

Odległość z łagru do kopalni wynosiła ok. 500 m. Na teren kopalni wpuszczano już tylko licząc według kartek, które nieodłącznie za nami przywędrowały tutaj.

Po zakończonej robocie, która teoretycznie trwała 8 godz. /trzy zmiany, regulamin dla więźniów obowiązywał 10 godz. czas pracy/, przed bramą brygadami zbierali się więźniowie. Zwykle trwało to długo, bo albo któraś z brygad nie wykonała na czas zadania, albo ktoś pojedynczo gdzieś się zawieruszył. Bez kompletu ludzi w całości z kopalni nie wypuszczano.

Czasami dochodziło do incydentu, gdy oczekiwanie zbyt długo się wydłużało. Więcej nerwów nie wytrzymywali, robili "łażnię" spóźnionemu, przepuszczając go pod cięgami przez dwusze-reg, by więcej tego nie dopuścił się.

Z terenu kopalni przez bramę wypuszczano dość szybko, należało tylko wypowiedzieć formułkę jak przed tym: imię, imię ojca itd.

W drodze powrotnej do łagru z konwojem procedura taka sama.

Po przybyciu do OLP'u ^{x/} podlegaliśmy obostrzonej kontroli.

Wszyscy musieli na komendę "rasstiagnisja" /rozpiąć się/ rozpiąć swe ubrania by ochrowcy mogli obszukać każdego. Chodziło głównie o to, by ktoś nie przemycił jakichś ostrych narzędzi /nóż, topór itp./

Często zdarzało się w czasie trwania silniejszych mrozów "Zeki" przynosili z sobą z kopalni bryły węgla, aby więcej ocieplić w baraku. Rzadko to udawało się, najczęściej węgiel przy bramie został odebrany.

Wieczorem odbywało się generalne "prowierka" /sprawdzenie/. Początkowo wszystkich wyganiano na linię /na główną drogę w OLP-ie/, potem darowano to i sprawdzanie przeprowadzano w barakach.

Wszyscy powinni byli ustawić się przed swoimi pryzami i na wezwane nazwisko, metodą znaną już podawać: imię, imię ojca, rok urodzenia itd.

Te "prowierki" trwały zwykle długo. Nie do rzadkości przeliczanie powtarzano po kilkakroć razy, aż stan liczebny zgodził się.

Często też w barakach odbywały się rewizje, w czasie których przetrząsano i przewracano miejsca do spania, szukając nie wiadomo czego. Nie wolno było mieć np. zeszytu i prowadzić w nim zapisy. Obawiano się przygotowania do jakiegoś buntu.

Co roku przeprowadzano remanent ludzki i rzeczowy. Zwykle odbywało się to w kwietniu. W tym celu z rzeczami osobistymi wyprowadzano wszystkich za zonę OLP-u. Po czym "Ochra" sprawdzała w barakach, czy aby wszyscy wyszli i by nie było pozostawionych rzeczy.

Po przeprowadzonej rewizji w barakach wpuszczano nas do obozu pojedynczo, przeprowadzając znaną już procedurę sprawdzania. Sprawdzano też stan liczbowy rzeczy osobistych, jeżeli ktoś miał

coś ponad stan tego, co mu należało się służbowo, zostało zabrane.

Ci, którzy wychodzili do pracy, przed wyjściem musieli swoje rzeczy wynieść za zonę, gdy wrócili przeszli tę samą procedurę sprawdzania.

Wiosną w 1947 r. do OŁP-u 17 sprowadzono kobiety. Były to Litwinki, Polki, Ukrainki i Rosjanki, sądzone z art.58 wliczbie ok.150-200 osób. Wśród nich znajdowały się trzy prawosławne zakonnice. Kobiety umieszczono w oddzielnym baraku, wokół którego wykonano dodatkowe ogrodzenie z drutu kolczastego.

Kobiety w łagrze bardzo trudne miały życie. Przydzielano je do wykonywania robót na budowlach przy wykopach i innych pracach nie wymagających kwalifikacji.

W zimie stale znajdowały się na mrozie, a lato tam trwa dwa miesiące.

Młodsze i o lepszej prezencji miały często niedwuznaczne propozycje za urządzenie na lżejszej robocie. Mógł do pracy przyjąć dziesiętnik, brygadzysta lub jakiś inny "pridurek" /sam ciężko nie pracujący/. Byli to zwykle jacyś przestępcy pospolici lub kryminalni. Jeżeli któryś z nich posiadał w ten sposób kobietę, mówiło się o niej, że jest jego "żoną" i taka przed innymi mężczyznami zapewniony spokój miała, nikt nie odważył się dotknąć ją, nawet palcem, a jeżeli sama sprzeniewierzyła się, była bita przez męża. "Mężowie" starali się swe "żony" dożywiać, lepsze kęski zdobyte w kuchni oddawali "żonom".

Kobiety wewnątrz obozu mogły swobodnie chodzić, aż do wieczornej "prowierki" /kontroli. Jednak zdarzały się przypadki napadu na kobiety i dokonania zbiorowego gwałtu, chociażby jaki miał miejsce na Litwince /nawet już nie młodej/ która wstąpiła do baraku, w którym mieszkałem, by odwiedzić znajomego rodaka.

Zdarzało się, że któraś "żena" pod ukradkiem w nocy przyszła odwiedzić "męża". Dlatego też nic nadzwyczajnego, gdy kobiety zachodziły w ciążę i niebawem były one zabierane z obozu.

Po urodzeniu i przez okres karmienia matka pozostawała z dzieckiem. Później podstępem matce odebrano dziecko a ją samą skierowano do pracy.

Kobiety w OŁP-ie 17 długo nie były. Po upływie niewiele więcej niż roku zabrano je.

W Workucie istniały obozy tylko kobiece, do nich należały dwie cegielnie.

W zimie 1948 r. musiałem zmienić pracę. Achatkina już wcześniej z obozu zabrano. Z nowo wyznaczonym kierownikiem cechu "pridurkiem" pracować od chwili, gdy niesłusznie uderzył mnie w ucho, nie mogłem. Dlatego przeszedłem na stałe do pracy w kopalni na jednym z oddziałów w charakterze elektroślusarza.

Na oddziale organizowano socjalistyczny wyścig pracy. Górnicy, gdzieś w Anglii, przy przebijaniu chodnika /tunelu/ dawali jakąś tam liczbę metrów na zmianę. Tutaj górnicy muszą "prochodki" /przebijania/ dać więcej. Nieraz, po kolana w zimnej wodzie jak lód wykonywali w ścianie wiercenia, by na czas zdążyć z odstrzałem wyrobku.

Takie brygady zwykle miały skład mieszany więźniów z wolnymi, by oni swą pracą podtrzymywali tempo. Ale człowiek na wolności mógł odżywiać się racjonalnie w przeciwieństwie do więźnia, który musiał pracować przy niedostatecznej racji żywnościowej.

Przy takim stanie, niektórzy ludzie ciężko pracujący dochodzili do wyniszczenia fizycznego. I takim przychodziła myśl spowodowania trwałego uszkodzenia kończyn, by trafić do szpitala, odpocząć a może i zostać inwalidą. I takie wypadki zda-

rzały się. W przypadku udowodnienia komuś umyślnego spowodowania kalectwa czekała go kara /sąd/.

Dopatrywano się umyślnego spowodowania wypadku nawet, jeśli ktoś niechcący skaleczył się.

W jesieni 1948r. wybudowano nowe osiedle /obóz/.

Do murowanych, jeszcze wilgotnych pomieszczeń rychło wprowadziliśmy się. Cały budynek dzielił się na 3-4 izby. W izbie mieszkało do 20 osób. Warunki mieszkaniowe poprawiły się.

Na przełomie zimy 1948/49 w OŁP-ie przez "Ochrę" została rozpowszechniona pogłoska o tym, że będzie segregacja nas według kryteriów: "kto czym dyszy" - w znaczeniu, kto czym trąci.

Wszyscy sądzeni za przestępstwa wobec państwa radzieckiego mają być przekazani pod nadzór wojsk MGB x/ .

Wiosną 1948r. zabrano z OŁP-u wszystkich z paragrafem 58. Mnie, nie wiem z jakich przyczyn, o jeden dzień później przeprowadzono w pojedynkę do obozu kopalni 11.

x/ Od 1946 r. NKWD i NKGB przekształcono w Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Spraw Bezpieczeństwa Państwa. W 1953r. połączono je w jedno Ministerstwo Spraw Wewnętrznych /MWD/.

W 1954 r. sprawy bezpieczeństwa zostały wydzielone do Komitetu Bezpieczeństwa przy Radzie Ministrów.

W 1960 r. MWD zostało zniesione a jego funkcje przekazano Ministerstwom Spraw Wewnętrznych Republik Związkowych.

Objaśnienia do odsyłaczy

- 1/ Rutkowski - pochodził z miasteczka Mołodeczno na Wileńszczyźnie. Poza OŁP-em 17 nigdzie go nie spotkałem.
- 2/ "Wysocki" - nazwisko przybrane, zrzutek londyński "Cicho-Ciemny", złapany około Lwowa.
- 3/ Aleksander s. Mikołaja /nazwisko...?/ - po widzeniu w areszcie śledczym u kpt Lisicy Aleksandra więcej nie spotkałem.
- 4/ Abdachimow - spotkam go jeszcze w obozie kopalni 11.
- 5/ Kozielski - jeszcze do spotkałem, gdy się znalazłem w szpitaliku obozowym OŁP-u 9/10.
- 6/ Leon Koplewski, mjr WP, ps. "Skarbek", dowódca Garnizonu AK w Wilnie, widziałem go poważnie chorego.
- 7/ Jan Kwasowiec - były oficer policji śledczej, żonaty z dr Jadwigą Ignatowicz-Suszyńską. Moja siostra Waleria pracowała z Suszyńską, stąd ta znajomość. Dr Suszyńska była wywieziona na Sybir. Po paru latach wróciła do kraju. Z mężem zamieszkali w Warszawie. Zmarli: Kwasowiec w latach 1970; Suszyńska - 6 marca 1990r.

8.4. Łagry kopalń 11 i 9/10

Kopalnie 9,10 i 11 należały do będących w eksploatacji. Ze względu na zaleganie węgla w warstwach 0,6 - 1,2 grubości, stąd i małej wydajności, zaliczały się one do tzw. "miękkie szachty" /kopalnie drobne/.

W kopalni 11 eksploatowano złożę grub. 1,2 m.

Przydzielony zostałem do brygady wydobywczej w charakterze elektroślusarza. I od tej chwili zaczęła się moja tragedia, z którą walczyłem jak mogłem.

Jeżeli pozostanę przy tej pracy dłużej, widziałem swój niechybny koniec - przez kalectwo lub ułomność przez nabytą chorobę.

W ławie, koło ściany, gdzie wrębowa maszyna rąbała węgiel, można było posuwać się tylko na kolanach. Woda uciekała w dół /pochyłość 30° / po podkładzie z kamienia, pozostałym po wydobywaniu węgla. Kolana i ręce znajdowały się stale w wodzie.

Do mego zadania należało pilnowanie i usuwanie wszystkich usterek, które mogły powstać w pracujących tutaj maszynach - wrębowej i rymsztokach ^{x/} szturchających, popychających znajdujący się w nich węgiel.

x/ Rymsztoki szturchające są to blaszane koryta leżące na drewnianych wałkach, poruszane ruchem szturchającym, powolnym do przodu i szybkim szarpnięciem do tyłu. Takie ruchy powodują posuwanie się do przodu leżącego w korytach węgla. Ruch szturchający nadaje korytom specjalna przystosowana do tego maszyna.

Nieustannie uszkadzały się rynsztoki i one najwięcej wymagały wytężonej roboty.

Po paru tygodniach takiej pracy zaproponowano mi objęcie stanowiska mechanika oddziału. Wiedziałem już, że przy tej pracy nie ma spokoju w dzień i w nocy. Mechanik jest stale do kopalni wzywany celem usunięcia jakiejś awarii, a po drugie, obawiałem się, by nie zostać tutaj na długo.

Co prawda to stanowisko daje przywilej korzystania z siódmego kotła, lecz zachowanie zdrowia jest ważniejsze. Dlatego objęcia tego stanowiska odmówiłem.

Spotkałem się z wielkim oburzeniem i oświadczono mi, że zostanę przesunięty do najcięższej roboty. Tak się to i stało.

Zostałem przydzielony do przetaczania wózków z węglem do szybu wydobywczego.

Odległość od luku /otwór, przez który wysypywał się węgiel/ do szybu wynosiła około 400 m. Tory były nierówne, wagonetka często wykolejała się. Chodnik miejscami zalewała woda, przez którą brnęło się nieraz prawie po kolana.

Przy tej pracy /jeden człowiek na wagonetkę/ wysiłek fizyczny stawał się nadmiernym. Czułem iż tracę siły.

I tutaj z pomocą mi przyszedł znajomy już z 17, lekarz Abdachimow, który w tym czasie na przychodząco pracował lekarzem w punkcie ambulatoryjnym w obozie kopalni 11.

Udałem się do niego i po znajomości opowiedziałem w jakiej sytuacji znajduję się prosząc, by skierował mnie do szpitala, jako jedyną próbą szukania drogi ucieczki z tego piekielnego bagna, w jakie popadłem.

Umówiłem się, że będę uskarżał się na ból wątroby. Tak też stało się. Abdachimow ^{1/} mnie skierował do szpitala obozowego w OLP-ie 9/10.

Teren kopalni 11 i jej obóz stanowiły jedną wspólną całość. W tym obozie spotkałem się z Edmundem Greczanikiem ^{2/}, pracował on w dziale ekonomicznym i nie najgorzej mu się wiodło.

Drugim spotkanym tutaj Polakiem był ks. Józef Kuczyński ^{3/}.

Pracował na powierzchni przy szybie wydobywczym, odrzucając szufłem gromadzący się tutaj rozsypany węgiel. Parafianie z Wołynia nie zapominali o nim, przesyłając paczki żywnościowe.

Niedaleko od kopalni 11 znajdował się obóz 9/10.

W szpitaliku ordynatorem był lekarz Kozielski ^{4/}, /znajomy z 19/ oraz lekarz Stanisław Buryło ^{5/}, Polak ze Lwowa.

Moja symulacja choroby z powodu wątroby zapewne wkrótce została wykryta ale ze 3 tygodnie przebyłem w szpitalu, wypocząłem i po tych przeżytych perypetiach z 11 nabrałem sił.

Ze szpitala zostałem przeniesiony do OP /odpoczynek, rekonwalescencja/, gdzie okres mego odpoczynku przedłużał się.

OLP 9/10 był w tym czasie obozem przejściowym dla "państwowo niebezpiecznych" czekających na umieszczenie w specjalnych obozach RieCzŁagach /Reżimnyj Czerezwyczajnyj Łagier/ /Reżimnyj Nadzwyczajny Obóz/.

Więźniowie różnych narodowości zostali tutaj zgromadzeni, słyszało się języki obce, jak gdzieś na międzynarodowym festiwalu. Byli tu: Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Litwini, Łotysze, Estończycy, Polacy, Niemcy, Węgrzy, Rumuni. Także można było tu spotkać ze Wschodu - Japończyków czy z Kaukazu - Gruzynów, Ormian i jeszcze innych nacji.

Polacy w OLP-ie 9/10 licznie reprezentowani byli. Mój krótki pobyt na 9/10 uniemożliwił zapoznanie się z większym gronem poza przygodnymi znajomościami. Spotkałem tutaj Stanisława Kiałko /Jelonek/ ^{6/}, znany już z konspiracji wileńskiej.

Zbliżał się kres mego wypoczynku. Przed powrotem do

kopalni 11 ogarniał mnie lęk. Dlatego też gdy zjawili się kupcy po "żywy towar" do kopalni 6 zapisałem się na ochotnika.

Objaśnienia do odsyłaczy

- 1/ Abdachimow - poza kopalnią 11 nigdzie go więcej nie spotkałem.
- 2/ Edmund Greczanik - jeszcze spotkam się z nim na przymusowym osiedleniu.
- 3/ Ks. Józef Kuczyński - sądzono go razem z innymi księżmi za szerzenie propagandy na ziemiach przyłączonych do ZSRR.
- 4/ Kozielski - poza OŁP-em 9/10 więcej go nigdzie nie spotkałem.
- 5/ Stanisław Buryło - spotkamy się na przymusowym osiedleniu.
- 6/ Stanisław Kiałko - ps. Jelonek , powrócił do kraju, zamieszkał we Wrocławiu, pracował w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Zmarł w 1982 r.

8.5. Ł a g i e r k o p a l n i 6 - R i e C z Ł a g

W pierwszej połowie lipca 1949r. w dość pokaźnej grupie przybyłem do OŁP-u 6.

Zaraz na wstępie poddano nas komisijnemu badaniu lekarskiemu. W przeprowadzonych badaniach głównie chodziło o stwierdzenie kategorii według jego fizycznej kondycji, do której należało każdego zaliczyć.

Kategorie dzieliły się na: I - ciężka, II - średnia i III- lekka fizyczna praca. Otrzymałem kategorię I- ciężką. I tak już los chciał, że członkiem w komisji był Polak Edward Kieda, który badał mnie, po rosyjsku zadawał mi pytania, odpowiadałem mu też po rosyjsku i w rezultacie nie poznaliśmy, że jesteśmy Polakami.

Kopalnia 6 należała do będących już w eksploatacji. OŁP z kopalnią łączyła szeroka, prosta droga, jak zwykle długości ok. 0,5 km.

Zostałem skierowany do pracy na jeden z oddziałów w charakterze dostawcy stempli ^{x/} długości ponad 4 m, gdyż taka tutaj była grubość pokładu węgla.

Do ciężkich należała ta praca, zwana "lesogonem" /dostawca bierwion/. Namokłe bierwiona przychodziło się nosić na barkach z miejsca składowania na placu do wagonetki a później w kopalni rozładować i dostarczyć na oddział.

Nie miałem żadnej znajomości żeby zaczepić się jakiejś lżejszej roboty.

Stanowiska kierownicze począwszy od brygadzisty, dziesiętnika czy kierownika działu były obsadzone także więźniami, lecz naj-

x/ Stempel - bierwiono do podpierania sufitu po wybraniu węgla.

częściej Rosjanami, ale takich stanowisk było mało.

W obozie system zatrudnienia był oparty na zasadzie ilości miejsc pracy i ich obsady. Ręce do pracy ponadliczbowe kierowano na roboty ogólne.

Wszyscy starali się pracować według swej specjalności, możliwie na lepszych stanowiskach. Nowo przybyły nie miał możliwości urządzić się lepiej, gdyż takie miejsca były zajęte, musiał czekać aż coś się zwolni. W takiej też sytuacji znalazłem się.

Do elektrocechu dostać się nie mogłem, ludzi tam nie brakowało.

Po przybyciu na 6 w kopalni jeszcze pracowali katarżanie i dużo też było przestępców kryminalnych. Widziałem jak dziesiętnik oddziału, w którym pracowałem, katarżanin, okładał kawałkiem deski jednego z pracujących tam, za niewywiązywanie się z pracy. Bicie podwładnych przez starszych nad nimi było tutaj nagminne.

Po pewnym czasie pobytu w OLP-ie spotkałem Franciszka Stefanowicza, znajomego z 19/20. Za miniony czas podzielił się swoimi przeżyciami i ponieważ pracował w "chleborezce", ofiarował mi swą pomoc w tym, że może mi okresowo dawać kawałek chleba, zapraszając bym podchodził do okienka krajalni chleba. Toteż odwiedzałem go i otrzymywałem obiecaną porcję.

Dzieliłem całodzienną rację na dwie części, jedną zjadłem przy śniadaniu, drugą zostawiłem w szafce przy pościeli, by spożyć ją po powrocie z pracy. Udając się do stołówki na obiad zaglądałem do szafki, chleba tam nie znalazłem, ktoś zabrał.

Następnego dnia część chleba wziąłem ze sobą i w rozdzielalni w rękawie swego czystego ubrania pozostawiłem /do pracy przebieraliśmy się w ubrania robocze/. Gdy wróciłem chleba nie było,

przypuszczalnie szczury go zabrały.

Na przyszłość nauczony niepowodzeniem, nieźjedzony za jednym razem chleb nosiłem przy sobie. Zabawa z chlebem długo nie trwała, po kilku czy kilkunastu dniach Stefanowicza z obozu zabrano.

W tym czasie w OŁP-ie 6 spotkałem Tadeusza Lisowskiego, który tutaj przybył wcześniej i miał już zawarte znajomości.

Za pośrednictwem Lisowskiego zacząłem starać się o pracę w elektrocechu, ale wolnych miejsc nie było, należało czekać.

Tymczasem ta ciężka praca "lesogona" fizycznie mnie wykończyła. Postanowiłem próbować szczęścia w San Czasti /Ambulans Sanitarny/. Udałem się na wizytę do lekarza. W zastępstwie przyjmował felczer Ukrainiec, starszy wiekiem, dobrze patrzyło mu z oczu.

Ledwie zacząłem uskarżać się kazał mi opuścić spodnie i pokazać tylną część ciała. Brak z wyczerpania pośladków zadecydował o skierowaniu mnie do szpitala. W ten sposób oderwałem się od tej wyniszczającej mnie pracy.

Będąc w szpitalu /pobyt 4 tygodnie/ spotkałem doktora Jerzego Dobrzańskiego. W szpitalu na 6 nie pracował, był bardzo krótko.

Po szpitalu przeniesiony zostałem na odpoczynek do grupy OP /odpoczywającej/.

Kierownikiem tego "Sanatorium" był lekarz Władysław Sarnota. Jemu zawdzięczam przedłużony swój pobyt na tym odpoczynku /w miejsce 3 tygodni byłem 6 tygodni/. Zarówno tu jak i w szpitaliku, odżywianie było takie same, lecz przy odpoczynku, bez ciężkiej pracy, każdy będący tutaj poprawiał się.

Odpoczywających wysyłano na różne roboty porządkowe wewnątrz obozu. Dla wszystkich najlepiej odpowiadała praca w kuchni, gdzie przy zakończeniu pracy kucharze pracujących ob-

darzali kaszą /gęstszy krupnik/, okraszając olejem więcej niż zwykle, której można było najeść się do syta.

Pewnego razu /a to już dla ciekawostki podaję/ kucharz, dla grupy składającej się z 5 osób, przyniósł prawie pół wiadra kaszy. Gdyśmy po zakończeniu roboty przyszli, kaszy w wiadrze już nie było. Okazało się, że jeden z naszej grupy, młody Niemiec, korzystając z nieobecności pozostałych, prawie całą zawartość w wiadrze zjadł sam. Od kucharza dodatkową porcję kaszy otrzymaliśmy, ale nasz kolega, Niemiec, całą noc "purkał" i podkadzał mnie, bowiem mieliśmy obok siebie miejsca do spania.

Jakiś czas pracowałem w "chleborezce", kierownikiem jej był więzień Gruzin. Tutaj też pokrzepiłem się. Gruzin "po błatu"^{x/} z kuchni lepsze jedzenie otrzymywał, którym ze mną dzielił się.

W tym czasie wyklarowało się urządzenie z pracą. Zostałem przyjęty do elektrocechu, do brygady montażowej. To wielki sukces, gdyż łatwiej jest pracować z wkrętem lub kluczem w ręku aniżeli z łopata.

Kierownikiem elektrocechu był inż. Władimir Nikołajewicz Apraksin, więzień, Rosjanin.

W krótkim okresie czasu w OŁP-ie 6 zaszły duże zmiany. Nastąpiła wymiana ludzi. Wszystkich przestępców pospolitych i kryminalnych zabrano a obóz zapełnił się "wrogami narodu" z paragrafem 58. Byli to Ukraińcy /z byłych terenów Polski a także z właściwej Ukrainy/, Litwini, Łotysze, Estończycy, Polacy, Niemcy, Rosjanie i wiele innych narodowości.

Wszyscy z ulgą odetchnęli od uwolnienia się od kryminalistów i pospolitych przestępców. W barakach zapanował spokój, ustąpiły

x/ "po błatu" - żargon obozowy, w znaczeniu - po kumoterstwie.

kradzieże.

O Niemcach parę słów jeszcze. Do obozu przybyło ich sporo. Niemcy, jako jeńcy byli sądzeni za przestępstwa wojenne, z zasady wyroki otrzymali po 10 lat.

Po pół roku zabrano ich do specjalnych obozów dla Niemców.

W tym czasie z drutu kolczastego wybudowano drugie ogrodzenie. Na noc, między ogrodzenia wpuszczano psy. Straż zewnętrzną i konwojowanie objęło wojsko służb NKGB.

Wypłacanie w dotychczasowej formie pieniędzy za dobrą pracę jako nagrodę, przestano.

W ten sposób powstał RieCzLag - Łagier Nadzwyczajny Specjalnego Reżimu, a był on w Zw. Radzieckim niejeden. Takimi i innymi Łagami napikowany został cały kraj od Morza Czarnego po Murmańsk, Archangielsk, Ural, Sybir i Kamczatkę.

Współcześnie obliczano ilość więźniów w latach 1945-1955 do 15 milionów osób.

Wszystkie zakrojone na wielką skalę inwestycje wykonano rękoma więźniów - jak Biełomor-Kanał, Kanał Wołga-Don, czy też budowę linii kolejowej do Workuty. Linia ta również została zbudowana przy udziale ludzi, którzy nie przyjechali z własnej woli, lecz byli deportowani z terenów zagrożonych przez hitlerowców - Rosjan, Ukraińców i Białorusinów.. Tę linię budowali i polscy oficerowie i szeregowi zabrani do niewoli we wrześniu 1939r.

Budowę prowadzono w warunkach prymitywnych. Sporządzać potrawę należało we własnym zakresie, wydawano suchy prowiant.

Linia kolejowa przebiegała w terenie bagnistym, noc spędzano na ułożonej warstwie chrustu. W tych warunkach, wśród uczestników budowy śmiertelność była duża. Mówiło się, że linia kolejowa powstała na ludzkich trupach, leżących pod wielu podkładami pod szyny ^{x/}.

x/ Zgodnie z opowiadaniem więźnia, naocznego świadka, będącego na tej budowie, a później na OLP-ie 6

Obozy spełniały ważną funkcję ekonomiczną. Darmową siłę roboczą wykorzystywano na różnych wielkich budowach. Przemysł drzewny, rybołówstwo, kopalnictwo obsługiwane były więźniami, którzy zanim zdążyli umrzeć, zostawili po sobie wielki pomnik socjalizmu. Niewolnicza siła robocza przyczyniła się do wykonania olbrzymich planów. Całe gałęzie przemysłu były w rękach NKWD.

Na tabliczkach znamionowych maszyn i urządzeń przysyłanych do kopalń widniały napisy : "zrobiono w ZSRR. Zakład lub Fabryka MWD /Ministerstwo Spraw Wewnętrznych/ i zaszyfrowany kod z nr... wskazywał na przynależność i charakter tego zakładu. Należał on do Archipelagu GULAG, jak trafnie określił tym mianem niezliczony obozy w Zw.Radzieckim Aleksander Sołżenicyn /były więzień obozów, pisarz, zesłany na wygnanie, przebywa w USA/.

Lata od rewolucji 1917 roku do 1939 w Zw. Radzieckim obfitowały w różne wewnętrzne czystki. Teraz nadszła okazja do brania z krajów podbitych ludzi w "jasyr". Ludzi wyzwolonych i uszczęśliwionych przez Armię Czerwoną, którzy o to szczęście i wyzwolenie wcale nie prosili. Było to niewolnictwo XX wieku.

Na początku nastąpiły najzwyczajsze branki, potem łapanki związane z niepowodzeniem na froncie, później ostre tępienie winnych za sprzeniewierzenie się wobec władzy i porządku sowieckiego.

I tak:

1939 - 1940 r.

- Wzięto i wywieziono z terenów b.Polski urzędników i ludzi zamożnych /Żydów kupców/, b.wojskowych /oficerów i podoficerów/, policjantów. Często brano ludzi jedynie za pochodzenie.

1941 r.

- W pierwszych dniach wojny wylapywano siewców paniki i plotkarzy /np.kolchożnik będąc na rynku usłyszał wiadomość, że gen.Timoszenko ^{x/} cofa się. Po powrocie do kolchozu powtórzył tę wiadomość, otrzymał 10 lat. Był on pastuchem w kolchozie na Białorusi /spotkałem go na 19/20/.
- Żołnierze będąc w okrążeniu przebili się do swoich. Część z nich za zdradę ojczyzny dostała z art.58 paragraf 1b - 10 lat.
- Za wychwalanie wojennej niemieckiej techniki i amerykańskiej, że ich np.samoloty są lepsze - 10 lat.

1943 r.

- Tych, którzy nie chcieli stać na przekór śmierci i pod przeważającym ogniem wroga cofali się; dla nich trybunały dywizyjne utworzyły kompanie karne, które stanowią podwalinę stalinskowskiego zwycięstwa. Takie kompanie karne powstały również z kryminalistów wziętych z obozów. Kompanie karne miały iść do przodu i nigdy nie cofać się. Wina musi być okupiona krwią, jeżeli został ranny to w teorii okupił już winę.
- Obywatele sowieccy, którzy współpracowali z Niemcami z art.58 par. 1a - 10 lat lub katorgi - 20 lat.
- Wojskowi, którzy byli jakiś czas w niewoli z art.58 par. 1b - 10 lat.
- Za pobyt w Europie, chociaż przymusowo - 10 lat.

1944 r.

- Krymscy Tatarzy - deportacja z Krymu a za współpracę z oku-

x/ Gen.Timoszenko - w 1941r. głównie dowodzący na froncie Białoruskim

1948 - 49 r.

- Wzmożenie się szpiclowania i prześladowania. Jeżeli kończył wyrok - posadzono go od nowa.

- Czerwoniec ^{X/} zastąpiono ówiartkę. Dycha /10 lat/ to był dziecinny wyrok

1949r.

- Kraje nadbałtyckie, ludność /kułaków ?/ całymi pociągami wywożono na Syberię. Ten sam los spotkał również Polaków z Wileńszczyzny i Ukraińców z byłych terenów Polski.

1950 r.

- Polacy z Polski za udział w rzekomym spisku i organizowaniu powstania przeciwko Władzy Ludowej /byli tacy w obozie kopalni 6/.

- Byli również osądzeni już wcześniej t.zw. "Mołczany" /milczący/ to tacy, którzy na zebraniach nie zabierali głosu, milczeli, bo im rzekomo sowiecki ustrój nie podobał się.

- Wieśniacy z kolchozu zwani "kłosownikami" /od kłosa/. Na polach, po przeprowadzonych żniwach zbierali uronione kłosa. Za rzekomo specjalnie pozostawianie kłosów, by później je zbierać - dostawali po 10 lat.

- Za spóźnianie się do pracy - również 10 lat.

- Przez pewien czas z sąsiedztwa miejsc na pryczach miałem towarzysza Leningradczyka, który od 1937 r. nie mógł opuścić Łagru. Bywał na różnych wielkich budowach, aż trafił do Wor-

x/ Czerwoniec - 10 lat od 10 Rubli = 1 Czerwoniec

kuty na kopalnię 6. Z Leningradu został on wzięty po zabójstwie Kirowa w 1934 r. W czasie wielkiej czystki, którą przeprowadził jego zastępca Jeżow. Wiele mieszkańców miasta zostało wówczas uwięzionych, głównie młodzież z Komsomołu.

- Spotkałem również pewnego Rosjanina , b. majora , ochotnika po stronie czerwonych w wojnie domowej w Hiszpanii w 1936r.

Na początku RieCzłagu czuliśmy się nieskrępowani niczym i dlatego między sobą swobodnie na różne tematy rozmawialiśmy.

Ów major opowiadał jak on trafił do Hiszpanii.

Jego jednostka, w której służył, pewnego dnia została przewieziona do portu morskiego w Odessie i załadowana na okręt. Wypłynęli na pełne morze, nie wiedząc dokąd udają się.

Po wysadzeniu na ląd na brzegach Hiszpanii i wydaniu broni, powiedziano im, że mają walczyć w obronie rewolucji hiszpańskiej. To byli ludzie, którzy przybyli tu na "ochotnika", by zмагаć się w imię ideałów rewolucji.

Niezależnie od Sądów w Związku Radzieckim działały specjalne Kolegia Orzekające OSO /Osoboje Sowieszczanije/. Osoby powstało z "Trojki" /Trójka/ zespołu orzekającego, składającego się z trzech osób: przedstawicieli KC /Komitetu Centralnego/, MWD i prokuratury. Kolegium działało przy NKWD^{x/} i podlegało bezpośrednio Komitetowi Spraw Wewnętrznych a później od 1946r. gdy Komitety przekształcono w Ministerstwa - Ministerstwu Spraw Wewnętrznych /MWD/.

Do 1924 r. prawa Trojki były ograniczone - karę dawano do 3 lat.

Od 1924 r. - uprawnienia rozszerzono do 5 lat.

Od 1937 r. - już miało prawo dawać "czerwieńca" /10 lat/.

Od 1947 r. - mogło dawać karę "ćwiartkę" /25 lat/.

x/ NKWD w 1934 r. przekształciło się z GPU a GPU z Czerezwyczajki.

Oprócz tego OSO miało prawo pozbawienia rang /stopni/, tytułów, orderów, ponadto konfiskaty majątku, pozbawienia prawa korespondencji.

OSO nie dawało wyroków, orzekało tylko karę.

Odwolania od orzeczenia OSO nie było, gdyż podlegało ono jedynie Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Stalinowi.

OSO działało z uprawnień wyływających z zagrożenia społecznego . Orzeczenia dawano zaocznie. W przypadku jeżeli komuś nie można było udowodnić winy, a wypuścić już aresztowanego też nie można, to OSO dawało orzeczenie pozbawiające wolności.

Zespoły orzekające OSO były postrachem i mówiło się, że jeżeli Sąd już nie może to OSO we wszystkich sprawach pomoże.

Nie sposób wymienić wszystkie przypadki, w których człowiek mógł być posadzony. Aresztowano każdego, kto inaczej myślał a nawet mógł myśleć.

Łagier kopalni 6 należał do obozów zagospodarowanych.

W OLP-ie stale przebywało około 6 tys. ludzi.

Po wejściu do obozu, za bramą z drutu kolczastego biegła szeroka droga. W pewnej odległości po prawej/^{jej}stronie , szczytem do drogi, stał barak w którym urzędował naczelnik OLP-u płk Żychlin, jego zastępca - kpt. Burakow i Oper-kpt. Tiuryn /Opierupołnomoczennyj - pełnomocnik NKWD /MWD/na obóz, oficer śledczy niezależny od komendanta/.

Dalej, frontem do drogi stała stołówka z zapleczem kuchennym. Następnie baraki administracyjne i gospodarcze /w tym także fryzjernia i łaźnia/ i "sanczest" /ambulatorium/. Z lewej strony drogi - barak z salą kinową i estradą teatralną, dalej wzdłuż poprzecznych dróg znajdowały się baraki mieszkalne i inne pomieszczenia.

Posiłki, dwa razy na dobę, wydawano w stołówce przyd wyjściem i po powrocie z pracy.

W obszernym wnętrzu stołówki stały trzema rzędami długie stoły z ławami po ich bokach. Przez okienko w ścianie każdy otrzymywał w miskach aluminiowych strawę. Na ścianie wisiało "menu" z jadłospisem wydawanym według kotłów strawy. Łyżkę trzeba było mieć swoją. Widelce i noże, jako narzędzia ostre, były zakazane, ale i po co potrzebne, nie było co krajać.

W czasie jakiejś wizytacji przybyłej z Moskwy stoły nakrywano białymi prześcieradłami, które miały imitować obrusy. Wystarczyło chwili, gdy komisja opuściła stołówkę a białe prześcieradła zniknęły. Po dawnemu jedzono przy stołach z desek, rozmazanych rozlanym z misek krupnikiem.

Przypominam sobie pewne zdarzenie w czasie spożywania obiadu. Po stołówce, między stołami, przechadzał się dyżurny oficer obserwując jedzących przed wyjściem do pracy, obiad. W pewnej chwili zatrzymał się i rzucił pytanie: "kak wkusnyj sup?" /jak smakuje zupa?/ Działo się to po przeciwległej stronie ^{stołu} /ode mnie.

Pewien więzień spożywający posiłek odpowiada: "da niczego sabbie, chatia żytkij, no pitatielnyj" /tak niczego sobie, chociaż rzadka, ale odżywcza/.

Na te usłyszane słowa oficer zrobił się wściekły. "Kto to powiedział" - mówi? Odpowiedzi nie usłyszał, zza stołu zaczęli wstawać i grupa rozproszyła się.

Oficer nie dał za wygrane, poszedł do bramy i w czasie wypuszczania na robotę jednego więźnia zatrzymał i skierował go do "BUR-u" /Barak Usilennogo Reżima - Barak Wzmoczonego Reżymu/ właściwie areszt, do którego zamykano za różne przewinienia.

Nie byłem pewny, czy zatrzymany nie był przez pomyłkę kto inny złapany.

Jeszcze należy wrócić do opisu stołówki. Na ścianie szczytowej /po wejściu na prawo/ bez okien, wisiał olbrzymi

obraz, malowany na płótnie, przedstawiający bohaterów na koniach /"Bogatyri" - Bohaterowie/.

Okres po zwycięskiej wojnie ojczyźnianej w Związku Radzieckim był wyróżniany. Chętno się zwycięstwem w wojnie napoleońskiej i szczycono się bohaterstwem w ostatniej wojnie narodu rosyjskiego.

Jeszcze o jedzeniu.

Dla wyróżnienia święta Rewolucji Październikowej czasami zdarzało się, że dawano po kawałeczku mięsa z wyhodowanych wieprzy na jadle z kuchni.

Z okazji święta Rewolucji czy 1 Maja też, celem zapewnienia w obozie spokoju, zamykano na dwa dni do BUR-u wszystkich "socjalnie niebezpiecznych" z wyrokiem z artykułu 58 par.6 /szpiegostwo/ i par.8 /terror/.

Mieszkaliśmy w barakach o jednym pomieszczeniu na całej jego powierzchni i o niedużych oknach. 2 piętrowe prycze na cztery osoby umiejscowione prostopadle do ścian, z dojściem między nimi, tworzyły po środku przestrzeń wolną z ustawionymi dwoma stołami i przy nich ławkami. W końcach baraku stały dwa piece do ogrzewania pomieszczenia. W baraku mieszkało około 180 osób. Między zamieszkującymi współtowarzyszami panowała zgoda i wzajemne poszanowanie.

Przy wejściu, z końca baraku, znajdowała się "suszytka" do suszenia zmoczonej odzieży i wojskoków oraz do pozostawienia "buszlatów" - kitli /wierzchniego ubrania/.

Zmorą nas wszystkich były pluskwy, jak w poprzednich łagrach tak i tutaj. Systematyczne co miesiąc gnębienie ich przez wyparzanie desek prycz i przeprowadzenie podobnej dezynfekcji wewnątrz, mało pomagało.

Jak wspomniałem już wcześniej w obozie znajdowała się duża sala. Tutaj KWCz /Kulturalno Wychowawczy Dział/ organizował

co pewien czas /b, rzadko/ wyświetlanie filmów. Zwykle były to filmy o kolchozach, życiu partyjnym itp.

Przez pewien czas istniał amatorski zespół teatralny. Role kobiece w nim grali mężczyźni. Niedługo on jednak istniał. Za cały okres swego bytu wystawił chyba dwa spektakle / w pierwszych latach/.

W obozach Workuty również istniał zespół teatralny objazdowy w składzie mieszanym, mężczyźni i kobiety. Jednak swe występy u nas miał dużo wcześniej, zaraz po przybyciu na Workutę /1945 r./ w obozie 19/20. W latach późniejszych nic o nim nie było słyhać.

Sala KWCz jednocześnie służyła za pomieszczenie, w którym periodycznie /w pierwszych latach pobytu na 6/ odbywały się szkolenia ideologiczne. Wykłady obejmowały tematy: rozwój rewolucji chińskiej i socjalizmu w Chinach, socjalizm po II wojnie światowej, rozszerzenie się socjalizmu w świecie itp. Co charakterystyczne było w tym, że do więźniów nigdy nie mówiło się o marksizmie i leninizmie.

Za cały okres dotychczasowego przebywania w Workucie obóz kopalni 6 chyba należał do najbardziej zadbanych pod względem higieny, miał łaźnię i fryzjernię. Do łaźni chodziło się co dwa tygodnie. Każdy miał dwie pary bielizny, jedną na sobie, drugą w pralni przy łaźni, którą na zmianę otrzymywał po odwiedzeniu jej.

Fryzjernia dla wszystkich więźniów była dostępna; każdy mógł ogolić się jeden raz w tygodniu i ostrzyc na krótko.

"Rozwód" /rozprowadzenie = wyprowadzenie/ do kopalni na robotę odbywało się według ustalonego już porządku.

Na usłyszane swoje nazwisko litanię: imię, imię ojcowskie, artykuł, wyrok i koniec wyroku, należało odśpiewać z pamięci,

a potem znane już zarządzenia konwoju. W tej dyscyplinie nic nie zmieniło się, jedno tylko, że psów za posuwającą się kolumną szło więcej i co pewien czas słyszano, z byle przyczyny, słowa pokrzykiwania :faszyści, innymi słowami do nas konwój nie odzywał się.

Kopalnia 6 była w eksploatacji już od kilku lat.

Naczelnikiem kopalni był mjr Borbunkow, głównym inżynierem - Zajcew.

Węgiel w całym zagłębiu workuckim należał do złoża młodego. Wydobyte bryły węgla po paru dniach przebywania na powietrzu stawały się kruche i bez trudu dawały się rozбивać. Wysoka jego kaloryczność i bogactwo smoły kwalifikowała go do przeróbki chemicznej. Głównym odbiorcą workuckiego węgla był Leningrad.

Na terenie kopalni stały murowane budynki: administracyjny, kombinatem zwany, także murowany budynek warsztatów mechanicznych, elektrocechu i kuźni, maszynowni i kotłowni.

Tutaj była także łaźnia. Po pracy każdy umywał się pod prysznicem i przebierał się w czyste ubranie.

Na północy kopalnie są ocieplane, by nie spowodować zamrożenia wody. W tym celu wentylator o dużej wydajności, zainstalowany u wylotu szybu wentylacyjnego, wyciągał powietrze z kopalni. Przez odpowiedni system zamykanych drzwi w korytarzach wentylacyjnych skierowano strumień powietrza w jedną stronę, by zasysać gorące powietrze przez główny szyb /wydobyczy/ odpowiednio uszczelniony u swego wylotu.

W ten sposób w kopalni było ciepło /temp.powyżej 0° C.

Pracując na powierzchni człowiek znajdował się stale pod działaniem nieraz silnych wiatrów i mrozu.

W zimie 1950r. ponownie do szpitalika obozowego trafiłem. W wyniku zakłucia dłoni lewej ręki w czasie pracy w kopalni

uformował się wrzód pod dużym palcem. W dodatku , jako rezultat poprzedniej pracy w kopalni 11 na kolanach i w wodzie, wystąpiły reumatyczne schorzenia kolan, nie mogłem zginać nóg i chodzić. Ordynatorem szpitalika był lekarz Edward Kieda, znajomy już z badania komisyjnego na wstępie po przybyciu do RieCzłagu kopalni 6.

Kieda poddał mnie operacji oczyszczenia ręki od wrzodu. Kolana wyleczyłem sam, ogrzewając je przed żarem rozpalonego pieca. Czyniłem to systematycznie. Po pewnym czasie bóle reumatyczne w kolanach ustąpiły.

Będąc w szpitalu miałem dużo czasu na rozmyślanie. Wyliczyłem jaką część wyroku mam już poza sobą i ile do końca mi pozostało. Przekroczyłem już połowę i dopiero zacząłem jechać z górki. Chociaż z górki, lecz jaka to była ciężka i jeszcze długa droga.

Wiadomości od rodziny nie miałem. Teraz, będąc w RieCzłagu nie mogłem wysłać listu ani otrzymać. Ci, których rodziny były wewnątrz Związku Radzieckiego mieli prawo do wysłania dwóch listów rocznie, to samo otrzymywać. Listy poddawano kontroli, często miały zamazane całe wiersze. Krewni pisali o panujących głodach i śmierciach spowodowanych nimi /to, różnymi sposobami wyczytywało się z zamazanych wierszy/.

W kopalni zdarzały się z ludźmi wypadki, czy to górnicy czy pracujący przy maszynach .^{x/}

x/ Pewien ślusarz, podczas oczyszczania głowicy taśmociągu z powstałego lodu, został wciągnięty między brezentową taśmę a wałek napędowy, gdyż ktoś przypadkowo włączył zdalnie sterowanym przyciskiem silnik elektryczny. Po wydobyciu człowieka, głowa jego wyglądała jak głowa flądry /ryby/. Podobnych wypadków naliczyć można by więcej.

RieCzłag też przewidywał zagładę nas, wcześniejszą czy późniejszą, w zależności od indywidualnej kondycji fizycznej więźnia /tego można było dopatrzeć się ze sposobu traktowania więźniów/. Bo przecież władzy chodziło przede wszystkim tylko o pracę, by z więźniów wydobyć jak najwięcej. Gdy praca, przy niedostatecznym odżywianiu wyniszczała człowieka, kierowano go do szpitala, aby po odzyskaniu sił ponownie poddawać go wyciskaniu pracą, jak cytrynę z soku.

Zabić człowieka, a tu chodziło nie o jednego, dziesięciu czy też stu, lecz o dziesiątki tysięcy, miliony. Nie dałoby to żadnej korzyści; tu w łagrach będą ludzie żyli, nędzną kaszę jęczmienną czy jaglaną jedli, będą pracowali i będą socjalistyczną gospodarke ku budowie komunizmu budowali. Na tym droga do komunizmu jest oparta; wszystkich przeciwników ustroju wyniszczyć, nawet tych, na których pada tylko cień podejrzenia.

Posłużę się tu pewnym ilustrującym tę prawdę przykładem.

Pracował przy dostarczaniu bierwion do kopalni /"lesogon"/ pewien /nazwiska już nie pamiętam/ węgierski ksiądz katolicki. Robota ta bardzo go wyniszczała. Kilkakrotnie bywał w szpitalu, poprawiał się i ponownie wracał do poprzedniej pracy. Aż za którymś razem już go przy pracy widać nie było. Nie wiadomo, co z nim się stało? A może do tundry wywędrował, by tam w wiecznej zmarzlinie odpoczywać. Z księdzem węgierskim spotkałem się przy pracy dostarczania bierwion do kopalni. Mnie się stamtąd udało urwać - księdzu nie.

Obdarzał on mnie przyjacielskim uczuciem. W rozmowach chętnie nawiązywał do historycznej przeszłości naszych narodów, podkreślając, że wśród Węgrów panuje ogólne poczucie sympatii do Polaków.

Powiedzenie: "Polak, Węgier dwa Bratanki", na Węgrzech jest dobrze znane i daje ono odczucie wzajemnej sympatii.

Po wyjściu ze szpitala zacząłem pracować jako dyżurny elektryk w drugiej zmianie, odpowiedzialny za bezawaryjną i bezprzestoju pracę urządzeń. Za swą pracę otrzymywałem jedzenie według "kotła 5". Kocioł wyższy - 6 otrzymywali tylko górnicy, którzy wykonali plan wydobycia węgla na 120 procent i wyżej.

W odróżnieniu od poprzednich Łagrów 19/20, 17, i 11 poza 9/10 dość liczni w obozie 6 byli Polacy. Przeważnie pochodzili z Wilna i Wileńszczyzny, wschodnich rubieży Polski i ze Lwowa. Było nas przeciętnie około 35 osób.

W Łagrze jeszcze znajdowali się dwaj Polacy - ks. Bronisław Dżepecki i ks. Lisiecki.

Po wyzwoleniu terenów wschodnich spod okupacji hitlerowskiej w towarzystwie jeszcze ks. Józefa Kuczyńskiego /znanego już z kopalni 11/ i po uzyskaniu przedtem zgody władzy sowieckiej, wybrali się na tereny wyzwolone /na wschód od Lwowa/ celem otwierania kościołów i prowadzenia tam pracy duszpasterskiej.

Po pewnym czasie swój pracy zostali aresztowani i pod zarzutem prowadzenia propagandy antyradzieckiej zasądzeni po 10 lat.

Wart jest wspomnienia pewien Rosjanin, inżynier mechanik Juri Kirpicznikow, pochodził z Moskwy. Sympatyczny, miły człowiek, wśród Polaków czuł się dobrze i przyjaźnił się z nimi.

Przed wojną był na praktyce w Niemczech, później, gdy zanośliło się na nią, został on aresztowany jako człowiek niepewny, gdyż był zagranicą. Siedział na podstawie orzeczenia OSO /"Trojka"/. Korespondencję z żoną władza utrudniała mu. Listy pisał do siostry, tak jak gdyby do żony i w ten sposób łączność utrzymywał. Żonie, pod rygorem utraty pracy, kazali wró-

cić do nazwiska panińskiego.

Władze Łagru stale prześladowały więźniów, podejrzewając o jakieś zamiary.

By zapobiec ewentualnym spiskom często w barakach przeprowadzano "szmony" /rewizje/ przewracając wszystko. Zabronione było posiadanie walizek na rzeczy osobiste.

Podobne rewizje przeprowadzano również na terenie kopalni w pomieszczeniach, w których przebywali więźniowie. Szukano w szafkach do roboczego ubrania a nawet zdarzało się, że zrywano podłogę, szukając nie wiadomo czego. Dopatrywano się we wszystkim spisku, wypływającego z ducha ustroju socjalistycznej władzy, bojącej się wszystkiego, gdyż: wróg czuwa.

Co pewien czas niektórych więźniów zabierano z obozu przerzucając do innego, by udaremnić ewentualne domniemywane przewodniczenie w jakiejś grupie.

Już wcześniej więźniom wprowadzono numery osobiste. Każdy musiał nosić numer, wypisany czarnym na białej niepełnej opasce, na prawym udzie tuż nad kolanem i na przedramieniu lewej ręki wszytej.

Miałem numer 1J - 228 czyli byłem kolejnym 8.228 więźniem RieCzŁagu. Były już też numery z alfabetu z serią 2J, co odpowiadało kolejnemu numerowi 46 tys. i dalej.

Gdzieś w 1952 r. władze MWD /Oficer Śledczy Łagru/ zorganizowały szpiclowanie i donosicielstwo w obozie na niebywałą skalę. Do szpiclowania zaangażowano wielu więźniów nie mogących oprzeć się zastraszeniom oficera śledczego.

W celu zakonspirowania składania donosów, skrzynkę na listy /pocztowe/ umieszczono w oknie u oficera śledczego.

Przedtem istniejące na terenie obozu skrzynki zlikwidowano a w ich miejsce umieszczono strzałki wskazujące drogę do miejsca, gdzie należy listy wrzucać.

W ten sposób pod pretekstem wrzucenia listu donosiciela, w obozie zwany "stukaczem" nie zwracając na siebie uwagi postronnych mógł udać się do śledczego.

Barak stał szczytem do głównej drogi a okienko znajdowało się we wnęce ganku, w prawej bocznej ścianie baraku, z której było wejście do oficera.

Niewidoczność opisanej części baraku od strony obozu czyniło skryte wejście do "Opera" /Pełnomocnika Śledczego/.

"Stukaczy" w obozie dużo namnożyło się. Nie wiadomo było kogo należy się wystrzegać. Donosiciele przeszkoleni przez oficera śledczego potrafili prowokować rozmowę na temat jakiegoś niezadowolenia przeciwko władzy lub ustrojowi sami w tej rozmowie czynny udział brali. Z tymi zasłyszczanymi pogaduszkami szli do śledczego i już była podstawa, żeby z tym co "nagadał" coś zrobić. Toteż dawało się zauważyć, że niektórzy niewstrzeżliwi w rozmowach raptownie znikali z obozu.

Tak między innymi było z pewnym Polakiem z Łotwy. Po wyzwoleniu Łotwy spod okupacji hitlerowskiej został on powołany do polskiej armii Berlinga, później służył w oddziałach Służby Bezpieczeństwa w Polsce. Przy wyborach w styczniu 1947 r. brał udział przy zabezpieczaniu wyborczych urn z głosami. Opowiadał, że urny z punktów wyborczych zabierano na samochód i przewożono do Komisji Wyborczych, gdzie inne urny z odpowiednio sfałszowanymi głosami wystawiano. Wynik wyborów był z góry przesądzony.

W takiej sytuacji Stanisław Mikołajczyk /wicepremier/ Rządu Jedności Narodowej i prezes PSL musiał zbiec zagranicę.

W tej atmosferze utworzyła się pewna grupa więźniów, która przeciwstawiała się temu szpiclowaniu./Powszechnie wiadomym było, że była to grupa Ukraińców/. Zdarzały się przypadki

z bicia domniemanego donosiciela, albo została wywieszona kartka na drzwiach stołówki ostrzegająca "stukacza" /z podaniem nazwiska/, iż grozi mu wymiar sprawiedliwości za donosicielstwo z podpisem "Topór". Odnosiło się to do donosicieli, którzy zatrudnienie mieli w obozie i do kopalni nie wychodzili, gdyż tam z nimi rozprawiliby się inaczej. Po takim ogłoszeniu tegoż dnia z obozu "szpicla" zabierano.

Był też przypadek z pewnym Łotyszem, lekarzem Wilde /więźniem/, ordynatorem obozowego szpitalika. Mieszkał on w wydzielonej kabinie w tym samym baraku, w którym znajdował się szpitalik. Pewnej nocy zamaskowani osobnicy wtargnęli do kabiny, w której spał Wilde i toporem chcieli go zarębać. Deski górnej pryczy, o które zawadził topór przeszkodziły, a Wilde, w tym zamachu na jego życie tylko ranę odniósł.

"Wochra" w obozie "zaszumiała". Sprowadzono psa śledczego w celu szukania sprawców niedosłego zabójstwa.

Nasz barak stał w jednym rzędzie z barakiem szpitala, w którym to zajście miało miejsce, zatem podejrzewano, iż sprawcy pochodzili od nas.

Rozbudzono nas śpiących. Kazano ubrać się i narzucić na ramiona "buszłaty"/kitle/ a potem ustawić się szeregiem wzdłuż prycz. Wpuszczono psa owczarka.

Przemaszerował on wzdłuż jednego szeregu i po drugiej stronie zawrócił z powrotem wzdłuż drugiego szeregu, jednak nie dochodząc do końca, z pewnego więźnia ściągnął na podłogę "buszłat".

Psa zabrano i wyprowadzono. Nam kazano pomieszać się między sobą i stanąć w szeregach ponownie. Psa powtórnie wpuszczono. Zachowanie się jego było podobne poprzedniemu z tą różnicą, że po zrzuceniu jak przedtem "buszlatu", lecz z innego człowieka, dodatkowo podniósł nogę i obsikał leżące na podłodze

ubranie.

Po tej procedurze ogólny śmiech, tę scenę z psem i z jego zdolnościami węchowo-śledczymi zakończył. Sprawców nieudanego zamachu pomimo poszukiwania nie wykryto.

Był w obozie pewien Ukrainiec czy Polak z Kijowa. Twierdził iż czuje się Polakiem. Matka jego była Polką i w dzieciństwie nauczyła go pacierza, jedynie słowa tego pacierza wymawiał po polsku.

Z powodu istniejącej rzeczywistości wszystko w nim kipiało. Któregoś dnia w węglu ładowanym do wagonów, przeznaczonych do transportu z kopalni, ukrył się. Przy wyjeżdżaniu pociągu z terenu kopalni wagony podlegały rewizji. Żołnierze, z zaostrzonymi stalowymi prętami w rękach, przekłuwali węgiel, aż do podłogi wagonu, szukając czy nie ma w nim kogoś ukrytego. Udało się, rewizja nie wykryła, wyjechał za bramę.

Gdy znalazł się daleko od Workuty, wylazł z ukrycia i udawał kolejarza z młotkiem na długim trzonku obstukując bandarze kół podwozia pociągu.

Aż go gdzieś zatrzymali. Z powrotem do obozu wrócił.

W sali kinowej KWCz odbył się sąd pokazowy, na przypatrywanie się któremu władze obozowe zgromadziły więźniów.

W wyniku rozprawy od nowa otrzymał 10 lat. Z obozu go zabrano.

A oto jeszcze jeden przypadek próby ucieczki. Odmiennym sposobem dwóch Łotyszy i jeden Estończyk uplanowali opuścić Łagier.

Najpierw skryli się na terenie kopalni i przez tydzień nie wychodzili z ukrycia. Gdy minęła pierwsza gorączka poszukiwania uważali, że po tym czasie będzie łatwiej ujść. Mieli oni upatrzony sposób skrycia się pod wagonami produkcji węgierskiej.

Wagony te /cztero-osiove/ mają między osiami konstrukcję w kształcie gondoli, w której mogły być ułożone deski. Ułożeni na przedtem już przyszykowanych deskach, mieli opuścić kopalnię. I rzeczywiście, gdy schowali się na strychu niepokażnej szopy, składzika na rupiecie, wrzawa powstała wśród "Wochry". Przez kilka dni szukali uciekinierów i znaleźć ich nie potrafili.

Gdy cisza już zapanowała, uciekinierzy z ukrycia wyszli razem z deskami odpowiednio zbitymi, kierując się do wagonów. To było w nocy. Czuwający w przebraniu strażnik ich zauważył. Obmyślany plan ucieczki nie powiódł się. Sądzone i tak samo wszyscy po 10 lat od nowa otrzymali. Z obozu zabrano ich także.

Celem odstraszenia od pomysłów ucieczki w zimie 1951/52 r. przywieziono pięciu postrzelanych gdzieś więźniów. Na drodze łączącej obóz z kopalnią, w miejscu w którym ustawiano nas przed bramą w kolumnie przed odmarszem do pracy, ułożono postrzelanych. Napis na deskach leżących na ich piersiach głosił, iż zastrzelono przy próbie ucieczki.

Trupy obok drogi przez 3 dni leżały, później do innych kolejno obozów powieźli, by tam tę scenę powtórzyć.

Niedługo potem przypadek zastrzelenia więźnia zaistniał też w obozie 6.

Pewnemu biedakowi do głowy przyszło przemknąć pod bramą /obok pomieszczenia wartowniczego/ na zewnątrz obozu. Żołnierz z wieży strażniczej zastrzelił go. Tak jak uprzednio tych pięciu przed bramą parę dni leżał.

W 1951 r. RieCzŁag 6 nowymi przybyszami dopełnił się. Byli to Rosjanie i Ukraińcy, żołnierze /RONA, UONA/ w służbie hitlerowców. Otrzymali oni wyroki śmierci z zamianą na 25 lat.

Gdy się patrzyło na tabliczkę z wypisanymi personaliami umieszczoną na pryczy przy miejscu ich spania, ogarniało przerażenie czytając - koniec wyroku 1973 r. a był tylko 1951r.

Wśród nich znajdował się pewien Ukrainiec podający się za Polaka, potomka osadników polskich z czasów carycy Katarzyny II Wielkiej ^{x/}.

Między innymi opowiadał o głodówkach na Ukrainie w latach 1931-33 spowodowaną przymusową kolektywizacją. Nie przystępującym do kołchozów odbierano żywność, nawet niedopieczony chleb z pieca wyciągano. Na wielką skalę powstała głodówka. Dochodziło do ludożerstwa.

Siostra jego, nie mając co włożyć na obiad do garnka, w przystępie obłędu zamordowała córeczkę Kasię. Gdy mąż z pracy wrócił, śmiejąc się wskazała na piec mówiąc - tam w saganie na obiad jest Kasia. Mąż tym faktem przerażony dopuścił się zabójstwa żony.

A nie kto inny jak sam Nikita Chruszczow /późniejszy I sekretarz KPZR/ kierował w tym czasie akcją kolektywizacji na Ukrainie.

Różne źródła podają liczbę ofiar sztucznego głodu wywołanego na Ukrainie na 7-11 mil. ofiar. Sam Stalin w rozmowie z W.Churchillem mówił o 10 mil., pokazując na rękach 10 palców. /Z pamiętników Winstona Churchilla/.

W akompaniamencie do opisanych wyżej wydarzeń z życia obozowego, przygrywał bez przerwy obozowy "kołchoźnik" ^{xx/} brzęcząc

x/ Katarzyna II Wielka /1724-96/ - w celu umocnienia ziem południowych Rosji tworzyła osadnictwo na tych terenach, przesiedlając ludzi z rubieży Rzeczypospolitej na wschód tworząc osadnictwo.

xx/ Kołchoźnik - głośnik radio-węzła umieszczony w baraku mieszkalnym więźniów.

prawie przez całą dobę, jeżeli nie piosenkami to różnymi wypowiedziami, chwaląc i pod niebiosa wynosząc różne zasługi Stalina, ojca narodów Związku Radzieckiego.

Słyszało się, że Stalin był nieomylnym mędrcom, przeprowadził kolektywizację, uprzemysłowił kraj, był największym strategiem wszystkich czasów, on to poprowadził radziecki naród ku wielkiemu zwycięstwu nad wrogiem i ku wielkiej chwale rosyjskiego narodu - ze Stalina czyniono bóstwo.

Mówiono, że Stalin to najjaśniejsza gwiazda na Kremlu. Stalin znał się na wszystkim - na literaturze, historii, językoznawstwie i kto wie na czym jeszcze innym.

W konkursie na hymn państwa radzieckiego Stalin uznał za najlepszy tekst hymnu ten, gdzie go wychwalano: "Do wielkich zapalił nas trudów i dzieł" x/.

Utkwił mi w pamięci przyśpiewek jednej nieustannie nadawanej piosenki kołchoźniczej o brzmieniu:

"Drogi Towarzyszu Stalinie

Przyjeżdżaj Ty do nas do kołchozu

My wówczas Tobie pokażemy

Jak szczęśliwie my żyjemy"...

Pewien Ukraińiec opowiada, że w szkole u nich w kołchozie nauczycielka zwróciła się do dzieci, by one modląc się do Boga poprosiły o cukierki, gdy takowych nie otrzymały wówczas powiada : a poproście Stalina. W tej chwili zza wiszącego na ścianie portretu obficie upragnione cukierki posypały się. I takie sposoby wykazywania dobroci Stalina swoje miejsce miały.

x/Po śmierci Stalina tekst hymnu zmieniono - wychwalając rolę narodu i partii.

Przytoczę przykład wynoszenia zasług Stalina. Pamiętam plakat ze Stalinem trzymającym się ręką za czoło. W dolnej części plakatu widniał napis: "Gołowa krużenije ot uśpiechow" /zawrót głowy od sukcesów/.

Wymowa tego plakatu doskonale obrazuje bałwochwalcze wychwalanie zasług jego i samego Stalina.

Latem 1951r. pewnego dnia, czekając na "rozwód" z kopalni do obozu, staliśmy grupą w kilka osób rozmawiając ze sobą. W pewnej chwili Miecz.Szczerski zwrócił uwagę na moje uzębienie mówiąc, że u mnie wystąpił skorbut. Miałem dziąsła podniesione i zęby ruszały się. Sam tego nie zauważyłem, teraz obawiałem się utraty zębów.

Szczerski poradził jesć rzodkiewkę, a więcej nawet jej liście. Tutaj rzodkiewka rosła, przed barakiem była posiana. Ponieważ słońce świeciło długo i w nocy też, to rosła w górę, dając dużo liści a sama rzodkiewka pozostawała małą.

Przejęty strachem przed utratą zębów każdego dnia rwałem i jadłem liście rzodkiewki, jak królik kapustę.

Ks.Bronisław Dżepecki też mi pomógł w witaminizowaniu się. Pracował on w oranżerii na terenie kopalni. Rósł tam owocujący pieprz angielski. Ksiądz jeden taki owoc dał mi. W ten sposób, chociaż w namiastce, swój organizm zasililem w witaminy.

Brak witamin w odżywianiu wyniszczał organizm. Nieczęsto i w małych ilościach symbolicznych przy obiedzie dawano po 1 tabl. Vit.C, nie zaspokajało to potrzeb organizmu.

Niedługo potem opanowały mnie wrzody. Najbardziej dokuczliwy usadowił się na szyi, na karku. I znowu musiałem iść do szpitala.

Lekarz Edward Kieda przyszedł mi z pomocą, operacyjnie usunął czyraka /carbonka/.

W krótkim czasie później Edwarda Kiedę zabrali z obozu 6 do San.Miasteczka dla gruźlicznie chorych, jako lekarza.

W tym czasie przeszedłem na inną pracę, przestałem pełnić dyżury nocne.

Najpierw miałem powierzoną kontrolę stanu uzemień urządzeń elektrycznych z pomiarem omowym ich oporności, co miało duże znaczenie przed porażeniem prądem elektrycznym.

Później pełniłem kontrolną służbę nadzoru nad szczelnością aparatury elektrycznej pod względem bezpieczeństwa przed wybuchem gazu /metanu/ w kopalni oraz przeprowadzałem kontrolę aparatury na zwarcia elektryczne.

W 1952 r. po zakończeniu wyroku 8 lat, został zwolniony Tadeusz Lisowski, co działo się z nim poza drutami na razie nie wiedziałem.

W tymże czasie przypadkowo spotkałem się z byłym współpracownikiem z elektrowni w Wilnie inż.Ludwikiem Ejdrygiewiczem. Siedział on, jak już pisałem, za pochodzenie, na podstawie orzeczenia OSO z terminem 5 lat. Teraz będąc już "na wolności" /na osiedleniu/ pracował w zakładach remontowych REMZ -II /Elektro-Mechanicznych/ i przyszedł do kopalni 6 w sprawie złożonej reklamacji przeprowadzonego remontu maszyny. Rozmawialiśmy niewiele dłużej minuty, obawiał się by nie został podejrzany o kontakt z więźniami.

Władysław Garniewicz, znany jeszcze z OLP-u 19/20 tak samo jak i tam wcześniej, pracował w księgowości obozowej. Z Polakami spotykał się mało i w większości z Rosjanami obcował.

Wieczorami w swoim gronie zbierali się urządzając przy stoliku seanse spirytystyczne. W czasie trwania seansu wzywali duchów nieżyjących już osobistości i zadawali im pytania, na które chcieli otrzymać odpowiedź. Garniewicz zapytał - kiedy "skończy się" /z ros.skanczat`sia - skonać, umrzeć/

Stalin?

Wydawało się, że była to nieszkodliwa, wykła zabawa. A jednak dla Garniewicza skończyła się tragicznie. Ktoś z biorących udział w tej zabawie /a był nim nieomylnie Rosjanin/ "stuknął" czyli dokonał donosu tam, gdzie trzeba.

Garniewicz został zabrany do więzienia, gdzie poddano go śledztwu, w wyniku którego poszło w niepamięć odsiedziane prawie 8 lat /tuż przed zwolnieniem za 4 mies./ i od nowa, za nieprzemysłane żarty ze Stalinem otrzymał "dychę".

Taki to był czas za czas mego przebywania w Łagrach, już drugi przypadek zniewagi przez więźnia Stalina.

Lata 1950/52 to okres nasilenia się rygoru. Szczegółowe rewizje przy bramach i w czasie przemarszów wyzywanie więźniów słowami od faszyci, gady i swołoczy /ros. gady-żmije, w znaczeniu nikczemny, podły; swołocz - draństwo/ stawało się częstsze i nieodzowne w codziennej praktyce konwoju.

W tym czasie przez obóz RieCzŁagu /Reżimnyj Nadzwyczajny Łagier/ przeszła nagonka na Polaków. Służba Bezpieczeństwa MGB dopatrywała się jakiegoś knowania przeciwko władzy radzieckiej. Rzekomo grupa Polaków przebywająca na "wolności" utrzymywała kontakty z więźniami. Oczekiwano Amerykanów i knuto sposoby ich spotkania od morza Północnego.

Niektórych zabierano do centralnego aresztu, prowadzono dochodzenia. Tak było z przebywającym na osiedleniu Piotrem Pietkiewiczem./Jego "Wspomnienia z Workuty" i opowiadań własnych przy spotkaniach będąc na zsyłce/.

5 marca 1953r. zmarł J.W.Stalin.

Każdy z nas przebywający w obozie odczuł ulgę i odrobinę nadziei, którą na zewnątrz nie mógł okazać. Wśród Rosjan byli i tacy, którzy z powodu śmierci Stalina płakali, cho-

ciaż przez stosowany jego reżim dobrze w skórę dostali.

Tutaj mentalność człowieka sowieckiego pozwoliła o sobie poznać - kazali kochać Stalina, to go ślepo i bezrozumnie kochali, a później śmierć jego oplakiwali.

Gdy nie stało Stalina, władzę po nim początkowo objął Malenkov.

W obozach, nie RieCzŁagach, po niedługim czasie nastąpiły pewne ulgi.

Przestępcom kryminalnym i pospolitym wprowadzono amnestię. Skrócono wyroki o 5 lat, w wyniku czego większość z nich wyszła na wolność. Pozostałym w obozach zaczęto płacić /przedtem pieniądze wypłacali w formie znikomej nagrody/ za wykonywaną pracę, w przypadkach wykonywania normy ponad 100% dwa dni za 1 dzień pracy zaliczano.

Tymczasem w RieCzŁagach nic się nie zmieniło. Wśród więźniów zaczęły się szemrania. Nieśmiałe szeptury pochodziły od górników o możliwości wybuchu strajku.

Za życia Stalina coś podobnego nie przyszłoby nawet na myśl, a teraz stawało się możliwe.

Dnia 26 sierpnia 1953r. wybuchł strajk na kopalni 29, odległej od kopalni 6 o 3 km.

Od ludzi wolnych przybyłych do pracy dowiedzieliśmy się o tym.

Również potwierdziła to nieczynna kolejka wywożąca kamień z urobku na wysoki ~~zwał~~ /chołm/, widoczny z kopalni 6. Kopalnia stała /nie pracowała/.

O dwa dni później 28 sierpnia zastrajkowała kopalnia 6.

Powszechnie wiadomym było, iż kierowali tym Ukraińcy z byłych terenów Polski.

Pierwsza zmiana przerwała pracę na dole, zatrzymał się wyciąg szybu wydobywczego - kopalnia zamarła, nikt nie pra-

cował.

Druga zmiana przyszła z obozu, zjechali w dół, lecz nikt nie podjął pracy, zresztą i nie mógł naruszać wymogów solidarności.

Recydywiści zwolnieni na podstawie amnestii daleko nie odjechali, oni w drodze już zdążyli popełnić nowe przestępstwa. Wielu z nich ponownie wróciło za druty kolczaste.

Kabel wysokiego napięcia, zasilający główną stację transformatorową w kopalni, toporem został przecięty, tym sposobem kopalnię pozbawiono energii elektrycznej.

Pierwsza zmiana przy akompaniamencie różnych wywisk i wymyślań przez konwój powróciła do obozu. W obozie ogłoszono stan wyjątkowy, nie pozwolono opuszczać baraków.

Następnego dnia przybyła specjalna komisja w celu zbadania przyczyny strajku /przerwania pracy/. Komisja nasze wypowiedzi wysłuchiwała lecz nie zbiorowych, tylko pojedynczo mógł zgłaszać się każdy i swoje żale wypowiedzieć.

Również dotarła do nas wiadomość o tragicznie zakończonym strajku w kopalni 29.

W wyniku powyższych wydarzeń i powstałej sytuacji na trzeci dzień strajk przerwano i kopalnia 6 ruszyła.

A co się działo w czasie strajku na kopalni 29 ?

Po wybuchu tam strajku przybyli na miejsce Komendant GULAG-u Workuty gen.Maślennikow, z Moskwy gen.Gołowienko i generalny prokurator ZSRR Rudienko ^{x/}.

Również przybyło wojsko, które karabinami maszynowymi obstawiło cały obóz. Dwa karabiny ustawiono z obu stron bramy. W nieznaczonej odległości stały zaparkowane karetki

x/ R.A.Rudienko - wcześniej przedstawiciel ZSRR w procesie Norymberskim.

pogotowia.

Prokurator Ruńienko wszedł w bramę i wezwał jednego z przywódców strajku na rozmowę do siebie. Podszedł Polak Witold Ignatowicz. Rozmowy nikt nie słyszał. Gdy Ignatowicz obrócił się, by iść z powrotem, z ręki prok. Rudienki padł strzał w plecy. Ignatowicz upadł.

W tej chwili z głośników zainstalowanych na samochodach rozległ się głos wzywający tych co chcą pracować, by wychodzili przez bramę - droga jest wolna do przejścia, konwój stoi daleko wzdłuż drogi.

Wśród tłumu zebranych przed bramą więźniów powstało szamotanie się. Część chciała wychodzić, inna grupa, trzymając się za ręce, zamykała drogę. W tej chwili odezwały się karabiny maszynowe i ogniem krzyżowym ostrzelały ich.

W wyniku tej masakry naliczono około 120 zabitych i wielu rannych. Zabici byli nawet znajdujący się w barakach z dala od zebranych przy bramie.

Zaraz aresztowano domniemanych przywódców, wywieziono ich na Rudnik /kopalnia nr 8, obóz jednej z pierwszych kopalń na Workucie/ do znajdującego się tam aresztu centralnego. Tam ich poddano przesłuchaniom, część z nich sądzono.

Tu również doszło do tragedii.

Z grupy przywozionych na śledztwo rozstrzelano 4 Polaków. Oficjalnie podano za próbę ucieczki. Powód był inny, przy dokonaniu grabieży, gdyż zbrodnię przy takim tłumaczeniu można dokonać bezkarnie.

Rozstrzelani zostali:

Franciszek Borowski, Józef Jezierski, Jaremi Odyński i Jan Preuzner.

W roku 1955 przy rozstrzelanych pochowano zmarłego

plk. Władysława Łukawskiego /wg Piotra Pietkiewicza ze "Wspomnień o Workucie"/.

Celem uczczenia pamięci rozstrzelanych, grono przyjacieli uporządkowało groby. Na mogiłach ustawiono niewysokie krzyże z tabliczkami, na których umieszczono znak krzyża, godło białego orzełka i w języku polskim wypisano imię i nazwisko zmarłego, rok i miejsce urodzenia i tragicznie zginął 26 sierpnia 1953r. Cześć Jego Pamięci. Całość ogrodzono płotkiem.

W ten sposób w tundrze powstał i pozostał polski cmentarzyk lecz bez opieki.

Później od Edmunda Greczanika, który w tym czasie znajdował się w RieCzŁagu drobnych kopalń 12, 13, i 14 zwanych Jaczezińskie. Obóz ten mieścił się blisko obozu kopalni 29. Wiadomość o strajku i jego przebiegu doszła do nich natychmiast.

Edmund Greczanik był również aresztowany i przewieziony do aresztu centralnego na Rudniku. Udało mu się wymigać przed zarzutem należenia do grupy organizatorów strajku.

Edward Baca, uczestnik i organizator strajku na kopalni 29 w 1956r. w Radio Wolna Europa o tych wydarzeniach opowiadał.

I tutaj, na dalekiej północy, w nierównym starciu, Polacy szli w czołówce w walce o sprawiedliwe i równe prawa należne dla wszystkich tu przebywających więźniów.

W niedługim po tych wydarzeniach czasie w obozie nastąpiły istotne zmiany na lepsze, o które więźniowie domagali się.

Za wykonywaną pracę zaczęto wypłacać pieniądze.

W nowo otwartym "Łariok' u" /ros. łariok-sklepik/ uruchomiono sprzedaż chleba. Na wiadomość o tym długa kolejka ustawiła się, co dowodziło czego ludziom brakowało - chleba!

Także otwarto sklepik z różnymi artykułami, jak luksusowe papierosy i czekoladowe cukierki, które musiały zalegać półki sklepów na wolności. Brakowało artykułów spożywczych

najbardziej potrzebnych - masła, kielbas itp.

W zasadzie, w porównaniu z okresem przed strajkiem niewiele zmieniło się.

Korespondencja nadal zabroniona była. Rozpowszechnione szpiclowanie istniało. Skracania czasu trwania wysoku nie stosowano.

Zima 1953/54 r. przeszła bez żadnych zmian. W tej sytuacji nadal istniało niezadowolenie.

Zaczęto szemrać o potrzebie powtórzenia strajku, by o swoje prawa upomnieć się.

"Opier" ^{x/} doskonale znał nastrój więźniów w obozie. Armia "stukaczy" o wszystkim co się działo skrupulatnie donosiła mu.

Wiosną do sklepiku dostarczono masło topione /przetopione stare/. Kupowali i kupowaliby wszystko co by do sklepiku dostarczone było.

W maju dawało się wyczuć, że strajk wybuchnie lada dzień.

W celu osłabienia niezadowolenia więźniów władze obozowe na terenie kopalni otworzyły sklepik i dostarczyły do niego dużo, jak nigdy, topionego masła.

Zaopatrzeni w masło staliśmy przed bramą czekając na "rozwód" /ros.rozwód - w znaczeniu zmiana, odprawa/ by wracać do obozu.

W tym czasie na teren kopalni "Opier" kpt Tiuryn szybko wpadł i popędził do kombinatu, tylko poły nie zapiętego płaszczka, na wietrze mu furczały. Wielkie zakłopotanie widoczne było na nim. /Kombinat - biura kopalni/.

x/ Opier Upołnomocziennyj - oficer śledczy pełnomocnik/NKWD/ niezależny od naczelnika obozu.

Nie pomogły większe dostawy do sklepiku masła. Następnego dnia rano, na przełomie maja - czerwca, górnicy powtórnie zastrajkowali- ten strajk objął tylko jedną kopalnię 6.

W tym dniu, w drodze powrotnej z kopalni, konwój był wściekły. Oprócz słów obelżywych, całą maszerującą kolumnę położono w błoto rozdeptanej na drodze gliny. Jeżeli ktoś unosił się na rękach, by uchronić się przed zabrudzeniem, został przydeptany nogą, by leżał przykładnie jak się należy.

Teraz dla odmiany trzymano nas w barakach pod zamknięciem i zakratowanych oknach, w które w tym czasie zdążyli baraki zaopatrzyć.

Również następnego dnia zdarzył się incydent z konwojem przy wyjściu z obozu za bramę.

Jeszcze w kolumnie do omarszu staliśmy, gdy żołnierz-konwojent w sprzeczce z więźniem oddał strzał do kolumny. Jeden z więźniów został postrzelony w nogę. Rannego wycofano. Oto przykład wściekłości.

W drugim dniu strajku z Moskwy przyjechała specjalna komisja by zbadać przyczyny strajku.

Gen.Maślennikow /Komendant GULAG-u Workuta/ spotkanej na drodze między kopalnią a obozem kolumnie powiedział: "Macie rozpocząć przerwana pracę, jeżeli ruskiego słowa nie rozumienie, to do was przemówi, tak jak w ubiegłym roku, rosyjski oręż." Po czym odjechał.

Strajk został złamany, gdyż każdemu życie było drogie, każdy chciał żyć i miał nadzieję na lepsze jutro.

Komisja jeszcze przez parę dni przyjmowała każdego, pojedynczo a nie zbiorowo, kto miał jakieś skargi lub zażalenia. Również poszedłem.

- "Kakije u was żaloby?/jakie mam skargi/ - pytają.

Odpowiadam: "Jestem Polakiem, rodzinę, żonę i dzieci mam w Polsce i nie mam żadnej łączności z nią, gdyż cenzura obozowa listów do Polski nie przyjmuje.

Odpowiedzieli mi: "Prawo korespondencji z Polską przysługuje Wam, to jest nasza strona /to jest nasz kraj/ - dodając bym napisał w tej sprawie prośbę do władz wyższych.

Zapytałem - dokąd, czy do Moskwy?

Usłyszałem odpowiedź: "wszystko jedno, możecie pisać też do miejscowej władzy republikańskiej. Co też niezwłocznie uczyniłem pisząc prośbę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Komitetu w Syktywkarze.

Okazało się, że powtórzenie strajku sprzed roku było potrzebne.

Niebawem tuż obok wartowni przy bramie wybudowano barak-hotel dla rodzin odwiedzających więźniów /zezwolono odwiedzać/.

W tym samym baraku uruchomiono stołówkę komercyjną, w której można było, niezależnie od stołówki obozowej, zjeść przyzwolony, z mięsnym kotлетem, obiad.

W sklepiku zaopatrzenie w potrzebne artykuły żywnościowe poprawiło się.

Wielu więźniów /więcej zarabiających, górnicy/ korzystało z nowej stołówki.

Teraz chleba wystarczało dla wszystkich, nie wydzielano, w stołówce wyłożony na stołach leżał i każdy brał go tyle ile potrzebował. Tym samym dla nie pracujących inwalidów życie uległo zmianie na lepsze.

Za wykonywaną pracę zaczęto płacić jak wolnym według przyjętych stawek wynagrodzeń, z tym, że na skarb państwa potrącano 50%. Z pozostałej sumy odliczano wszystkie koszty związane z pobytem więźnia w obozie, a resztę, po odliczeniu

10-15% na fundusz zwolnienia, wypłacono więźniowi.

W formie pomocy pieniądze pozwolono wysyłać do rodzin zamieszkałych na terenie Związku Radzieckiego. Również za dobrą pracę zastosowano zaliczenia.

Zatrudnieni przy wydobyciu węgla mogli otrzymać 2 dni za 1 dzień odpracowany.

Odmienny system wynagradzania stosowano do wolnych przybyłych z centrum Rosji.

W "zapolarium" /za polarnym kręgiem/ za utrudnione i ciężkie warunki atmosferyczne przysługiwała podwójna stawka płacowa, urlop liczono w podwójnym wymiarze, także staż pracy zaliczano 2 lata za 1 rok pracy.

Więźniów RieCzŁagu przywileje te nie dotyczyły.

W 3-ciej dekadzie sierpnia przyszła odpowiedź z MWD Komi ASSR w sprawie mojej prośby pisania listów do rodziny mieszkającej w Polsce. Wezwano mnie do administracji, gdzie odczytano następującą treść pisma pisanego do Naczelnika RieCzŁagu ppłk Żychlina.

- "Proszę powiadomić więźnia ..., że jemu prowadzenie korespondencji z Polską jest zabronione" - bez dalszych komentarzy.

Władza sowiecka, na kilka dni przed zwolnieniem z obozu, taką odpowiedź dała mi.

Termin mego zwolnienia po odbyciu kary mijał 28 grudnia 1954 r. W dokumentach miałem koniec terminu dnia 12 grudnia, widocznie ta data figurowała /na moją korzyść mniej od 10 lat o 16 dni/ na wystawionym nakazie aresztowania mnie.

Zwolniono wcześniej o 104 dni tj. 6 września 1954 r. Zastosowano wyżej omówione zaliczenia.

Gdy powiadomiono o tym na parę dni wcześniej, bym szykował się do zwolnienia, poczułem się lekki i szczęśliwy, jakby jakiś ciężar ze mnie spadł. Jednocześnie przed nowym etapem życia

ogarniał mnie strach. Wiedziałem, że wyjechać do kraju nie pozwolą.

Współtowarzysze w baraku/byli tylko Rosjanie i mało Ukraińców z ziem polskich/ żegnali mnie serdecznie, zorganizowali zbiórkę pieniężną na "początek nowego życia".

Zwyczaj obdarzania pieniędzmi wychodzącego na wolność powstał, gdy za pracę zaczęto płacić.

Zwalnianie z obozów teraz było coraz częstsze, nadszedł bowiem czas kończenia wyroków dla tych, co mieli po 10 lat, jeżeli ponownie nie dostali "dychę".

Wcześniej na 3 dni przed terminem z łagru kopalni 6 zostałem przewieziony do obozu przesyłkowego /"pieriesyłka"/ etapowego.

8.6. W y k a z P o l a k ó w p r z e b y w a j ą -
c y c h w R i e C z Ł a g u K o p. 6

1. Bielecki Marian
2. Czerkies Wacław
3. Cierpiński Wacław - żołnierz AK-Wilno , "Rum"
4. Cydzik Bolesław
5. Dobrzański Jerzy, lekarz ginek.-ps."Maciej", "Paweł",
"Irwid, b.kier.Dz.Propag.-Prasowego BJ i P Wileńskiego
Okr.AK i b.zastępca Okr.Delegata Rządu /w Londynie/
Zmarł we Wrocławiu 1970r.
6. Dziępecki Bronisław, ksiądz z Wołynia /Będzie na osiedleniu/
7. Garniewicz Władysław - ekonomista z Wilna
8. Golsztajn Ignacy
9. Grzesiak Józef - Andrzej , ps."Kmita", "Czarny", kpt Komend.
Oddziałów Miejskich AK Wilno Dzielnicy Nowy Świat,
Legionów w czasie walk o Wilno w akcji "Ostra Brama".
W obozie kopalni 6 jako inwalida nie pracował. W 1956r.
indywidualnie powrócił do kraju, zamieszkał z żoną w
Gdańsku. Zmarł w wieku 75 lat w 1975 r.
10. Homziuk Piotr - ze Lwowa, w 1956 r. indywidualnie powrócił
do kraju, zamieszkał we Wrocławiu. Zmarł w 1986 r.
11. Jankowski Czesław
12. Kieda Edward- lekarz z obozu kopalni 6. Zabrano go w 1952r.
do San.-Miasteczka dla gruźlicznie chorych jako lekarza
/będzie na osiedleniu/.
13. Kolęda Wacław
14. Kulikowski Julian, ppłk. ps."Witold", "Ryngraf", "Drohomir-
ski" - szef I Oddz.AK. Po aresztowaniu "Wilka" /Krzy-
żanowski Aleks. Dow. Okr.AK-Wilno/ objął jego funkcję.

W obozie kopalni 6 jako inwalida nie pracował. Jeszcze będzie na osiedleniu.

15. Lisiecki Faustyn, ksiądz, w początkowych latach RieCzŁagu zabrano go z obozu kopalni 6.
 16. Lisowski Tadeusz, ps. "Tomasz" - członek Wileńskiej Rady Niepodległościowej i Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej, współpracownik /autora wspomnień/ z Elektrowni Wileńskiej i w konspiracji. W Worskucie, od czasu przybycia w 1945r. został zatrudniony w EC-1 /Elektrociepłownia - 1/. Od 1949r. gdy powstały RieCzŁagi /Reżimnyj Czeriezwyczajnyj Łagier/ /Reżumny Nadzwyczajny Łagier/ na terenie kopalni 6 pełnił dyżury jako elektryk w stacji rozdzielczej wysokiego napięcia /faktycznie był pracownikiem EC-1 a mieszkał w reżimnym obozie kopalni 6/.
 17. Niemirowicz Witold - delegat z Warszawy, żołnierz AK-Wilno.
 18. Ochociński Tadeusz.
 19. Ostromęski Stanisław - w 1956 r. indywidualnie powrócił do kraju. Zamieszkał w Lublinie.
 20. Pietkiewicz Igor
 21. Sarnota Władysław, lekarz - w obozie kopalni 6 był do 1950r. W 1956r. powrócił do kraju, zamieszkał w Radomiu, pracował w Wydziale Zdrowia.
 22. Siergiej Stanisław - w 1956r. powrócił do kraju - zamieszkał w Elblągu.
 23. Staniszewski Franciszek
 24. Stefanowicz Franciszek - Polak spod Mińska
 25. Sterpejkowicz-Wersocki Julian, ps. "Ryszard" - członek Wileńskiej Koncentracji Demokratycznej /WKD/.
 26. Swadowski Leopold, ur. 1914 - w 1956r. powrócił do kraju
 26. Tomaszewski Stanisław
 27. Zielankiewicz Bolesław.
- Uwaga: Wykaz nazwisk niepełny, w obozie stale przebywało ok. 35 osób

8.7. Ś m i e r t e l n o ś ć

W początkowych latach przebywania w obozach /1945/49/ śmiertelność wśród mieszkańców była zauważalna, co pewien czas ktoś umierał. Byli to ludzie schorowani, przy tym zwykle w wieku starszym. Młodzi i w sile wieku zmienione warunki życiowe wytrzymywali, chyba że zaistniał nieszczęśliwy wypadek.

Ogólnie o śmiertelności za czas istnienia np. kopalni 6 można podać liczbę pochowanych zwłok na pobliskim około obozu, cmentarzu. Cmentarz istniał od czasu powstania kopalni 6 /dokładnie daty nie znam, lecz w przybliżeniu niewiele więcej ponad 10 lat/.

Liczbę zmarłych i pogrzebanych na tym cmentarzu można określić na podstawie numeru, którym zaopatrzone zwłoki /na deseczce wypalano literę alfabetu /seria/ i kolejny numer /do 999 tej serii/, którą przywiązywano do palca nogi/.

W 1953r. widziałem wywożone zwłoki z literą Z /ros./ to znaczy w porządku alfabetu rosyjskiego kolejną 8 literę. W obozie średnio przebywało ok. 6 tys. osób. Za okres istnienia kopalni 6 grzebano już 8 tysięcy to jest w czasie 10 lat liczba zmarłych przewyższała stan liczbowy stałych mieszkańców obozu.

W Workut-Lagu różnych obozów, nie tylko kopalń, liczących nawet po przeszło 10 tys. osób doliczano się na około 40

9. WOLNOŚĆ

9.1. Procedura zwolnienia

W oczekiwaniu na załatwienie formalności związanych ze zwolnieniem trzy dni przeszły w obozie przesyłkowym. Deski przycz bez zasłania nie pozwalały wylegiwać się. Na zwolnienie, przeważnie przestępcy pospolici, czekało około 20 osób. Między sobą prowadzili rozmowy o planowanych zamiarach po wyjściu na wolność, jeszcze jadąc pociągiem z Workuty zrobienia nowych "skoków" /więźniowie kryminalni i pospolici mieli prawo opuszczenia Workuty/.

6 września 1954 r. zostałem przewieziony z obozu przesyłkowego do posterunku milicji w osiedlu kopalni 6. Tutaj miała odbyć się formalność zwolnienia. Ze mną razem na posterunek przywieziono Rosjanina i Ukraińca, obaj z RieczŁagu kopalni 6.

Po wejściu do izby, siedziny Komendanta Milicji kazano nam zająć miejsca na ławie, stojącej przy ścianie, na lewo tuż koło drzwi. Przed nami stał stół, za którym usadowił się Komendant kpt Wołkow, za nim dwa nieduże okna rozjaśniały izbę.

Po pewnej chwili kpt Wołkow wręczył każdemu z nas kartkę, mówiąc - zapoznajcie się.

Kartka przedstawiała druk, w przybliżeniu następującej treści:

"Ja niżej podpisany dobrowolnie zobowiązuję się pozostać na wieczne /wieczne przekreślone i nadpisano ręcznie/ na czas nieokreślony osiedlenia. Oddalenie się poza obręb Workuty na 101 km będzie uważane za ucieczkę i karane wg K.K. Rozdz..... Paragraf... Podpis".

Dawno już temu wstecz było wiadomym, że zwalnających z obozów "państwowo niebezpiecznych" na zsyłkę wysyłają na Syberię.

Jeżeli komuś "mniej niebezpiecznemu" pozwolono kiedyś jechać do Rosji, to nie do miast stołecznych republik - mieli prawo zamieszkać nie bliżej tych miast jak na 101 km.

Teraz, gdy od 1944/45 zaczyna mijać 10 lat i zbliża się termin zwalniania więźniów politycznie niepewnych /par.58/ wypuścić ich z Workuty nie można a w dodatku powstał by problem wyzbycia się siły roboczej w kopalniach.

Stąd bierze się to zarządzenie osiedlenia wydane przez władze.

Otóż gdy minęła chwila potrzebna do przeczytania druczku kpt Wołkow zwraca się najpierw do mnie /siedziałem od niego pierwszy z lewa/ : "Zapoznaliście się, podpiszcie!" - mówi.

Od razu odpowiedziałem: "Odsiedziałem jeden wyrok, przysługuje mi prawo wolności. Mam teraz "dobrowolnie" na sobie podpisywać drugi wyrok, bez sądu? Jestem w waszych rękach i co zrobicie ze mną - tak będzie, ale dobrowolnie zgody nie wyrażam.

Na to kpt Wołkow wykrzyknął: "Umnik /mądrała/, Was trzeba było rozstrzelać, tylko władza sowiecka zlitowała się, bo już był koniec wojny.

Odpowiedziałem: "Sądzono mnie jeszcze w czasie trwania wojny a sąd, nie wiem dlaczego, wydał wyrok odmienny od kary śmierci".

Kpt. Wołkow kazał mi wyjść na korytarz, pozostałych dwóch obrabiał dalej.

Po pewnym czasie zawołał mnie i całej trójce w komplecie oświadczył: "Jeżeli nie podpisujecie, to nie wydam wam zaświadczenia o zwolnieniu i będziecie dwa razy dziennie meldować się tu.

Wytworzyła się sytuacja krytyczna. Co robić? Jestem bezsilny! Pod wiatr nie nadmucham - pomyślałem. Bez zaświadczenia o zwolnieniu z obozu nic poczynać ze sobą nie mogę.

Podniosłem się z ławy, poszedłem do stołu i druczek na "dobrowolne osiedlenie" wypełniłem i podpisałem.

Moi współtowarzysze idąc w ślad za mną także druczek na "dobrowolne osiedlenie" podpisali.

Zaświadczenie o zwolnieniu, po dostarczeniu fotografii, miałem otrzymać później.

Zbliżał się wieczór gdy opuściłem posterunek milicji.

9.2. P i e r w s z e d n i w o l n o ś c i i o s i e d l e n i e

Bezpośrednio z posterunku udałem się do przedtem umówionego mieszkania pewnego Rosjanina, Uskowa. Pochodził on z Astrachania nad morzem Kaspijskim.

Uskow zwolniony został parę miesięcy wcześniej, teraz pracował ślusarzem na tym samym miejscu. W domu nie było go, poszedł w tundrę polować na kaczki. Sąsiedzi wpuścili mnie do zajmowanej przez niego izdebki z ustawionym łóżkiem, stolikiem i taboretem.

Uskow niebawem z dwiema kaczkami wrócił. Serdecznie mnie przywitał. Po kolacji rozmowa potoczyła się o piętrzących różnych problemach, które pokonać muszę.

Po odbiorze zaświadczenia ^{x/} o zwolnieniu pojechałem do punktu przesyłkowego, celem odbioru pieniędzy. Na koncie funduszu zwolnienia zebrało się ok. 1.800 rubli /ówcześnie zarobek niewykwalifikowanego robotnika wynosił 400 rubli/mies./

Wypuszczony zostałem w drelichach, było chłodno, początek jesieni. Dlatego też w pierwszej potrzebie kupiłem płaszcz, przykrycie na głowę i kołdrę.

Czas uciekał, nie mogłem nadużywać gościnności, którą miałem u Uskowa.

Zatrzymanie się na pewien czas u siebie ofiarował mi pewien Polak /nazwiska nie pamiętam/, potomek zesłańca na Sybir z 1863 r., wolny, na osiedleniu, którego los też tutaj zagnał. Podziękowałem mu, nie miałem bowiem zamiaru podejmować pracę

x/ W miejsce dowodu osobistego wydano zaświadczenie z fotografią, ważne tylko w obrębie Workuty.

w kopalni 6.

Udałem się do miasta. Próbowałem dostać się do elektrowni, lecz ze względu na moją karalność wg Art. 58 /przewinienia przeciw państwu/ zatrudnienia mnie odmówiono.

W trzecim dniu poszukiwań wreszcie zostałem przyjęty do WMZ /Workutinskij Mieczeniczeskij Zawod - Workucka Mechaniczna Fabryka/.

Zatrudniony zostałem w Dziale Energetycznym w charakterze dyżurnego elektryka z wynagrodzeniem 750 rubli/mies.

WMZ - to duży kombinat remontowo-naprawczy kopalnianych maszyn górniczych.

Budowę tej fabryki zaczęto przed 10 laty, akurat w tym czasie, gdy nas przywieźli do Workuty. Ówczesny obóz przesyłkowy, do którego trafiliśmy po przybyciu, teraz przekształcono na osiedle WMZ.

Właśnie będąc w fabryce WMZ poznałem z tego osiedla Polaka Władysława Kulczyckiego, który zaproponował mi zatrzymanie się na parę dni w jego mieszkaniu.

Władysław Kulczycki pochodził ze Lwowa, z obozu został wcześniej zwolniony, teraz pracował w WMZ jako elektryk osiedla, miał mieszkanie 1-izbowe, mieszkał z Jadwigą /Wisia/ Filipską /z domu Rusiecka z Wilna/, również niedawno zwolniona z obozu.

W tym czasie spotkałem się z Tadeuszem Lisowskim. Po zwolnieniu się dwa lata wcześniej z obozu kopalni 6 urządził się w Zakładzie Budowy Sieci Energetycznych, mieszczącym się na osiedlu Predszechtnaja, odległym od miasta o 3 km. Tutaj zamieszkał z Zofią Jacenty, również zwolnioną z obozu, pochodzącą z terenów koło Lwowa. Zofia /Zocha/ to młoda dziewczyna, w tym czasie, gdy na "wolności" znalazłem się, znajdowała się

w szpitalu położniczym, bowiem urodziła córkę. W czasie znajdowania się Zochy w szpitalu, jako bezdomny parę dni nocowałem w mieszkaniu Lisowskiego.

Po kilku dniach przygodnego noclegowania dostałem lokum w hotelu robotniczym WMZ, w ten sposób uniezależniłem się od osób drugich.

Mając miejsce zamieszkania konieczne było zameldowanie się.

W milicji oznajmiono mi, że muszę obowiązkowo dwa razy w miesiącu meldować się. Wyznaczono dni, w których powinienem był w specjalnej książce składać podpis.

Po pół roku zasadę tę zmieniono na meldowanie się jeden raz w miesiącu.

Niespodziewaną wizytę w "obszczežitije" /zbiorowe życie, zamieszkanie/, w którym teraz mieszkałem złożył mi Edward Muszyński. Ze wspólnego pobytu na 19/20 mijało już 9 lat. Cieszyliśmy się z tego, że już jesteśmy na "wolności". Matka i ojciec Muszyńskiego jak i moja rodzina byli w Gdańsku. Ma zamiar urządzenia się z pracą w kopalni 29.

Pierwszym moim obowiązkiem była próba, po 7 latach, nawiązania łączności z rodziną.

Wystraszony obozowym życiem i szpiclowaniem na każdym kroku obawiałem się pisać odważnie w jakiej znajduję się sytuacji.

Wyszedłem z obozu na wolność, ale jestem dalej więźniem, tylko na dłuższym "łańcuszku", z którego urwać się nie mogę, i o tym napisać mi nie wolno, ze względu na kontrolę /cenzurę/, która prawdopodobnie istniała, tak przypuszczałem. Z tego też względu pierwszy list napisałem po rosyjsku.

Ogromna radość ogarnęła mnie, gdy od żony otrzymałem odpowiedź. W liście donosiła, że są zdrowi, dzieci uczą się i wszyscy czekają na mój powrót. Mama, siostry i brat również

są zdrowi.

Łączność została nawiązana, lecz cykl od wysłania listu do czasu otrzymania odpowiedzi trwał długo, około 6 tygodni.

W czytanej odpowiedzi jedno mnie niepokoiło - wiara ich w niedługi mój powrót. A przecież tutaj pod przymusem i "dobrowolnie" na czas nieokreślony zostałem osiedlony. W listach pisałem, że jeżeli powrócę to nieprędko, ale oni tego nie rozumieli.

Na początku nawiązanej korespondencji wysłałem swoją fotografię zrobioną w wypożyczonym ubraniu /od Wład.Czerkiesa, byłego współtowarzysza z obozu kop.6, który wcześniej został zwolniony/.

Z pierwszej wypłaty, w miejsce ubrania /gdyż jeszcze nie stać mnie było na takie/ flanelowy sportowy dres, spodnie i bluzę kupiłem. Watowaną fufajkę i także spodnie dostałem z miejsca pracy. Tak odziany chodziłem aż do wiosny 1955r., kiedy to po tylu latach pierwsze ubranie uszyłem.

W ten sposób na wolności układało się nowe życie.

Niemcy, jeńcy wojenni, sądzeni za przestępstwa wojenne, jeszcze siedzieli w obozach.

Wiosną 1955r. pewnej nocy wszyscy nagle zniknęli. Okazało się, że przyczyną zniknięcia Niemców był Konrad Adenauer, Kanclerz Niemiec Zach. Na podstawie zawartego porozumienia w Moskwie Niemcy więzieni w obozach zostali z ZSRR wywiezieni do RNF-u.

W końcu 1954 r. Polaków na tej "wolności" znalazło się dużo. Wszyscy nie znali się, to byłoby niemożliwe, ale idąc ulicą czy będąc w sklepie często słyszało się polską mowę.

Nie wszyscy mieszkali w mieście, przeważnie pozostawali w rejonach tam, gdzie pracowali przed zwolnieniem.

Kulczyckiego mieszkanie służyło za punkt zborny. W wolne dni od pracy spotykało się tutaj spore grono Polaków.

Miejscami spotkań ziomkostwa były również mieszkania Weberów i Waldemara Niemca. Przeważnie jeszcze młodzi ludzie szukając znajomości, nawet z odleglejszych rejonów tutaj gromadzili się.

Niektórym udało się znaleźć swoją przyjaciółkę czy przyjaciela na ułożenie przyszłego życia.

Olgierd Zarzycki będąc na osiedleniu z Natalią Odyńską^{x/} zawarli związek małżeński. Ślubu im udzielił ks. Józef Kuczyński w 1955r.

Edward Muszyński /z kopalni 19/20/ również znalazł przyjaciółkę Janinę Zubę, z którą później, po powrocie do Polski, zawarł małżeństwo.

W tymże baraku, w którym mieszkał Kulczycki, zajmował pokój Edward Zieliński, który po zwolnieniu z obozu pracował tokarzem w WMZ. Zapoznał tu pracującą Komiaczkę z wykształceniem technicznym. Zamieszkali razem. Dwie córki, jedna po drugiej urodziły się im.

Księża będąc jeszcze w obozie, w ukryciu prowadzili pracę duszpasterską, teraz na wolności z większą swobodą ten obowiązek pełnili.

Nabożeństw i modłów zbiorowych nie organizowali, ograniczając się do indywidualnych przypadków udzielania sakramentów świętych.

Tak było u Lisowskiego i Zofii Jacenty - córce Jadzi, nie-

x/ Natalia Odyńska - jej brat Jaremi /z trzema innymi/ został rozstrzelany po strajku w kopalni 29.

dawno urodzonej, chrztu udzielił ks. Bronisław Dżepecki, ojcem chrzestnym był Leopold Swadowski z kopalni 6.

Bywając u Lisowskiego zapoznałem przychodzącego do niego Stanisława Olszewskiego, majora Wojska Polskiego PRL. Zwolniono go z obozu tak jak innych. Stanisław Olszewski będąc na szkoleniu w Wyższej Akademii Wojskowej w Moskwie w 1949r. został aresztowany za rzekome należenie do organizacji, której celem było obalenie istniejącego ustroju w PRL.

W rozmowach z T. Lisowskim wysunął on mi propozycję bym przeszedł pracować do ich przedsiębiorstwa, w którym lepsze są możliwości płacowe.

Poczyniłem starania, lecz dykcja WMZ zgody na moje odejście nie wyraziła.

W miejsce tego 8 czerwca przesunięty zostałem do działu odlewniczego na stanowisko Elektro-Mechanika przy obsłudze elektrycznego /łukowego/ pieca do przetapiania stali. Było to automatyczne urządzenie produkcji amerykańskiej.

Zostałem przesunięty z tą samą grupą VII uposażenia. Była to najwyższa grupa dla pracowników przy pracy nienormowanej.

Zasadniczo wyszedłem na tym dobrze, gdyż tutaj otrzymywałem premie od wykonania planu, co prawie podwoiło moje wynagrodzenie.

Na poprzednio zajmowanym stanowisku dyżurnego elektryka, praca dobrze układała się. Kierownik tego oddziału inż. Leontiew zaprzyjaźnił się ze mną, często zapraszał do siebie na pogawędki.

Mogę powiedzieć, iż Rosjanie, z którymi pracowałem w WMZ z przyjaźnią odnosili się do mnie. Szczególny wyraz temu dawał inż. Baryszew z Oddziału Głównego Energetyka.

Po odbyciu wyroku do Workuty sprowadził żonę. Miał mieszkanie 1-izbowe.

Pewnego razu byłem u niego na "czaju" /herbata/ pitej po rosyjsku. Przy szumiącym, stojącym na stole samowarze, pito gorącą herbatę ze spodków na "prykusku", tzn. trzymając kawałek ugryzionej kostki cukru w ustach, popijało się herbatą.

Gospodyni, szklanka po szklance gorącą herbatę napełniała. Gdzieś przy dziesiątej szklance, kiedy już naprawdę nie byłem w stanie pić dalej, gospodarze zgodzili się na moją kapitulację.

Po wypiciu tyłu szklanek wrzątku, pot na czoło występował, a ręcznik zawczasu przewieszony z tyłu na oparciu krzesła, do ocierania się miał służyć.

W tym czasie w obozach zaszły duże zmiany. Znaczna część ich mieszkańców została zwolniona, nadal pozostając w pracy w tych kopalniach. Baraki do zamieszkania dla nich wydzielono poza zonę obozu. Również część więźniów będących jeszcze z wyrokami otrzymała przepustki na wolne chodzenie.

Wszystko to stało się gdy do władzy doszli Georgij M. Malenkov i Nikita S. Chruszczow /jako Generalni Sekretarze Partii/, w wyniku czego w ZSRR nastąpił okres tzw. "odwilży".

Przeprowadzono rozpatrzenie spraw z art. 58 i w większości przypadków uznano za niesłuszne osądzenie, przeprowadzono rehabilitację.

Gdzieś w lipcu tego roku niespodziewanie wezwano mnie do Milicji.

Oficer uprzejmie zapytał:

- Czy chcecie wyjeżdżać do Polski?

✓ Naturalnie - odpowiedziałem.

W następstwie, jakby w przyjacielskiej rozmowie, różne pytania zadawał mi:

- Czy mam żonę i dzieci, gdzie mieszkają, czy listowną łączność utrzymuję, czy tutaj, w Workucie, drugiej żony nie zostawił-

bym itp.

Po czym wręczył mi ankietę z 8 stron składającą się do wypełnienia w domu i złożenia w milicji.

Ankieta miała bardzo drobiazgowo pytania, dotyczyła nie tylko mojej osoby ale także rodziny. Przykładowo : ojciec - jeżeli nie żyje, to gdzie zmarł i gdzie jest pochowany? Rodzeństwo - gdzie mieszka i czym się zajmuje? Te same pytania dotyczyły rodziców i rodzeństwa żony.

Naturalnie na wszystkie pytania po 10 latach nie byłem w stanie odpowiedzieć.

Po tylu doznanych różnych krzywdach cieszyłem się z faktu możliwości wyjazdu do Kraju, ale nasuwały się też wątpliwości w realność urzeczywistnienia tego.

Pracując w WMZ zapoznałem pewnego Polaka Michała Lichodziejewskiego, który już języka polskiego nie znał. Rodzina jego mieszkała koło Mińska. Zaraz po rewolucji w 1917r. została zniszczona. Ojciec z matką - wywiezieni na Syberię. Michał, będąc jeszcze chłopakiem - pozostał u ludzi obcych, siostry gdzieś po Rosji rozsypały się, a najstarszy brat Kazimierz w stopniu pułkownika przedostał się do Polski, po 1920 r. był w WP i mieszkał w Warszawie. Taka dawna wiadomość o bracie Kazimierz w pamięci Michała zachowała się.

Michał, gdy się dowiedział o możliwości mego wyjazdu, prosił bym jego brata odszukał^{x/}.

x/ Po przyjeździe do Kraju Kazimierza Lichodziejewskiego odszukałem, mieszkał w Błoniu k. Warszawy. Kazimierzowi podałem adres Michała. Latem 1956r. Michał z żoną Lidią był u brata. Z synem Kazimierza, Jerzym i z żoną odwiedził mnie w Gdańsku. Lidia zmarła ok. 1960r.

W ostatnich latach pobytu w obozie u mnie wystąpiły zaburzenia pracy żołądka - niedokwasota. W zasadzie leczenia nie było poza otrzymywaniem kwasu solnego. Zwykle rano przed jedzeniem i wyjściem do pracy, po drodze idąc do stołówki zachodziłem do ambulatorium, gdzie w kieliszku dozę kwasu solnego otrzymywałem. Tę porcję kwasu jednym łykiem wypijałem a później spożywałem posiłek.

Przez pewien okres stan choroby żołądka pogorszył się. W styczniu 1955r. udałem się po poradę do przychodni. Lekarz /Koreańczyk/ po badaniu rentgenologicznym podejrzewał o wrzód żołądka a może nawet i nowotworu. Jednak przy późniejszym powtórnym badaniu możliwość istnienia nowotworu odrzucił.

Przy następnej wizycie lekarz mnie kierował do szpitala, lecz tłumacząc się spodziewanym rychłym wyjazdem do Polski - odmówiłem.

W związku z klarującą się sprawą wyjazdu do kraju niemałe kłopoty mieli ci, którzy tutaj z kobietami swoje życie próbowali urządzić. Niektórzy z nich mieli już potomstwo. Znaleźli się w sytuacji kłopotliwej - co robić? Czy zostawić "żony" ? - te jednak nie ustępowały, chciały razem jechać. Nie mając rodzin w Polsce /Rosjanki, Ukrainki/ jedynie mogły z mężami opuścić Związek Radziecki. Te drażliwe sprawy ugodowo przeszły przez "Zaks" /Urząd Stanu Cywilnego/.

W końcu sierpnia i początek września 1955r. władze Związku Radzieckiego kilku osobom dały zezwolenia na indywidualny wyjazd do kraju.

Na to zezwolenie m.in. wyjechali: ks.Michał Drabik, Ludwik Wjdrygiewicz, Stanisław Buryło z żoną Romaną, Waldemar Niemiec oraz Piotr Pietkiewicz /9.IX/ i jeszcze parę osób nieznanymi.

W listopadzie każdy z nas z milicji do miejsca pracy otrzymał pismo, by Zakład poinformował czy wyraża zgodę zwolnienia z pracy w związku z jego wyjazdem za granicę ZSRR.

Takowe pismo o niestawianiu przeszkód w ubieganiu się o zmianę miejsca zamieszkania Dyrekcja Fabryki WMZ wydała mi.

Ostatni dzień listopada, jako ostatni mojej pracy w WMZ, na uroczystościach pożegnalnych upłynął. Dział Głównego Mechanika na rękę mi wydał Charakterystykę Zawpdpwą z pozytywną oceną mej pracy.

Podpisy na pisemku złożyli:

Dyrektor WMZ - Krugłow

Główny Mechanik WMZ - Zilberman

Główny Energetyk - Barysz

Inżynier ESCh /Elektronapędowa Gospodarka/ - Leontiew /Właściwie Gł.Mechanikiem był Kuszniir a w zastępstwie jego z ASCh - podpisał Zilberman /obaj/ narodowości Żydowskiej/.

Przy wręczaniu pisma inż.Leontiew powiedział: "Przy ubieganiu się w Polsce o pracę może to być pomocne" - takie na ten temat miał zdanie.

Celem uzupełnienia do /niepełnego/ kompletu nazwisk wyższych osobistości /Naczelstwo/ Warkuty wymienię nazwisko Naczelnika Kombinatu, którym był Dektew /czyt.Diektiow/.

Wyznaczony termin wyjazdu zbliżał się. W milicji wypłacono na drogę po 300 rubli na osobę. W drodze obiady w czasie postojów mieliśmy otrzymywać w restauracji dworcowej, śniadania i kolacje w suchym prowiancie miały być dostarczane przy obiedzie.

Inwalidzi, którzy chodzili w watówkach, otrzymali skromne ubrania.

Zajęcie miejsc w pociągu na dzień 3 grudnia po południu wyznaczono, przy czym "Ofier" powiedział:"Teraz odjedzie jeden

pociąg, później będą następne, aż wszyscy odjadą./Czas pokazał,
że jednak tak nie było - był tylko jeden transport zbiorowy.

9.3. Wykaz Polaków spotkanych
na "dobrowolnym osiedleniu"

1. Bobek Kazimierz - z Wilna, w 1945 r. na podstawie orzeczenia OSO karę 5 lat odbywał w Workucie, później - osiedlenie. Powrócił do kraju. Zamieszkał w Warszawie.
2. Buryło Stanisław, lekarz ze Lwowa, przebywał w obozie 9/10 i na osiedleniu. W 1955 r. indywidualnie powrócił do kraju. Zamieszkał we Wrocławiu. Zmarł XI.1965r.
3. Buryło Romana - żona Stanisława, z któregoś łagru przyjechała na osiedlenie do męża Stanisława. W 1955 r. indywidualnie z mężem powróciła do kraju.
4. Bordowski Wacław - w 1955r. powrócił do kraju. Zamieszkał w Międzyrzeczu Wlp.
5. Cierpiński Wacław, ur. w 1928r. ps. "Rum", 15-letni żołnierz 6 Bryg. Partyz. AK Okr. Wilno. Przebywał w obozach 7/ i 6 oraz na osiedleniu. W tym czasie poznał Annę Fedorniak /ur.1928r. w Haliczu k. Stanisławowa/. W grudniu 1955r. zbiorowym transportem wraca do kraju. Zamieszkuje w Łodzi.
6. Cierpińska Anna - wyrok 8 lat, później osiedlenie, ma córkę, zamężna z Wacławem. Powróciła i zamieszkała j.w.
7. Czerkies Wacław - z obozu 6 zwolnił się wcześniej /mniejszy wyrok/. W 1956r. indywidualnie powrócił do kraju.
8. Ks. Drabik Michał - przebywał w obozie kop.2. W 1955 r. indywidualnie powrócił do kraju. Prawdopodobnie już nie żyje.
9. Dziemiszkiwicz Edward - w 1955r. powrócił do kraju. Zamieszkał w Bytomiu.
10. ks. Dziępecki Bronisław - po pobycie na osiedleniu z Workuty wyjechał na Sybir do swej siostry, która znajdowała się na

osiedleniu w Irkucku. Wkrótce za uprawianie wrogiej agitacji /zarzucano mu, że jest agentem Watykanu/ aresztowano go i osądzono na 10 lat pracy w Łagrach. Po 5 latach, na skutek amnestii został zwolniony. Z Sybiru przyjechał na ziemię lwowskie; otrzymuje parafię i w innej miejscowości kaplicę. Z odwiedzinami był w Polsce. W 1973r. będąc na swojej parafii zmarł.

11. Ejdrygiewicz Ludwik, inżynier - na podstawie orzeczenia OSO karę 5 lat odbywał w Workucie, później na osiedleniu pracował w REMZ-2 /Fabryka Remontowo Elektro-Mechaniczna -2/. W 1955r. indywidualnie powrócił do kraju. Zamieszkał w Gdańsku-Wrzeszczu. Zmarł IV.1985r.
12. Greczanik Edmund , ps."Ryś" - członek Konwentu Stronnictw Politycznych, kierm kolportażu prasy niepodległościowej z ramienia WKD /Wil.Konsentr.Demokratycznej/. Przebywał w obozach 11; 12 i na osiedleniu. W grudniu 1955r. transportem zbiorowym powrócił do kraju. Zamieszkał w Gdańsku. Zmarł w wieku 71 lat III.1973r.
13. Greczanik Maria, nauczycielka, wyrok 10 lat odbywała w Nowosybirsku /za Uralem/. Na swoje żądanie przyjechała do męża na osiedlenie do Workuty. Do kraju powróciła razem z mężem. Po śmierci Edmunda zamieszkała w Gdyni w Spółdz. Mieszk."Za Falochronem". Zmarła w 1990r.
14. Kieda Edward, lekarz- w 1956r. indywidualnie powraca do kraju, zamieszkał w Dąbrowie Górniczej.
15. Król Franciszek, nauczyciel, ps."Wojciech" - członek Wil. Rady Niepodl. K.D. W 1956r. powrócił do kraju, zamieszkał w Warszawie.
16. Ks.Kulczyński Józef, przebywał w obozie 11, /?/ i na osiedleniu.

- Po opuszczeniu Workuty osiedlił się około Lwowa, miał parafię. W 1970r. był w odwiedzinach w Polsce, także i w Gdańsku /Greczanik/. Zmarł w swojej parafii około 1972r.
17. Kulczycki Władysław, Lwowianin. Po Łagrach i osiedleniu w grudniu 1955r. transportem zbiorowym powrócił do kraju, zamieszkał w Przemyślu. Rozwiódł się z Jadwigą Filipską. Powtórnie ożenił się, miał cztery córki. Żona zmarła. Niedługo później w 1982r. umiera Władysław.
18. Kulczycka Jadwiga, p.v. Filipiska z d. Rusiecka, łączniczka AK z Wilna. Po odbyciu wyroku 10 lat, na osiedleniu swoje życie złączyła z Władysławem Kulczyckim /dużo młodszym od Jadwigi/. W celu wyjazdu do Polski wzięła ślub z Władysławem w ZAKS`ie. Do kraju przybyli transportem zbiorowym w grudniu 1955r. Po rozwodzie z Władysławem zamieszkała w Gdańsku, pracując w PCK. Zmarła I. 1987r.
19. Kulikowski Julian , ppłk , po obozie w kopalni 6 , przebywał na osiedleniu. Jako inwalida nigdzie nie pracował. W 1956r. powrócił do kraju, zamieszkał w Radomiu. Zmarł w 1965r.
20. Kunakowicz Klara - po obozach przebywała na osiedleniu. W 1956r. powróciła do kraju. Zamieszkała w Chorzowie. Wyszła za mąż.
21. Leśniak Adolf , po osiedleniu do kraju powrócił i zamieszkał w Rzeszowie.
22. Listwan Marcin - po osiedleniu do kraju powrócił transportem zbiorowym w grudniu 1955r. Zamieszkał z rodziną w Bolkowie. Zmarł ok. 1960r.
23. Lisowski Tadeusz, inż. ps. "Tomasz" - członek Wil. Rady Niepodl. K.D., po obozie kop. 6 przebywał na osiedleniu. Spot-

- kał się z Zofią Jacenty. Urodziła im się córka, Jadzia.
Przed wyjazdem do kraju biorą w ZAKS`ie ślub.
W grudniu 1955r. transportem zbiorowym wracają do kraju.
Obecnie mieszkają we Wrocławiu.
- 24.Lisowska Zofia z d.Jacenty - pochodzi z ziemi około Lwowa.
W obozach pracowała w geodezji.Osiedlenie i powrót j.w.
- 25.Miodowski Stanisław, wykształcony przyrod. Wilnianin.Po osiedle-
niu, w grudniu 1956r. transportem zbiorowym powrócił do
kraju. Zamieszkał w Gdańsku. Zmarł IX.1973 r.
- 26.Muszyński Edward, ps."Cyngiel", "Spóźniony" - żołnierz
3 Bryg.Partyz.Okr.Wilno. Od 1945r. przebywał w obozach
kop.19/20; 18, 11, 9/10. W grudniu 1955r. transportem
zbiorowym powraca do kraju. Żeni się z Janiną Zuba, zapoz-
naną w czasie przebywania na osiedleniu. Zamieszkują w
Gdyńsku- Przymorze. Zmarł na wylew XI.1990r.
- 27.Muszyńska Janina z d.Zuba, pochodzi z Kostopola na Wołyniu,
przebywała w obozach cegielnia 1 i 2 i na osiedleniu.
Powróciła indywidualnie IX 1955r.
- 28.Niemiec Waldemar - pracował w REMZ - 2. W 1956r. indywidu-
alnie powraca do kraju. Zamieszkuje w Katowicach.
- 29.Niemiro Witold - był więziony w KPZ uSłowackiego w Wilnie.
W 1956r. powrócił do kraju, zamieszkał w Warszawie.
- 30.Olszewski Stanisław, mjr, zabrano go z Wyższej Akademii
Wojennej w Moskwie za rzekomy udział w spisku obalenia
ustroju PRL. Z obozu zwolniono go wcześniej, przebywał na
osiedleniu. Wyjazdu do kraju odmówił.
- 31.Ostromęcki Stanisław - przebywał w obozach kop. ? , 6 i
na osiedleniu. W 1956r indywidualnie powrócił do kraju.
Zamieszkał w Lublinie.

32. Pietkiewicz Piotr, ps. "Kaczor", Wilnianin, budowniczy, /od 1931r. znajomy autora zapisek/ - na donos, że w jego obejściu domowym mieściła się tajna drukarnia wypuszczająca pisemka niepodległościowe, w lipcu 1945r. został aresztowany. Do niczego nie przyznawał się. Wywieziono go do Workuty. OSO orzekło karę osiedlenia. W marcu 1950r. ponownie aresztowany, zarzucano mu spiskowanie grupowe w celu rzekomego przygotowania do oczekiwanego lądowania Amerykanów od morza Północnego. Bito go, w wyniku czego wystąpiły objawy padaczki. W lutym 1951r. uznano go za niewinnego. We wrześniu 1955r. indywidualnie opuścił Workutę. W kraju z żoną zamieszkał w Gdańsku - Wrzeszczu. Zmarł IX.1984r.
33. Rabo Michał, lekarz- po obozach był na osiedleniu. W 1956r. indywidualnie powrócił do kraju. Zamieszkiwał w Bielsku Podlaskim. Prawdopodobnie już nie żyje.
34. Roszkowski Wachaw, por.art. polowej, ps. "Biały", komendant Zgrupowania Rej.III Dzielnicy Kalwaryjska w czasie walk o Wilno w akcji "Ostra Brama". Po obozach i osiedleniu w 1955r. powrócił do kraju. Zamieszkał w Sopocie. Zmarł VIII.1987 r.
35. Swadowski Leopold, ur.1914r. - w 1956r. powrócił do kraju. Początkowo zamieszkał w Bytomiu, później w Katowicach. Uzupełnił studia prawnicze.
36. Tajwan Leon, ps. "Ogniwo", por./znajomy od 1932 r./ - w czasie walk o Wilno, w akcji "Ostra Brama" Komendant Zgrupowania Oddz.Rej. IV /Zarzecze-Belmont/ W 1956r. powrócił do kraju.
37. Weber Edmund, prac.REMZ-2 - w 1956 r. z rodziną powrócił do kraju, zamieszkał w Koninie.

38. Zarzycki Olgierd, ps. "Orkan" - żołnierz AK - Wilno.

W 1956r. z żoną Natalią /z Odyńców/ powrócił do kraju. Uzupełnił wykształcenie górnicze. W kopalni pracował sztygarem. Ostatnio z rodziną mieszkał w Warszawie. Zmarł IV. 1989r.

39. Zieliński Edward - w grudniu 1955r. transportem zbiorowym

z żoną i dwoma córkami powrócił do kraju. Zamieszkał w Nowej Hucie, pracował tokarzem. Urodził się im syn.

Żona /Ania/ zmarła w 1972 r. /Komiaczka/.

10. DROGA POWROTNA

Grudzień to środek zimy, w tym czasie duże mrozy występują. W Workucie 3 grudnia temperatura wynosiła ok. - 35° C. Słońce, mimo bezchmurnego nieba nie pokazywało się, jaśniejsze gwiazdy widoczne były na niebie. Polarna noc w środku dnia występowała, półmrok panował. W mieście latarnie oświetlenia ulicznego świeciły.

Po południu /ok.godz.16/ wszyscy z osiedla samochodem WMZ pojechaliśmy na dworzec kolejowy /Wł.Kulczycki z Wisią /Jadwigą już jako żoną, Edw.Zieliński /również z żoną i dwójkiem dzieci/, Edmund Greczanik z żoną Marią^{x/}, Marcin Listwan^{xx/} i autor tych wspomnień/.

Przy silnym mrozie na umieszczenie nas w wagonach czekaliśmy parę godzin.

Bagażę oddaliśmy do wagonu bagażowego, sami z podręcznymi walizkami lub teczkami zostaliśmy uformowani według list w grupy i w wagonach osobowych umieszczeni.

Na przedział przypadało 6 osób /dolne ławy i dwie odkładane półki służyły do leżenia/. Wagon był ocieplany, miał także obsługę, konduktorę. Małżeństwa z dziećmi oddzielnym wagonem jechały.

x/ W przeddzień wyjazdu Edmund Greczanik miał kłopoty z wyjazdem żony. Milicja nie miała dowodu ślubu Edmunda z Marią, z tego powodu Maria została z listy wyjeżdżających skreślona. Usilne starania i wyjaśnienia pomogły na umieszczenie na tej liście Marii.

xx/ Marian Listwan będąc na osiedleniu pracował w Administracji Osiedla WMZ.

Przypuszczalnie jechało nas niewiele ponad 300 osób z Workuty.

Chociaż zapanowała już noc, jednak pod wrażeniem wyjazdu sen nikogo nie zmorzył. Doczekaliśmy dnia.

4 grudnia /1955r./ o godz.4 pociąg ruszył.

Pod wrażeniem chwili serce mimowolnie piknęło. Wszak na ten dzień czekaliśmy 11 lat.

Po drodze, w Uchcie dołączono do nas grupę Polaków ok. 100 osób. W ten sposób zbierało się już blisko 400 pasażerów.

Wśród jadących humory panowały wspaniałe, twarze uśmiechnięte okazywały radość i zadowolenie. Wszystko co było najgorsze i najpodlejsze w życiu obozowym pozostało za nami.

W czasie podróży oficer, komendant transportu zarządził przerwę na obiad, który podawano w restauracji stacyjnej.

Pamiętam pewne wydarzenie, które miało miejsce na pewnej stacyjce przy wejściu na salę jadalną. Na czas zajmowania przez nas sali, restauracja dla gości ubocznych była niedostępna. Pewien oficer, pułkownik chciał wejść na salę. Kelner stojący w drzwiach zagroził mu drogę. Oficer, gdy się spotkał ze sprzeciwem wypowiedział słowa: -"Wszelką"swołocz"/draństwo/ wpuszczają a on ,"bohater wielkiej wojny ojczyźnianej" wejść nie może.

Tak się wyrażając, zdawało się, jakby podkreślał swoją wyższość nad innymi.

Jechaliśmy przez Moskwę w kierunku Kijowa i Lwowa, na tych ziemiach zimy się nie odczuwało, panujące ciepło raczej wiosną przypominało.

W czasie postoju we Lwowie przyszła do pociągu matka Wł.Kulczyckiego. Ona pozostała tutaj, chociaż jej dzieci wyjechały do Polski. Na widok syna, ze szczęścia rozplakała się.

Korzystając z wolnego czasu przed odejściem pociągu wyszedłem na ulicę od dworca do miasta biegnącą; brak na niej ruchu sprawiał wrażenie opustoszenia.

Znajdujący się w pobliżu, po lewej stronie, kościół - drzwi miał na krzyż deskami zabite.

Jakże inaczej ten Lwów wyglądał w czasie Kampanii Września 1939r., w czasie mego krótkiego pobytu w nim.

Jechaliśmy, a właściwie wieziono nas bez żadnych dokumentów osobistych. Zaświadczenia z Milicji wydane przy zwolnieniu z obozu, w przeddzień wyjazdu z Workuty, zostały nam zabrane.

Wreszcie dojechaliśmy do stacji granicznej Mościska.

Tutaj, na utworzonym bazarze, jeszcze można było pozbyć się pieniędzy albo należało je złożyć do banku na konto.

Na przejeździe granicznym żołnierze celnicy zachowywali uprzejmość, rewizje osobiste nie miały miejsca. Np. celnik zapytał mnie: - czy nie przewożę pism, listów od kogoś? Kiedy odpowiedziałem, że nie mam nic takiego, powiedział: - a może sprawdzę swoje kieszenie? I na tym się skończyło.

Jechaliśmy rzeczywiście jak wolni - traktowano nas inaczej.

Wspomnienia z transportu w tamtą stronę w 1945 r. jakże były odmienne.

11. U CELU - W POLSCE

Była już północ, wstępował dzień 13 grudnia 1955 roku, kiedy przekraczaliśmy granicę Polski.

Według listy zostaliśmy przekazani władzom polskim, które pieczę objęły nad nami.

W Przemyślu tory szerokie skończyły się, musieliśmy do innego pociągu przesiadać. Serdecznie nas witano, herbatą, i kanapkami gośczoneo.

W południe etap naszej podróży już skończył się, dojechaliśmy do Nowego Sącza, do Punktu Repatriacyjnego, który w jakichś koszarach mieścił się. Również tutaj zostaliśmy troskliwie przyjęci i wielką opieką otoczeni ci, którzy jej potrzebowali.

Niezwłocznie pospieszyłem nadać telegram do domu, że jestem już w kraju.

Następnego dnia niemiłe zdarzenie popsuło istniejącą atmosferę, gdy urzędnik /młody mężczyzna/ UB /Urząd Bezpieczeństwa/ kolejno każdego z nas wzywał na przesłuchanie. Pomimo woli nasywały się wspomnienia z początkowego okresu, prawie 11 lat minionych, śledztwa. I znowu arkusze papieru, odpowiedziami na zadawane pytania, zapełniały się. Oprócz danych osobistych znajdowały się pytania:- Czy należał do organizacji i jakich? - Czy był sądzony? - Przez jaki Sąd? - Na ile lat? - Gdzie odbywał wyrok? I tak dalej.

Czyżby kartoteki zakładano na nas?

By poznać Nowy Sącz robiliśmy wypadki do miasta.

Ubioru nasze, przydługawe płaszcze i futrzane czapki z nausznikami, wyróżniały nas od miejscowej ludności. Często zatrzymywano zadając pytania, czy o takim lub innym nazwisku

nie znaliśmy kogoś?

Uczniowie ze szkół grupami za nami chodzili domagając się kopiejek, by przed kolegami chwalić się większą ilością zdobytych monet.

Chociaż połowa grudnia już była, pogodę mieliśmy wspaniałą, ciepłe i słoneczne dni a pod nogami złociste liście przypominały piękną, dawno niewidzianą, polską jesień.

Wszyscy repatrianci zostali objęci pomocą materialną. Każdemu wypłacono gotówką 1.000 zł, gorzej ubrani otrzymali skromne garnitury. Jeżeli ktoś nie miał rodziny i nie miał do kogo udać się, Punkt Repatriacyjny załatwił mu pracę, przeważnie w kopalniach węgla, bo prawie wszyscy byli już górnikami i zawód ten w niemałym stopniu już znali.

Po trzech dniach pobytu w Punkcie dużo repatriantów opuściło go. Wyruszyłem też.

Do Gdańska ze mną jechali - Stanisław Miodowicz, Henryk Kołodko i Piotr Sipowicz /ohaj ostatni z Uchty/.

W przeddzień wyjazdu nadałem telegram do domu, że wyjeżdżam i będę w Gdańsku jutro rano /tj. 17 grudnia/.

Pociąg z Nowego Sącza do Krakowa wyjechał pod wieczór. Przywieziony nasz dobytek nadaliśmy na bagaż.

Po dość długiej drodze, przez całą Polskę od południa na północ, która sporo godzin jazdy zajęła, gdzieś około godz. 10 zbliżaliśmy się do celu podróży. W przedziale byliśmy sami we czwórkę. Pociąg minął już Tczew, siedziałem przy oknie. Otwierają się drzwi i usłyszałem głośnie wołanie: - O tatuś!

Obracam się i widzę żonę Wierę a obok niej córkę, Marysię. Ona poznała, poznała z fotografii utrwalonej w pamięci, którą przed rokiem przesłałem. Jednocześnie słyszę głos Wiery: Juleczku!

Podnoszę się i szybko zbliżam. Wpadamy sobie w objęcia, oderwać się od siebie nie możemy. Witam się z Marysią, uściskając ją. Nie poznaję, wszak przed laty 3,5 letnim dzieckiem została; urosła, trudno poznać.

Wiera wydała mi się damą, spoważniała, dużo czasu minęło a rysy twarzy zmieniają wygląd.

Długo sobą cieszyć się nie mogliśmy, gdyż koledzy współtowarzysze podróży już oczekiwali, by się przywitać; po kolei przedstawiłem ich.

Od żony dowiedziałem się, że do Tczewa, by spotkać mnie, przyjechali mój brat Czesław, szwagier Leon Baranowski /mąż siostry Walerii/ i z nimi także jest syn Jurek.

Oni do pociągu wsiedli od tyłu i jeszcze do nas nie dotarli. Reszta rodziny na spotkanie czeka na dworcu we Wrzeszczu.

Była godz. 10 rano. Na peronie witali mnie: moja Mama, siostry - Waleria, Jadwiga i Krystyna; z pociągu dołączyli syn Jurek /także jak córkę nie poznałem go/, brat Czesław, szwagrowie Leon i Andrzej Werdowski /mąż siostry Krystyny/, szwagierka Janina /żona Czesława/, również był mały jeszcze syn siostry Walerii, Pawełek.

Po gorącym i uroczystym przywitaniu ruszyliśmy w kierunku domu.

Naturalnie jeszcze na początku drogi, zrobiliśmy, upamiętniające to uroczyste spotkanie, zdjęcie.

Dzień był pochmurny i wilgotny, ale ciepły, rozpinam sobie płaszcz, żona uwagę mi zwraca, bym się zapiął, bo przeziębę się. Nieprawdopodobnym wydawało mi się, abym mógł przeziębć się, po nie tak dawnym przebywaniu na mrozie przy - 35° C.

W rozmowach czas szybko minął, przy wejściu do mieszkania znaleźliśmy się.

Otworzyły się drzwi, próg przekroczyć musiałem pierwszy, taka wola Pani tego domu była.

Zasiedliśmy do stołu już wcześniej przygotowanego na przyjęcie gości.

Na miejscu honorowym zostałem usadowiony tak, bym wszystkich widział i wszyscy mnie widzieli. Różne pytania dotyczyły gehenny przebytego mego losu posypały się. Przy prowadzonych rozmowach i opowiadaniach czas szybko minął, zapadał już mrok, goście zaczęli rozchodzić się.

Nadzieja, którą zabić nie można, dodawała otuchy i sił do wytrwania w najgorszym.

Po 11 latach mordęgi doczekałem się radosnej chwili powrotu do Kraju, znalazłem się wśród swoich - w rodzinie.

Gdańsk, czerwiec 1990r.